

Maurice Chatelain, urodzony w Paryżu, od dwudziestu pięciu lat mieszka w Kalifornii. Jest wysokiej klasy specjalistą w dziedzinie informatyki i łączności w przestrzeni kosmicznej. Przez dwadzieścia lat pracował przy większości amerykańskich programów badań kosmicznych, a także wchodził w skład ekipy NASA, która stworzyła raketę APOLLO. Rakiecie tej, jak wiadomo, udało się sześciokrotnie wylądować na powierzchni Księżyca.

Zawsze sądził, że we Wszechświecie muszą istnieć inne cywilizacje. Próbował to już udowodnić w obu swoich poprzednich książkach. Książka „Nos Ancêtres venus du Cosmos” („Nasi przodkowie przybyli z kosmosu”) została wydana przez dziesięć różnych wydawnictw, w pięciu językach. Książka „Le Temps et l'Espace” („Czas i przestrzeń”) posłużyła za kanwę niedawno wyświetlanego w telewizji amerykańskiej filmu zatytułowanego „In search of earth visitors” („W poszukiwaniu gości z kosmosu”). W tej oto trzeciej książce autor jeszcze raz spróbował wyjaśnić tajemnicę UFO, czy też latających talerzy, wprowadzając do komputera wszystkie dane liczbowe, jakich dostarczyły ślady pozostawione na ziemi przez lądujące UFO oraz te, które wynikały z geometrycznego rozmieszczenia miejsc tych lądowań na terytorium Francji oraz USA. Maurice'owi Chatelainowi udało się wykazać, że punkty lądowania UFO nie są dziełem przypadku, lecz przeciwnie, przedstawiają one komunikaty matematyczne pochodzenia kosmicznego. Niewątpliwie mają one na celu nawiązanie z nami kontaktu, a być może i ostrzeżenie nas przed nieuchronnym, przerażającym kataklizmem kosmicznym, który mógłby unicestwić naszą cywilizację.

**Maurice Chatelain**

Przedmowa .....	5
Wstęp .....	10
Katastrofy latających talerzy .....	21
Naprawy .....	38
System napędowy latających talerzy . ....	54
Uprowadzenia w Brazylii .....	71
Trzy uprowadzenia .....	88
Sześć dziwnych zdarzeń .....	101
Ślad z Marliens .....	115
Ślad z Santa Monica .....	129
Geometria kosmiczna .....	144
Pochodzenie UFO .....	163
Niepokojąca teoria .....	181
Kosmiczne watergate .....	196
Przeciwnicy .....	209
Wydarzenia z lat 1975-76 .....	223
Wydarzenia z roku 1977 .....	238
Wydarzenia z roku 1978 .....	253
Wydarzenia z roku 1979 .....	268
Podsumowanie .....	285
Aneks .....	289

## PRZEDMOWA

Ziemia wydaje się być czymś wyjątkowym pośród innych planet, zważywszy na zdolności jej mieszkańców do eksploracji i wykorzystywania podstawowych sił wszechświata. Wydaje się jednocześnie, że została ona już dawno odkryta i jest bezustannie obserwowana przez nieznaną nam siłę pochodzącą z odległych części kosmosu.

Obecność tych przybyszów, bardziej znanych od trzydziestu lat pod nazwą UFO, przemierzających naszą przestrzeń powietrzną być może już od miliardów czy milionów lat, tłumaczono w przeszłości na wiele różnych sposobów. Byli oni określani jako bogowie lub siły nieczyste, widziani pod postaciami smoków, zjaw, zwiastunów zła lub nawet traktowani jako boscy wysłannicy. Niektórzy prorocy utrzymywali nawet, że kontaktowali się z owymi wysłannikami z kosmosu, którzy obarczyli ich powinnością przekazywania ostrzeżeń lub wieści dla całej ludzkości.

### 5

Od około trzydziestu lat zauważa się stale rosnącą falę przypadków pojawiania się przybyszów z kosmosu, którzy ukazują się na niebie, ponad ziemią i morzami na całej kuli ziemskiej. Towarzyszą im ironiczne i czasami nieżyczliwe reportaże w prasie lokalnej oraz powszechna tendencja do kompromitowania lub zatuszowywania wyników obserwacji, co jest formą pewnego rodzaju oficjalnej cenzury. Władzom nie udało się jednak ukryć dowodów tych niewytłumaczalnych wizyt.

Miliony osób na kuli ziemskiej na własne oczy widziały UFO i nigdy nie zapomną tej chwili, kiedy jego obecność była dla nich oczywista. Ci świadkowie, do których można też zaliczyć mężów stanu, astronomów, wojskowych lotnictwa i marynarki z wielu państw, pilotów cywilnych, kapitanów statków, policjantów i wielu, wielu innych obserwatorów, przeważnie niechętnie opowiadają o swoich obserwacjach UFO z obawy, aby to nie zaważyło na ich karierze. Jest natomiast rzeczą oczywistą, że ten rodzaj świadków daleki jest od poddawania się emocjom i przesądom, jakie charakteryzować mogą tłum.

Opinia publiczna zaczyna już akceptować pojawienie się w naszej przestrzeni UFO, nie wiemy jednak do tej pory, czego ci przybysze z kosmosu mogą szukać na naszej Ziemi. Czy chcą rozszerzyć swoją przestrzeń życiową na inną planetę? Czy szukają minerałów, wody, czy być może żywności, co z kolei byłoby raczej czymś niepokojącym?

### 6

A może po prostu szukają czegoś lub czekają na coś, czego my jeszcze nie zdołaliśmy zrozumieć?

Chociaż UFO wykazują ewidentną ciekawość wobec naszych ziemskich poczynąń, a szczególnie wobec naszych baz nuklearnych, kosmicznych oraz wojskowych, nie wysłały jednak, jak do tej pory, naszym ziemskim rządóm żadnej wiadomości, która mogłaby zostać przez nas rozszyfrowana. Z drugiej strony, wielokrotnie na ziemi i w

powietrzu, wojsko otwierało ogień do UFO. Jest więc mało prawdopodobne, aby ci, którzy je wysyłają, ryzykowali bezpośredni kontakt, zważywszy na podejrzliwość oraz nieprzyjazność mieszkańców Ziemi.

Lądowania jednak zdarzają się nadal, lecz coraz częściej w miejscach odizolowanych. W ostatnich czasach naliczono 1925 przypadków lądowania pojazdów UFO w 66 różnych krajach, gdzie lądujące obiekty pozostawiły na ziemi liczne ślady odcisków i wypaleń. Przeszło 20 procent relacji świadków tych zdarzeń zawiera opisy humanoidów.

Zjawisko UFO jest od około dwudziestu lat studiowane przez Maurice'a Chatelaina, astrofizyka, który brał udział w pracach przygotowawczych i w stworzeniu dla NASA rakiety księżycowej Apollo, pracując dla tego programu jako dyrektor systemu informatyki i łączności. Jego badania doprowadziły go do przekonania, że wszystkie ślady pozostawione na ziemi w wyniku lądowań UFO, oraz ich rozmieszczenie geograficzne, stanowią nie-

## 7

wątpliwy przekaz informacji matematycznych dla tych, którzy zdolni są je odczytać.

Po pracach Aimé Michela oraz Paula Misraki, którzy jako pierwsi zauważyli pewne logiczne uszeregowanie punktów tych lądowań oraz dzięki pracy francuskich badaczy Jean-Charlesa Fumoux i Jean-François Gille, Maurice'owi Chatelain, z typowo francuską dociekliwością i rzutkością, udało się wykazać przy użyciu komputera, że wszystkie ślady po lądowaniach UFO są przekazami informacji geometrycznych, dzięki którym przybysze z kosmosu starają się z nami porozumieć. Jeżeli wprowadzimy do komputera wymiary odcisniętych śladów, jak również zmierzone pomiędzy nimi odległości, stwierdzimy że otrzymane wzajemne ich zależności odpowiadają wartością znanym nam stałym matematycznym.

Maurice Chatelain, mając obszernie wiadomości z dziedziny informatyki i łączności w przestrzeni kosmicznej, posiadał doskonale kwalifikacje potrzebne do odkrycia istnienia tych komunikatów z kosmosu i do tego, by spróbować je rozszyfrować. Ta pasjonująca książka na temat tajemnic UFO, którą właśnie napisał, przedstawia nam dowody na to, że astronauta przybywający z innego świata usiłują porozumieć się z nami, pomimo wrogiego przyjęcia, jakie im nieraz zgotowaliśmy traktując ich jako potencjalnych wrogów.

To bez wątpienia dlatego wybrali matematyczny rodzaj przekazu informacji a nie bezpośredni kon-

## 8

takt. Jeżeli udałoby nam się ich zrozumieć i odpowiedzieć im, stanowiłoby to pierwszy krok w kierunku odkrycia nowych przyjaciół we wszechświecie, który uważamy za całkowicie pozbawiony życia, podobnie jak Europejczycy przed Krzysztofem Kolumbem nie odważali się pływać w kierunku zachodu z obawy, by nie wpaść w otchłań na krańcu świata, którego nie znali i który uważali za płaski i okrągły.

Biorąc pod uwagę wysiłek i upór, jaki wkłada UFO chcąc porozumieć się z nami, jest to niewątpliwie o wiele ważniejsze niż nam się to obecnie wydaje, jednakowoż możliwe dopiero wówczas, gdy uda nam się odkryć klucz, który pozwoli nam

rozszyfrować przesyłane wiadomości. Przed dwoma wiekami w Egipcie inny francuski uczony Jean-François Champollion odkrył podobny klucz, zwany Kamieniem z Rosette, który pozwolił na odkrycie tajemnic odległej przeszłości i sekretów starożytnej cywilizacji egipskiej.

Klucz, który umożliwi nam odkrycie cywilizacji pozaziemskiej, odsłoni nam na pewno tajemnice jeszcze bardziej pasjonujące, gdyż pozwoli nam poznać to wszystko, co czeka ludzkość w przyszłości, a nie tylko odkryć tajemnice z naszej odległej przeszłości.

## WSTĘP

W ciągu ostatnich lat opublikowano na całym świecie setki książek, w tym dwie mojego autorstwa, na temat latających talerzy, pomimo iż nie wiemy, jak do tej pory, zbyt wiele na ich temat. Jednocześnie na świecie powstały tysiące stowarzyszeń urologicznych, których celem jest obserwacja i publikacja informacji na temat wszystkiego, co dotyczy przypadków obserwacji latających talerzy na ich terenie. A dlaczego ja zdecydowałem się znowu napisać książkę o tym pasjonującym zjawisku? Przyczyna tego jest bardzo prosta.

Przede wszystkim, chciałbym teraz wyznać, jako że pozwolono mi wreszcie mówić, to wszystko, co wiem już od dwudziestu lat na temat latających talerzy, które rozbiły się na terytorium amerykańskim i na temat losu ich szczątków i wyposażenia.

Mogę równocześnie zdradzić informacje na temat wielu przypadków, do tej pory raczej nieznanymi, gdzie humanoidzi zostali zauważeni podczas naprawy swoich latających talerzy, często z pomocą

10

innych podobnych pojazdów, które dostarczały im różne części i wyspecjalizowanych mechaników.

Z drugiej strony, podobnie jak i wielu innych badaczy francuskich, wierzę, że udało mi się odkryć tajemnicę systemu napędowego latających talerzy, który to system opierałby się na jednolitej teorii pola, jednocześnie elektrycznego, magnetycznego i grawitacyjnego. Pole to zostało odkryte w 1920 roku przez młodego, szesnastoletniego amerykańskiego studenta o nazwisku Townsend Brown, a jego istnienie zostało ogłoszone pięć lat później w 1925 r. przez Alberta Einsteina. Teorię tę, potwierdzoną sensacyjnym pokazem, który nazwany został doświadczeniem z Filadelfii i który zdawał się być bardziej czarną magią niż nauką, opisują nam szczegółowo William Moore i Charles Berlitz w niedawno publikowanej książce, która na pewno zostanie wkrótce przetłumaczona na język francuski. (87)\*

Wreszcie, w tej chwili jest już prawie pewne, że istnieją we Wszechświecie inne cywilizacje i to bez wątplenia mniej odległe od nas, niż nam się to do tej pory wydawało. Cywilizacje bardziej rozwinięte od nas mogłyby istnieć na przykład na Tytanie, największym z satelitów Saturna, gdyż posiada on atmosferę podobną do naszej, lub na Io, Europie, Ganimesie lub Kallisto - satelitach Jowisza, które mają podobnie jak Mars atmosferę nieznaczną, lecz

\* patrz bibliografia na końcu książki.

11

już umożliwiającą utrzymanie na powierzchni skupisk humanoidów. Takie cywilizacje mogłyby również istnieć na jakiejś stacji kosmicznej, umieszczonej na orbicie Ziemi lub na jakiejś innej planecie, jak na przykład tej, której rozmiary pokazane są w aneksie do niniejszej książki.

Jednocześnie, jeżeli byłaby choć najmniejsza szansa, że we Wszechświecie mogłyby istnieć inne cywilizacje, jest rzeczą jak najbardziej logiczną, że należy dążyć do porozumienia z nimi czy to starając się odczytać ich posłania, jakie mogłyby nam wysyłać, czy też wysyłając im nasze proste komunikaty, które mogłyby zostać przez nie odczytane. I dlatego to, przede wszystkim, powinniśmy jasno określić, co dla nas mogłoby stanowić takie komunikaty. (83)

W następstwie amerykańskich programów badania przestrzeni kosmicznej powstała nowa dziedzina nauki nazwana informatyką lub po angielsku „data processing”, której to nauce poświęciłem przeszło dwadzieścia lat mego życia. Nauka ta polega na próbie przekazania jak największej ilości informacji w jak najprostszej formie, a więc przy wykorzystaniu minimum energii, ażeby zyskać czas przy przekazywaniu informacji na Ziemi lub aby nadrobić odległość dla przekazywania informacji w przestrzeni kosmicznej.

Tak więc wszyscy najlepsi specjaliści tej nowej nauki są teraz zgodni co do tego, że jeśli pewnego dnia uzyska się łączność z jakąkolwiek inną cywili-

12

zacją w kosmosie, będzie to przy pomocy zaszyfrowanych binarnie komunikatów zawierających tylko dwie cyfry -jeden i zero, to znaczy obecność lub brak impulsu elektromagnetycznego. To właśnie dzięki temu prostemu systemowi mogliśmy w kolorowej telewizji ujrzeć to, co robili nasi astronauty na Księżycu.

Wysyłaliśmy już sygnały w przestrzeń kosmiczną i odbieraliśmy też inne, niewiadomego pochodzenia, lecz, jak do tej pory, nie udało się nam ich odszyfrować, albo też ci, którzy je wysłali, nie chcieli, abyśmy poznali ich znaczenie. Jest w istocie faktem niezaprzeczalnym, że istnieje bardzo surowa cenzura zarówno na płaszczyźnie międzynarodowej jak i poszczególnych państw, dotycząca wszystkiego, co ma związek z cywilizacjami pozaziemskimi oraz z latającymi talerzami.

Na szczęście dotarły do nas również inne sygnały, o wiele prostsze, a jednocześnie trudniejsze do ukrycia przed opinią publiczną. Są to ślady odcisnięte na ziemi przez lądujące niezidentyfikowane obiekty latające, a także rysunki geometryczne utworzone przez połączenie naniesionych na mapę punktów tych lądowań, co w rezultacie dało różnorodne trójkąty. Widzimy więc, że w obu przypadkach otrzymujemy komunikaty matematyczne podobne do tych, które i my wysłaliśmy w przestrzeń kosmiczną.

Jestem głęboko przekonany, że pierwsze ludzkie cywilizacje przybyły na Ziemię z Kosmosu przeszło

13

sto tysięcy lat temu i każdego niemal dnia odkrywam nowe tego dowody. Sądzę również, że cywilizacje te odwiedzają nas i specjalnie pozostawiają ślady swojej

obecności, ażeby potwierdzić i udowodnić nam swoje istnienie. Jednocześnie, biorąc pod uwagę, że wiele osób nie jest zaznajomionych z językiem stricte matematycznym, spróbowałem udowodnić istnienie cywilizacji pozaziemskich oraz ich pojawianie się na Ziemi, używając tylko i wyłącznie dowodów humanistycznych, to jest relacji ludzi, którzy mieli kontakt z humanoidami.

Dlatego też przedstawiam tutaj pewną liczbę zdarzających się na całej kuli ziemskiej, a szczególnie we Francji, Hiszpanii, USA i Brazylii, przypadków uprowadzenia ludzi przez humanoidów. Umożliwi to czytelnikowi dokonanie porównania wrażeń, jakie odnieśli owi uprowadzeni oraz wyciągnięcie z tych relacji własnych wniosków. Relacjonuję równocześnie serię 63 wydarzeń związanych z UFO, które miały miejsce w różnych krajach na przestrzeni ostatnich pięciu lat i jestem przekonany, że czytelnik sam zauważy występujące tam analogie oraz niepokojące zbiegi okoliczności.

Zastosowałem tutaj pewien bardzo prosty i praktyczny system klasyfikacji, ponieważ większość tych, którzy mieli szczęście widzieć latające talerze, zatrzymuje ten fakt tylko dla siebie, z obawy przed istniejącą oficjalną cenzurą lub też, aby nie wydać się śmiesznymi w oczach bliźnich i zwykle decydują się powiedzieć o tych faktach dopiero w kilka lat

## 14

później - gdy dzieci ich już są dorosłe lub gdy oni sami są już na emeryturze. Musiałem więc stworzyć otwarty system klasyfikacji taki, w którym zawsze byłyby zarezerwowane miejsca dla relacji i obserwacji, które w każdej chwili mogłyby nadejść.

System ten stworzyłem dzięki kalendarzowi juliańskiemu, w którym każdy dzień jest przedstawiony za pomocą siedmiu cyfr, z których tylko cztery ostatnie, odpowiadające okresowi dwudziestu siedmiu lat, wykorzystywane są przez astronomów i astrofizyków. W ten sposób ostatnie wydarzenie z tej serii, mające miejsce 16 grudnia 1979 roku, czyli według kalendarza juliańskiego dnia 2 444 224, zostało określone liczbą 4224, liczbą składającą się z czterech cyfr, a więc łatwą do zapamiętania.

Będziemy tu również poruszać problem cenzury zajmującej się tematem latających talerzy, śmiesznej i całkowicie niepotrzebnej, czy to francuskiej, czy amerykańskiej. W końcu wszystko i tak wychodzi na jaw dzięki amerykańskim czasopismom, takim jak „Omni” czy „National Enquirer”, które wychodząc w milionowych nakładach informowały już o moich książkach i poszukiwaniach na temat zjawiska UFO, za co jestem im niezmiernie wdzięczny.

Magazyny „Saga” i „Argosy”, chociaż posiadają nieco mniejszy nakład, odgrywają również bardzo istotną rolę w rozpowszechnianiu nowo odkrytych faktów, za co również bardzo im dziękuję. Szkoda, że we Francji nie ma, jak dotąd, czasopism o podob-

15

nej orientacji, gdyż bardzo wiele osób pasjonując się tematem niewytłumaczalnych zjawisk w przestrzeni musi zadowolić się tym, co prasa zechce im powiedzieć na ten temat.

W tej książce mówię również o sprawie Ummo, to jest o komunikacie, który został nam przesłany przez inną cywilizację z kosmosu i którego autentyczności lub jej braku jak dotąd nikomu nie udało się stwierdzić. Dalej przedstawię wszystkie dane na temat tej sprawy, łącznie z moją osobistą opinią na ten temat, ale pozostawiam czytelnikowi prawo do własnej opinii, czy sprawa ta wydaje mu się prawdopodobna czy też jest tylko żartem w złym guście.

Muszę tutaj przyznać, że gdy dwadzieścia pięć lat temu zamieszkałem w Kalifornii, po spędzeniu siedmiu lat w Maroku, nie wierzyłem zupełnie w istnienie cywilizacji pozaziemskich, a jeszcze mniej w latające talerze. Pracowałem wówczas w dziale elektronicznym przemysłu kosmicznego, a ściślej nad systemem radarowym łączności rakiety kosmicznej Atlas, która miała być wystrzelona kilka lat później. W środowisku astronautycznym tamtych czasów było bardzo źle widziane, jeśli ktoś poruszał temat latających talerzy czy też cywilizacji pozaziemskich, których to istnienie rząd amerykański do tej pory neguje.

Pod wpływem lektury setek książek na ten temat, a w szczególności autorstwa niedawno zmarłych Jeana Sendy, Jaquesa Bergier i Roberta Charroux, zmieniłem zdanie ale dopiero po ośmiu latach. Stało

16

się to we wrześniu 1963 r. NASA wysłała mnie wtedy na Międzynarodowy Kongres Astronautów do Paryża z odczytem na temat Apollo. Po długich dyskusjach prowadzonych z radzieckimi uczonymi badającymi już od dawna problem istnienia UFO zostałem ostatecznie przekonany.

Obecnie jestem absolutnie pewny istnienia cywilizacji pozaziemskich oraz latających talerzy, które stanowią dla mnie logiczną całość. To dlatego zdecydowałem się napisać tę książkę, chociaż doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że zostanie ona ostro skrytykowana przez oficjalną naukę. W obu moich poprzednich książkach przedstawiłem tylko hipotezy, sugestie oraz dowody, które mogłyby zostać podważone przez niedowiarków. W tej nowej pracy przedstawiam dowody, które uczeni, zwolennicy oficjalnej nauki będą mogli zignorować, ale których nie będą mogli zakwestionować nie przedstawiając jednocześnie wyjaśnień bardziej prawdopodobnych od moich.

Istnieje jednakże inna, równie prawdopodobna teoria, wysunięta przez pewnych badaczy niezależnych, takich jak na przykład Jacques Vallée. Przedstawia ona hipotezę, że latające talerze są pojazdami ziemskimi, wyprodukowanymi i wysyłanymi przez tajemną i wszechwładną organizację ziemską, w celu manipulacji umysłami mas i stworzenia zamieszania, które pozwoliłoby jej zawładnąć całą kulą ziemską. W istocie, jesteśmy obecnie świadkami znacznego przesunięcia racjonalizmu w stronę mis-

17

tycyzmu. Mistycyzm kosmiczny wypiera stopniowo racjonalizm cechujący naszych ojców, tak jak dwa tysiące lat temu mistycyzm chrześcijański zajął miejsce racjonalizmu grecko-rzymskiego, i nikt nie jest w stanie przewidzieć, jakie mogą być tego konsekwencje.

Fenomen UFO można w istocie rozpatrywać w aspekcie fizycznym, społecznym,



psychicznym lub religijnym. Ten ostatni wydaje się być najbardziej niebezpieczny, jeżeli istotnie mielibyśmy do czynienia z próbą manipulacji masami przez fanatyzm religijny, co miało już miejsce w Europie w Średniowieczu i co ma miejsce aktualnie w Iranie, i zdarzy się na pewno wkrótce w innych krajach arabskich.

Z drugiej strony, hipoteza, jakoby zjawisko UFO w rzeczywistości stanowiło zakrojoną na szeroką skalę akcję manipulacji masami, została wzmocniona jeszcze na skutek inwazji amerykańskich filmów z dziedziny science-fiction oraz pojawieniem się setek książek, niektórych autorstwa poważnych badaczy, poświęconych tematowi latających talerzy i cywilizacjom pozaziemskim.

I to dlatego właśnie, życzylbym sobie z całego serca, aby latające talerze przybywały do nas naprawdę z innego świata, z przestrzeni kosmicznej, bez żadnej ziemskiej interwencji. I to właśnie jest powodem, dla którego robię wszystko, co mogę, aby zdołać to udowodnić oraz przekonać o tym innych, tak poprzez moje książki i artykuły, jak i poprzez moje wystąpienia w telewizji amerykańskiej. W is-

18

tocie, jestem teraz głęboko przekonany, iż nasi goście z kosmosu starają się z nami porozumieć, aby nas przestrzec przed jakimś kataklizmem pochodzenia kosmicznego, który może zdarzyć się na Ziemi za kilka lat, najprawdopodobniej w 1982 r., kiedy to wszystkie planety układu słonecznego będą ustawione w jednej linii z jednej strony Słońca.

W tym czasie Ziemi grozi niebezpieczeństwo deformacji i zmniejszenie prędkości jej wirowania wokół własnej osi, na skutek zaistnienia ogromnych sił grawitacyjnych Słońca, Merkurego i Wenus z jednej strony oraz wszystkich innych z przeciwległej. Jest rzeczą oczywistą, że to mogłoby doprowadzić do trzęsień ziemi, wybuchów wulkanów oraz gigantycznych fal o charakterze sejsmicznym występujących na całym obszarze kuli ziemskiej.

Niniejsza książka jest owocem piętnastoletnich prac badawczych na temat latających talerzy i innych podobnych zjawisk. Nie jest jednakże dziełem zamkniętym, gdyż istnieje jeszcze wiele tematów, które wolałem pozostawić na boku, nie chcąc nikogo urazić. Tematem takim jest na przykład dość trudna do wytłumaczenia reakcja kościołów chrześcijańskich wobec zjawiska UFO, gdyż niektóre z tych kościołów chętnie potwierdzają istnienie tego zjawiska, inne zaś absolutnie odmawiają uznania go za prawdziwe.

Nie wspominałem również o opisach UFO przytoczonych przez większość starożytnych pisarzy, koncentrując się tylko na tych, które miały miejsce

19

na przestrzeni ostatnich lat i które bezsprzecznie najlepiej są znane. Wyprowadziłem z tych obserwacji hipotezy i wnioski, które na pewno nie zostaną przez wszystkich przyjęte, lecz które jednocześnie mogą dostarczyć istotnych podstaw do tworzenia innych hipotez, które byłyby łatwiejsze do powszechnego zaakceptowania.

Jest też oczywiste, że nie spodziewam się, że wszyscy moi czytelnicy owe nadzwyczajne wydarzenia, o których piszę w tej książce, odczytywać będą jako słowa Ewangelii lub też jako teorie rewolucyjne, które, jak myślę, można byłoby z nich wyprowadzić. Lecz sądząc po licznej korespondencji, którą otrzymałem po publikacji

moich dwóch pierwszych książek, jestem przekonany, że wiele osób uwierzy i to mi w zupełności wystarczy. Jest bowiem powszechnie wiadome, że nikt nie jest prorokiem we własnym kraju.

## ROZDZIAŁ 1

### KATASTROFY LATAJĄCYCH TALERZY

Około dwudziestu lat temu, kiedy mieszkałem już od ponad pięciu lat w Kalifornii i stałem się nawet obywatelem amerykańskim, kierowałem grupą zajmującą się pracami nad rozwojem elektroniki. Było to w Ryan Astronautics - to jest amerykańskim towarzystwie badającym przestrzeń kosmiczną. Prace te, prowadzone w San Diego, przeznaczone były prawie wyłącznie na użytek sił powietrznych armii. Po przeprowadzeniu wywiadu na mój temat, obejmującego wiele lat mojego życia we Francji i w Maroku, gdzie mieszkałem przed przybyciem do Stanów, władze amerykańskie zdecydowały się powierzyć mi „Top Secret Security Clearance”\*, co dawało mi prawo bycia na bieżąco w większości amerykańskich tajemnic wojskowych i bez czego nigdy nie mógłbym zajmować podobnego stanowiska.

\* Zgoda na poznanie tajemnic dotyczących obrony kraju.

21

Pracowałem wówczas nad nowym, wyjątkowo tajnym systemem radarowym i co miesiąc musiałem zdawać relację z postępów moich poszukiwań pewnemu pułkownikowi, który był głównodowodzącym tego programu oraz jego asystentom technicznym. Jeździłem więc, co miesiąc, do najbardziej tajnej bazy amerykańskich wojsk powietrznych Wright Patterson, znajdującej się około dwudziestu kilometrów na północny wschód od miasta Dayton w stanie Ohio.

Po zakończeniu prac nad naszym systemem radarowym, który notabene funkcjonował lepiej niż zakładaliśmy to na początku naszych prac, co wszystkim dawało doskonałe samopoczucie, poszliśmy razem na lunch do jednej z tych dość przyzwoitych restauracji w pobliżu bazy powietrznej, gdzie zawsze można zjeść wspaniały stek i wypić dobre niemieckie piwo.

Rozmawialiśmy o wszystkim po trochu, lecz przede wszystkim o samolotach i radarze, a czasami i o latających talerzach, owych tajemniczych obiektach, które latając z prędkością przeszło 20 000 kilometrów na godzinę potrafiły nagle, nie zmieniając prędkości, zmienić kierunek swojego lotu na przeciwny i które zaczęły pojawiać się na wszystkich ekranach radarów. Dla tych specjalistów radarowych, którzy je widzieli na swych ekranach, było rzeczą oczywistą, że te obiekty istniały naprawdę i że nie mogły być pochodzenia ziemskiego. Lecz naturalnie zawsze rozmowa urywała się nagle, gdy

22

kelnerka lub ktoś z konsumentów zbliżał się do naszego stolika.

Biorąc pod uwagę to, że byłem obywatelem amerykańskim oraz to, że posiadałem

„security clearance” tej samej rangi co oni, ci wysocy rangą oficerowie potraktowali mnie w końcu jako członka swej rodziny i zdradzali mi stopniowo, podczas tych comiesięcznych obiadów, mnóstwo informacji, których z pewnością nie musiałem znać. I tak na przykład dowiedziałem się, że na terenie USA rozbiło się około tuzina latających talerzy z jakimiś trzydziestoma humanoidami na pokładzie. Szczątki pojazdów były strzeżone przez wojsko w jednym ze specjalnych hangarów na terenie ich bazy, a ciała humanoidów, niektóre w dość złym stanie, zostały potajemnie zakonserwowane w specjalnych zimnych pomieszczeniach w podziemiach bazy, gdzie panowała temperatura ponad pięćdziesięciu stopni poniżej zera.

Poznałem stopniowo w ten sposób mnóstwo oszałamiających szczegółów na temat tych różnych katastrof, lecz nigdy nie przyszło mi do głowy, aby z kimkolwiek rozmawiać na ten temat, biorąc pod uwagę wielkie zaufanie, jakim mnie obdarzono. Udało mi się więc dochować tajemnicy przez przeszło dwadzieścia lat, co zresztą było dla mnie czasami rzeczą niezmiernie trudną, gdyż z natury jestem bardzo gadatliwy. Dopiero bardzo niedawno, kiedy od wielu już lat byłem na emeryturze, znalazłem w jakichś magazynach mgliste aluzje na

## 23

temat katastrof latających talerzy, o których to słyszałem kiedyś podczas moich obiadów w Wright Patterson. Potem te aluzje zaczęły precyzować się, ale nie towarzyszyła temu żadna widoczna reakcja ze strony rządu.

Było więc oczywiste, że autorzy tych artykułów wiedzieli na ten temat tyle co i ja, że uzyskali te informacje z tych samych źródeł co ja oraz, co za tym idzie, że i ja wkrótce będę *mógł* opowiedzieć to wszystko, co wiem na ten temat, tym bardziej, że opublikowałem już wcześniej dwie książki na temat UFO, które odniosły pewien sukces oraz że byłem w trakcie pisania trzeciej.

Spośród autorów artykułów poświęconych tematowi katastrof latających talerzy był jeden, Leonard Stringfield, dla którego żywię wielkie uznanie ze względu na jego bezsprzeczną odwagę, a także z powodu jego zdolności zawziętego wywiadowcy i sumiennego pisarza. Poznałem go najpierw poprzez jego książkę zatytułowaną „Situation Red” (72), którą opublikował u mojego amerykańskiego wydawcy Doubledaya kilka miesięcy przed moją książką „Our ancestors come from outer space” („Nos ancêtres venus du cosmos” - wyd. R. Laf-font) („Nasi przodkowie przybyli z kosmosu”).

Dowiedziałem się następnie, że 29 lipca 1978 r. przedstawił on na Kongresie MUFON w Dayton w stanie Ohio, czyli w pobliżu Wright Patterson, niebywały odczyt, w którym ujawnił osiemnaście różnych zeznań świadków byłych oficerów lotnictwa,

## 24

dotyczących, mających miejsce na obszarze Ameryki, katastrof latających talerzy, których szczątki i wyposażenie zostało starannie i w wielkiej tajemnicy zachowane w tej bazie.

Dowiedziałem się również, że zamierza on na następnym kongresie MUFON, który odbędzie się w lipcu 1980 r. w Huston w Teksasie, przedstawić nowy raport w tej sprawie, w którym ujawni dwanaście nowych, podobnych do pierwszych

osiemnastu, zeznań świadków. Nie ma więc żadnego powodu, abym milczał i zdecydowałem się, w związku z tym, napisać specjalny rozdział poświęcony katastrofom latających talerzy, który dołączam do tej trzeciej książki, którą właśnie kończę. Mam nadzieję, że moi dawni przyjaciele z Ohio nie będą mieć o to do mnie pretensji.

Niektóre z tych zdarzeń lub katastrof, które zamierzam tu przedstawić czytelnikom francuskim, zostały już wcześniej zaprezentowane czytelnikom amerykańskim przez Leonarda Stringfielda i zrzekam się chętnie ich autorstwa, gdyż pomimo iż z pewnością Stringfield nie był pierwszym, który je poznał, na pewno był pierwszym, który odważył się je opublikować. Katastrofy latających talerzy mające miejsce na obszarze amerykańskim zostaną tu przedstawione w porządku chronologicznym, jedynym, który umożliwi ich porównywanie i ewentualne wyciągnięcie wniosków.

Osmego lipca 1947 r. właściciel rancza o powierzchni 3 000 hektarów, położonego na północny za-

25

chód od Roswell w Nowym Meksyku doniósł, że widział eksplozję lecącego metalicznego pojazdu o nieznanym kształcie, którego szczątki rozproszyły się na powierzchni wielu hektarów jego rancza. Siły powietrzne wysłały natychmiast na miejsce wywiadowców, którzy istotnie odnaleźli kawałki pojazdu i rozpoczęli natychmiast szczegółowe badania całego obszaru rancza w celu znalezienia pozostałych fragmentów.

Nieznany obiekt musiał zostać dosłownie unicestwiony, gdyż nie odnaleziono nigdy żadnych szczątków długości większej niż 15 centymetrów, ani też żadnego śladu jego załogi. Szczątki te były mniej więcej grubości ścian puszki z ocynowanej blachy, lecz posiadały nadzwyczajną wytrzymałość, ponieważ było rzeczą absolutnie niemożliwą rozbić je lub zgąć w dłoni. Nie było żadnego śladu na ziemi, ani też żadnej radioaktywności na obszarze, na który spadły.

Zostały one najpierw przewiezione do bazy w pobliżu Fort Worth, a następnie przesłane do Wright Patterson, którą nazywać będziemy odtąd WP, gdzie zostały zdeponowane w największej tajemnicy i gdzie ta sprawa wkrótce otrzymała rangę TOP SECRET. Mój przyjaciel Charles Berlitz, wspólnie z Williamem Moore'em, napisał niedawno na temat tego wydarzenia nową książkę, która na pewno, jak wszystkie jego książki, zostanie wkrótce opublikowana we Francji.

Latem 1952 r. inny latający talerz rozbił się na pustyni w Nowym Meksyku, a szczątki pojazdu

26

oraz ciała trzech ofiar zostały natychmiast wysłane do WP, gdzie powstał film zmontowany z ujęć nakręconych natychmiast, na miejscu wypadku, oraz później w bazie. Pierwsze ujęcie ukazywało pojazd wbity w piasek pustyni pod kątem 45 stopni oraz otwarte na dole drzwi, przez które wyciągnięto zwłoki humanoidów. Ujęcia następne pokazywały te zwłoki ułożone na stołach. Mieli oni około 1,20 metra wysokości, ogromne głowy w kształcie odwróconej gruszki, długie, sięgające kolan ręce, wielkie otwarte oczy, otwory w miejscu nosa i uszu oraz skórę o odcieniu szarawym. Ten film, będący oczywiście TOP SECRET, został pokazany pewnej liczbie wyższych oficerów wojsk powietrznych w różnych bazach lotniczych, z

absolutnym zakazem rozmawiania na ten temat z kimkolwiek. Słyszałem o nim wielokrotnie, lecz sam nie miałem okazji go zobaczyć.

Latem 1953 r. latający talerz rozbił się na pustyni w Arizonie, a ciała pięciu przybyszów zostały natychmiast załadowane, w specjalnych trumnach wypełnionych suchym lodem, na pokład samolotu, który przybył jeszcze tego samego wieczoru do WP, gdzie szczątki zostały złożone w wielkiej tajemnicy. Ci humanoidzi, z których jeden był płci żeńskiej, mieli wielkie głowy w kształcie odwróconych gruszek, łuki brwiowe wystające, połączone i tworzące jakby rodzaj daszku, ogromne otwarte oczy, otwory w miejscu nosa i uszu oraz skórę w kolorze brązowym z odcieniem szarawym.

## 27

Te dziwne stworzenia miały długie ramiona zakończone czterema palcami tworzącymi jakby dłoń, nie posiadały palców u stóp. Ich narządy płciowe były zdecydowanie atroficzne, jakby już od dawna nie były używane. Te szczegóły są bardzo interesujące, gdyż posągi bogów z Tiahuanaco w Boliwii, które według pewnych opinii musiały zostać stworzone przez pozaziemskich przybyszów, przedstawiają postacie posiadające cztery palce i jak się wydaje bez płci. Jeden z owych humanoidów żył jeszcze w chwili przybycia ekipy ratunkowej, lecz wszystkie wysiłki, aby go uratować, okazały się daremne.

Ten latający talerz, odnaleziony w stanie prawie nie uszkodzonym i jak poprzednie odesłany do WP, został uprzednio dostrzeżony na radarze wzgórza Palomar, w chwili gdy przemierzał Kalifornię i najwyraźniej mając kłopoty, szybko tracił wysokość. Obsługujący radar wiedzieli dokładnie, w jakim miejscu spadł na ziemię i natychmiast zaalarmowali pobliską bazę lotniczą, która niezwłocznie wysłała ekipę ratunkową.

Latem 1957 r. inny latający talerz rozbił się na tej samej pustyni Arizony, przemierzywszy ją z fantastyczną prędkością, zarejestrowaną na radarze i oszacowaną na jakieś przeszło 20 000 kilometrów na godzinę. Miejsce wypadku zostało natychmiast okrażone przez służby bezpieczeństwa, a z pojazdu wyciągnięto zwłoki czterech humanoidów, co było rzeczą niezmiernie trudną, gdyż zgięcie lub przecięcie metalu, z którego zbudowany był pojazd, okazało się niemożliwe.

## 28

Ciała humanoidów zostały dotkliwie poparzone i niemożliwe było wyodrębnienie ich rysów, lecz ich srebrzyste kombinezony pozostały całkowicie nietknięte, pomimo ogromnej temperatury, która spaliła ich ciała. Zwłoki o długości około 1,20 metra natychmiast wyeksponowano do WP, gdzie odtąd są przechowywane w niskiej temperaturze, podobnie jak szczątki ich pojazdu przechowywane są w schronie razem z wieloma innymi.

Latem 1962 inny latający talerz, śledzony od pewnego czasu na radarze nad Kalifornią i Arizoną, rozbił się w końcu na pustyni w Nowym Meksyku, lecąc z prędkością bliską 200 kilometrów na godzinę. Nie doznał specjalnych uszkodzeń, gdyż przez wiele kilometrów poruszał się ruchem ślizgowym po piasku. W każdym bądź razie pojazd był prawie nietknięty, ale dwaj pilotujący go humanoidzi zginęli na miejscu, z powodu wstrząsu przy lądowaniu.

Talerz ten był dokładnie okrągły, o średnicy około 20 metrów i wysokości 4 metrów. Humanoidzi byli identyczni i mieli 1,07 metra wysokości, byli więc trochę mniejsi od tych, których znaleziono wcześniej. Ubrani byli w kombinezony stanowiące jedną całość, bez guzików ani metalowych zapięć, musiały więc zostać przyklejone bezpośrednio do ciała. Skórę mieli koloru szarego, z lekkim zabarwieniem różowym. Mieli wielkie głowy w kształcie odwróconych gruszek, podobnie jak i poprzedni, wielkie oczy, ledwie zarysowany nos, małe usta o wąskich wargach i nie mieli uszu.

29

Jako że pojazd był w dość dobrym stanie, został przetransportowany do najbliższej bazy lotniczej, gdzie badało go przez miesiąc około dwudziestu specjalistów starając się bezskutecznie odkryć tajemnicę jego systemu napędowego. Trzech spośród tych specjalistów zmarło w tajemniczych okolicznościach, podczas trwania tych badań, co zresztą znacznie ostudziło entuzjazm pozostałych..

Dnia 10 grudnia 1964 r., około godziny 2 nad ranem, w bazie wojskowej w Fort Riley w stanie Kansas wylądował, zapewne w następstwie awarii silnika, latający talerz. Był on koloru szarego metalicznego, dokładnie kolisty, o średnicy około 20 metrów i wysokości 4 metrów. Był otoczony w połowie swej wysokości czarnym pasem, z którego wychodziły kwadratowe dysze, które wystawały na około 30 centymetrów i które musiały stanowić część jego systemu napędowego. Nie był on oświetlony ani też nie wydzielał żadnego zapachu.

Wydawał się on być zupełnie martwy, jak powie to później jeden ze świadków, i nikt nie wiedział, czy wewnątrz znajdowała się załoga. Po kilku godzinach przybyły oddziały specjalne wojsk powietrznych i pojazd załadowano na wielką platformę, ciągniętą przez ogromne traktory. Zabrano go natychmiast, nie sprawdzając nawet, co znajduje się wewnątrz i ślad po nim zaginął. Jest wszelako bardzo prawdopodobne, że ten latający talerz, zachowany w idealnym stanie, znajduje się teraz w ogromnym hangarze w WP, razem ze swymi braćmi przybyłymi

### 30

z kosmosu. I w ten sposób dokończy swych dni na Ziemi.

Latem 1968 r. w bazie lotniczej w Nellis w stanie Nevada wylądował mały latający talerz o średnicy 6 metrów. Świadkowie widzieli, jak kilka minut wcześniej wy dostał się z innego, ogromnego talerza, który od trzech dni pozostawał w locie stacjonarnym ponad bazą, lecz na zbyt dużej wysokości, aby można go było dobrze obejrzeć. Ażeby powitać przybyszów wysłano pułkownika w asyście, na wszelki wypadek, uzbrojonego patrolu, lecz bez żadnego zamiaru agresji.

Zobaczono wówczas wychodzącego z pojazdu humanoida małego wzrostu, który, być może myląc się co do zamiarów pułkownika lub jego ludzi, skierował w nich wiązkę oślepiających promieni, które ich na miejscu sparaliżowały.

Widząc to dowódca patrolu rozkazał swym ludziom strzelać, ale ich karabiny maszynowe zacięły się natychmiast i oni z kolei poczuli się całkowicie sparaliżowani promieniami humanoida.

Ten natomiast powrócił spokojnie do swego pojazdu, zamknął drzwiczki i wystartował pionowo na oczach przerażonych świadków, którzy ujrzeli jak mały

latający talerz połączył się na niebie z tale-rzem-matką.

Przebywając w szpitalu, jeszcze długo po tym wypadku, pułkownik przypomniał sobie, że odniósł wrażenie, iż humanoid starał się porozumieć z nim drogą telepatii, za pomocą cyfr i reguł matematycz-

31

nych, co pasowałyby dobrze do innych wydarzeń z udziałem latających talerzy.

Latem 1973 roku pewien oficer służb obrony powietrznej Stanów Zjednoczonych został obudzony nagle w środku nocy i zaprowadzony w nieznanym mu miejsce. Tam zasłonięto mu oczy, sprowadzono po schodach i przeprowadzono przez długie korytarze. Kiedy odsłonięto mu oczy, stwierdził, że znajduje się w wielkiej sali, gdzie na stołach ułożono zwłoki trzech humanoidów. Wokół znajdowali się wyżsi oficerowie sił powietrznych oraz osoby w białych fartuchach, które zapewne były lekarzami.

Humanoidzi mieli około 90 centymetrów długości, wielkie głowy w kształcie odwróconych gruszek, wielkie otwarte oczy, skórę w kolorze szarego beżu, nie posiadali ani nosa, ani uszu. Mieli długie ramiona, dłonie o czterech jakby lekko płetwiastych palcach, ich narządy płciowe były w tak daleko posuniętym zaniku, że było niemożliwością stwierdzenie płci męskiej czy też żeńskiej. Nie mieli palców u stóp, przez co wydawali się być jakby w skarpetkach.

W lipcu 1978 r. Leonardowi Stringfieldowi udało się skontaktować z byłym oficerem służb bezpieczeństwa sił powietrznych, który przez długi czas odbywał służbę w WP. Zgodził się on powiedzieć mu o pewnych fascynujących szczegółach na temat tej super tajnej bazy powietrznej. Według niego, za czasów jego służby w WP przechowywanych było

starannie w niskiej temperaturze i w największej tajemnicy co najmniej trzydzieści trupów huma-noidów. Znajdowały się tam również szczątki wielu latających talerzy przywiezione w poprzednich latach. Lecz również i w bazie Lang-ley w Virginii obok Waszyngtonu, gdzie mieści się siedziba CIA i gdzie byłem niejednokrotnie, przechowywany jest jeden z latających talerzy, a także w bazie Mac Diii obok Sebring na Florydzie.

Oficer ten również twierdził, że w ciągu trzech lat od 1966 do 1968 r. i tylko w trzech stanach: Ohio, Indiana i Kentucky, rozbiło się na ziemi aż pięć latających talerzy. Podczas jednego z tych wypadków wojskowi nie znając zamiarów trzech humano-i-dów, w obawie o własne bezpieczeństwo, zastrzelili ich. Stringfield dowiedział się również, że każda baza lotnicza była połączona z komputerem centralnym w WP, gdzie gromadzone były od przeszło trzydziestu lat wszystkie dane dotyczące latających talerzy.

Dzięki tajemnicom wyjawionym przez wielu lekarzy, którzy mieli okazję oglądać zwłoki humano-i-dów, a nawet czasem dokonywać sekcji, można wyciągnąć pewne wnioski na temat tych dziwnych stworzeń. Przede wszystkim, nie są one wszystkie jednakowe, a istnieje wiele, dość zróżnicowanych grup. Lecz w każdej z tych grup osobniki są dokładnie identyczne, jak gdyby zostały stworzone według jednej formy, lub w wyniku procesu re-

33

produkcji bezpłciowej zwanego klonowaniem\*, procesu, który nie tak dawno poznaliśmy, lecz który bez wątplenia znany był już przeszło sześć tysięcy lat temu Sumerom, co zdają się potwierdzać ich tabliczki z pismem klinowym. (83)

Wysokość humanoidów oscyluje pomiędzy 90 a 150 centymetrów, a ich waga pomiędzy 20 a 60 kilogramów. Wszyscy mają wielkie głowy w kształcie odwróconych gruszek, których proporcja w stosunku do całego ciała jest mniej więcej taka, jak u pięciomiesięcznego płodu ludzkiego. Wszyscy mają pozbawione źrenic i powiek wielkie oczy, niektórzy z nich lekko skośne uniesione ku górze, o wiele szerzej rozstawione niż nasze. Ich łuki brwiowe są bardzo głębokie.

Bywają wśród nich tacy, którzy mają lekko zaznaczony nos, lecz większość ma w miejscu nosa tylko dwa otwory. Nigdy nie mają uszu, lecz jedynie dwa otwory, wewnątrz których istnieje system słuchowy porównywalny z naszym uchem środkowym. Usta mają małe, bez zębów, o bardzo wąskich wargach, nie nadające się na pewno ani do mówienia, ani do jedzenia. Ich jama ustna ma głębokość 5 centymetrów i zakończona jest membraną.

Humanoidzi praktycznie nie mają szyi, a ich głowy przymocowane są bezpośrednio do tułowia. Nie mają nigdy włosów na głowie ani na ciele, ani też

\* Klonowanie - proces bezpłciowej reprodukcji, zapoczątkowany od jednej żywej komórki.

nie wydzielają żadnego zapachu, co z kolei charakteryzuje większość istot ludzkich. Ich skóra, zbadana pod mikroskopem elektronowym, jest bardzo podobna do skóry jaszczurki. Jest ona bardzo elastyczna i rozciągliwa, a jej kolor jest zmienny, od szarawego beżu do koloru szaroniebieskawego, lecz nigdy nie jest zielona.

Te dziwne istoty mają wąski tułów i długie, sięgające kolan, cienkie ręce. Ich dłonie zakończone są tylko czterema palcami, lekko płetwiastymi, bez kciuka, a palec wskazujący i środkowy są dłuższe niż palec serdeczny i mały, wszystkie zaś palce zakończone są czymś co przypomina bardziej pazur niż paznokiec. Wszystkie osobniki posiadają atroficzne narządy płciowe, jak gdyby od dawna nie posługiwały się nimi lub jak gdyby nie potrzebowały ich do reprodukcji, stosując na przykład klonowanie, co z kolei wyjaśniłoby, dlaczego są one wszystkie, w każdym z latających talerzy, dokładnie identyczne i różnią się tylko nieznacznie między sobą, jeśli chodzi o różne talerze.

W szczątkach wielu pojazdów znaleziono zwłoki humanoidów rodzaju żeńskiego i stwierdzono, że są one prawie identyczne, jak te rodzaju męskiego: różnicę stanowi istnienie szpary w dole brzucha, tam gdzie inne mają niewielką wypukłość.

Humanoidzi nie mają czerwonej krwi, podobnej do naszej, lecz bezbarwny płyn nie zawierający tlenu. Nie posiadają poza tym przewodu pokarmowego ani odbytu, jak również nigdy nie znalazio-

**35**

no wody ani pożywienia na pokładzie żadnego z pojazdów, które uległy wypadkowi.

Zupełnie nie wiadomo, czym się odżywiają, w każdym razie uważam, że z całą pewnością Francuzi nigdy nie zgodzą się polecieć z nimi na ich planetę, gdzie się



nie jada, ani nie pija ani nawet nie uprawia się miłości. Rząd francuski nie musi się więc obawiać ewentualnego exodusu swoich podwładnych, jest bowiem bardzo prawdopodobne, że im więcej będziemy wiedzieć na temat humanoidów, tym mniejszą ochotę będziemy mieli na to, aby zamieszkać wraz z nimi, w jakimś innym świecie, gdzie nasze potrzeby nie będą wydawały się już takie oczywiste.

Istnieją na szczęście i inne rodzaje humanoidów, które wydają się mieć wszystko to, co potrzeba, aby usatysfakcjonować istoty ludzkie i to najbardziej wymagające, tak mężczyzn jak i kobiety, o czym przekonamy się dalej; lecz jak dotąd nic nie wskazuje na to, aby poznali oni rozkosz, jakiej dostarcza antrykot po bearneńsku czy też chateauf-du-pa-pe, czym ryzykują utratę wielu sympatyków pośród naszych rodaków.

W każdym bądź razie, ci przybysze z kosmosu mają na pewno istotne powody, dla których tak często odwiedzają nas na Ziemi. Można byłoby w ostateczności założyć, że UFO lądują od czasu do czasu przez pomyłkę lub w następstwie jakiejś awarii, lecz w tym wypadku starałyby się przemieszczać niezauważone i odlatywać możliwie jak najprędzej. A my jesteśmy, coraz to częściej, nawiedza-

36

ni przez tajemnicze pojazdy, robiące wszystko, aby zostać przez nas zauważone i starające się, w sposób widoczny, porozumiewać z nami. Mają więc istotne powody, aby tak postępować i wydaje mi się, że udało mi się je rozszyfrować.

Moje studia, poszukiwania i przemyślenia doprowadziły mnie do absolutnej pewności, że przybysze z kosmosu starają się, przy pomocy komunikatów matematycznych, przestrzec nas przed mającym nastąpić wkrótce kataklizmem grożącym Ziemi, zapewne w roku 1982, kiedy to wszystkie planety ustawią się z jednej strony Słońca. Wszystkim nam zależy więc na tym, aby jak najszybciej odszyfrować przesłanie humanoidów, ażeby porozumieć się z nimi i, być może, skorzystać z ich rad, w celu uniknięcia katastrofy.

## **ROZDZIAŁ II**

### **NAPRAWY**

Spośród licznych zaobserwowanych przypadków pojawienia się latających talerzy najciekawszymi, poza ich katastrofami, są niewątpliwie te, w których zauważono humanoidów naprawiających swoje uszkodzone pojazdy. Jest wiele takich przykładów, ale my zajmiemy się kilkoma z nich, bardzo charakterystycznymi, z których trzy miały miejsce w Ameryce, jeden w Hiszpanii i jeden w Nowej Gwinei.

25 listopada 1964 roku w Nowym Berlinie w stanie Nowy York w USA, Marianna wraz z mężem Ryszardem była z wizytą u jego rodziców. Tamtego wieczoru Ryszard wraz z ojcem wyjechał na polowanie, a Marianna długo nie mogła zasnąć. Narzuciła szlafrok i wyszła na taras. Ujrzała spadającą gwiazdę zakreślającą wielki świetlisty łuk na niebie. Gwiazda zniknęła na wschodzie, za horyzontem. Ujrzała ją ponownie po sekundzie, jak spadała po linii prostej, dotarła aż nad drogę obok Five Corners,

## 38

następnie poruszała się wzdłuż niej, nad powierzchnią asfaltu, przez kilka metrów. (79)

Marianna zrozumiała wówczas, że to, co widziała, nie było spadającą gwiazdą, lecz latającym talerzem. Talerz wydawał dziwny szum. Marianna zawołała teściową i obie kobiety stały na tarasie, ażeby zobaczyć, co będzie działo się dalej. Zobaczyły nadjeżdżający samochód, który z pewnością widząc również ów latający talerz pospiesznie zjechał na skraj jezdni, aby go ominąć. Nadjeżdżające, zaraz potem, dwa inne samochody również ujrzały pojazd, lecz zamiast zatrzymać się, jak to zrobił poprzedni, odjechały z ogromną prędkością. W końcu latający talerz wylądował na polu, w pewnej odległości od domu i Marianna poszła po lornetkę, ażeby móc obserwować to, co się będzie dalej działo.

Zobaczyła wówczas sześć, bardzo podobnych do ludzi, dziwnych istot około dwumetrowej wysokości, ubranych w ciemne kombinezony i uwijających się wokół pojazdu. Pojazd stał na dwumetrowej długości nogach, pomiędzy którymi znajdował się silny reflektor skierowany na ziemię. Marianna ujrzała wtedy humanoidów dźwigających trzy skrzynie podobne do skrzyń na narzędzia. Były one na pewno bardzo ciężkie, gdyż nosili je po dwóch. Następnie wzięli się do pracy przy pojeździe używając narzędzi bardzo podobnych do naszych, jak twierdziła Marianna, która nie raz widziała swojego ojca naprawiającego maszyny rolnicze na farmie.

39

I wtedy właśnie nadleciał drugi latający talerz, prawdopodobnie pomoc techniczna, z sześcioma innymi humanoidami na pokładzie, którzy dołączyli do pozostałych, starając się naprawić uszkodzony pojazd. Wszystkie te istoty, których było teraz dwanaście, wyciągnęły ze spodu pierwszego talerza znacznej wielkości przedmiot, który musiał być czymś w rodzaju silnika i który starały się następnie naprawić używając jednakowej długości kawałków przewodów, które odcięły z dłuższego kawałka. W tym czasie wymontowały jakieś części silnika i zastąpiły je innymi, przyniesionymi z latającego talerza - pomocy technicznej.

Humanoidzi starali się następnie zamontować ponownie silnik, ale sprawiali wrażenie niezadowolonych z rezultatów swej pracy, poprawili jeszcze coś, potem ponownie zamocowali, lecz urządzenie nadal nie działało. Z niewiarygodną wręcz cierpliwością, znowu wymontowali tę część, położyli na ziemi i ponownie rozpoczęli naprawę, jeszcze raz nie osiągając pozytywnego rezultatu. Dopiero za czwartą próbą udało im się prawidłowo zamontować silnik i sprawiali wrażenie bardzo zadowolonych z wyników swej pracy.

Spakowali więc wszystkie narzędzia do skrzynek, zabrali wszystkie resztki przewodów i części pojazdu, włożyli je do pojazdu naprawczego i powrócili do swoich latających talerzy, które wystartowały natychmiast jeden za drugim z nieprawdopodobną prędkością i po kilku sekundach zniknęły w prze-

## 40

stworzach. Była dokładnie piąta rano. Naprawa latającego talerza trwała cztery godziny, przez które Marianna stała z lornetką na tarasie obok swojej teściowej, która również nie położyła się spać.

Jak tylko nazajutrz mąż Marianny wrócił z polowania, postanowiła pójść z nim na miejsce lądowania pojazdu, aby sprawdzić, czy nie pozostały jakieś ślady tego, co zaszło. Odnaleźli odcisnięty ślad pierwszego z pojazdów, wielki trójkąt równoboczny utworzony przez trzy trójkątne wklęsnięcia głębokie na około pięćdziesiąt centymetrów, co zdawało się wskazywać, iż to tam właśnie wylądować musiał ogromny i bardzo ciężki pojazd. Odnaleźli również mały kawałek kabla o trzycentymetrowej średnicy, którego izolacja zrobiona była z jakiegoś tworzywa sztucznego, zaś część metalowa była srebrzysta jak aluminium, lecz o wiele twardsza.

Marianna zapamiętała miejsce, gdzie odłożyła ten kawałek kabla, lecz gdy chciała pokazać go wywiadowcom lotnictwa amerykańskiego - zniknął bez śladu. Niektórzy myślą na pewno, że nie istniał on nigdy, lecz jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że to humanoidzi powrócili, by go zabrać, lub też sami wywiadowcy spowodowali zniknięcie tego zbyt niebezpiecznego dowodu rzeczowego, który mógłby zaświadczyć o tym, że latające talerze istnieją naprawdę.

Innym interesującym szczegółem jest też i to, że pies Marianny - spaniel, który uwielbiał wieczorami biegać po polach, nie odstępował jej ani na krok

41

w czasie owych czterech godzin, kiedy przebywali tam humanoidzi. Ta niewątpliwie prawdziwa historia, opisana w pasjonującej książce (79) ukazuje nam, że latające pojazdy kosmitów nie funkcjonują dużo lepiej od naszych. Wiemy skądinąd, że zdarza im się również rozbić o ziemię, podobnie jak i naszym »8725«.

Niespełna w rok po tym wydarzeniu, 23 października 1965 r. około godziny 7 wieczorem James Townsend jechał samochodem, jak zwykle z dużą prędkością. Był w odległości około 6 kilometrów od Long Prairie w stanie Minnesota. Wziął właśnie zakręt na pełnym gazie, kiedy nagle zauważył ogromny przedmiot na środku drogi. Gwałtownie zahamował, a jego samochód wpadł w poślizg i zatrzymał się w odległości około 6 metrów od tajemniczego obiektu, reflektory same zgasły, a silnik nagle przestał pracować. (79)

Zobaczył wówczas przed sobą wielki, pionowy i świetlisty cylinder o średnicy około 3 metrów i wysokości 10 metrów, zakończony u góry ściętym stożkiem. Pojazd ten wydawał się spoczywać w równowadze niestabilnej na trzech nogach w kształcie płetw. James należał do ludzi, którzy niczego się nie boją, postanowił więc przewrócić go za pomocą swojego samochodu, żeby przekonać się namacalnie o realności tego niezwykłego spotkania. Samochód jednak odmówił posłuszeństwa, a więc James wpadł na pomysł, aby zrobić to rękami. Zbliżył się już do pojazdu, gdy ujrzał trzy niezwykle istoty o cylind-

42

rycznych kształtach i rurkowatych kończynach, przypominające bardziej roboty niż humanoidów. Sprawiały one wrażenie, że naprawiają pojazd.

Pomimo swej zwykłej odwagi James pomyślał, że lepiej będzie wrócić do samochodu i spokojnie popatrzeć, co się będzie dalej działo. Zobaczył wówczas, jak roboty, czy też humanoidzi, wchodzą z powrotem do swojego pojazdu, który zaraz wystartował pionowo w blasku oślepiającego światła, które rozświetliło okoliczne

poła. James zauważył, że reflektory jego samochodu ponownie zapaliły się, a silnik sam zaczął pracować, bez konieczności użycia rozrusznika.

Okazało się, że wszystkie urządzenia elektryczne zatrzymały się w tym samym czasie w wyniku obecności UFO oraz uruchomiły się samoczynnie po jego zniknięciu. Jest więc, według mnie, bardzo prawdopodobne, że system napędowy tego pojazdu opierał się na nieznanym jeszcze na Ziemi zjawisku elektryczno-magnetyczno-grawitacyjnym. James udał się do szeryfa, aby opowiedzieć o swej przygodzie i razem z nim oraz jego zastępcą powrócił na miejsce zdarzenia. Odkryli na drodze trzy prostokątne wklęsłości o wymiarach 10 na 30 centymetrów, co odpowiadało trzem nogom tajemniczego pojazdu i co umocniło wiarygodność opowieści Jamesa To-wnsenda »9057«.

Następne zdarzenie miało miejsce prawie pięć lat później, 18 lutego 1970 r. Leona Nielsen i jej dwie przyjaciółki przebywały w domu letniskowym w gó-

### 43

rach Glacier Park w Montanie. Trzy przyjaciółki spędziły razem przemity wieczór i o godzinie pierwszej w nocy poszły spać, ale Leona długo nie mogła zasnąć. Okna jej pokoju wychodziły na Fiat River, rzekę płynącą u podnóża pagórka. Nagle jej pokój został rozświetlony skierowanym od dołu światłem i Leona wyszła na balkon, żeby zobaczyć, co się stało. (79)

Zauważyła wówczas na polu, na brzegu rzeki, ogromny latający talerz, którego średnica sięgała 20 metrów. Talerz otoczony był czymś w rodzaju szerokiej na 2 metry platformy. Dwie dziwne istoty krzątały się na tej platformie i sprawiały wrażenie, że naprawiają coś i to na pewno stosując spawanie, gdyż widać było rozpryskujące się iskry. Istoty te - normalnego wzrostu, z gołymi głowami, ubrane w białe kombinezony, w sposobie poruszania się i pracowania przypominały ludzi »0636«.

Leona, wraz z dwiema przyjaciółkami, które do niej dołączyły, śledziła tę trwającą około godziny naprawę pojazdu. Potem iskry przestały przyskać. Dwóch humanoidów wróciło do pojazdu, który natychmiast wystartował z niewiarygodną prędkością i zniknął w chmurach. Podobne wydarzenie, widziane nieco dokładniej, miało miejsce cztery lata później, w oddalonej o wiele tysięcy kilometrów od Montany Hiszpanii.

Nocą 20 marca 1974 r. kierowca hiszpański Maximilliano Sanchez jechał swą ciężarówką pomiędzy miejscowościami Horcajo i Lagunilla. Nagle

### 44

zauważył, w odległości około 600 metrów przed sobą, silne światło znajdujące się pośrodku drogi. Najpierw sądził, że to nadjeżdża z przeciwka jakiś samochód lub ciężarówka i wielokrotnie dawał sygnały światłami, ażeby nadjeżdżający kierowca włączył światła mijania. Światło przed nim było jednak ciągle silne i oślepiające, tak bardzo, że Sanchez musiał zatrzymać się na poboczu. (79)

W końcu światło stało się mniej ostre i Sanchez ruszył dalej, ale jak tylko przejechał dalsze 200 metrów, reflektory jego ciężarówki nagle zgasły, a silnik zamarł. Stwierdził, że zatrzymał się przed wspaniałym, metaliczno-srebrzystym latającym talerzem o średnicy około 12 metrów. Obiekt ten miał gładką powierzchnię, bez śladu nitów ani też żadnych otworów. Stał na trzech

zaokrąglonych na końcach nogach. Od spodu był oświetlony.

Sanchez zauważył też drugi latający talerz, który pozostawał w locie stacjonarnym podobnie jak śmigłowce, na prawo, ponad tym, który stał na ziemi i chyba uległ jakiejś awarii. Pojawiły się dwa dziwne stworzenia o ludzkim wyglądzie, ubrane w błyszczące kombinezony. Sprawiały wrażenie, że rozmawiają ze sobą, gestykulując niczym prawdziwi południowcy. Obaj humanoidzi zauważyli ciężarówkę Sancheza i wtedy jeden z nich pozostał przed swoim pojazdem, drugi natomiast odszedł na prawo.

W końcu obaj weszli do pojazdu, a ten uniósł się na wysokość jakichś dziesięciu metrów i przemieścił

45

się w pobliże drugiego, zatrzymując się, na tej samej co on wysokości. Widząc, że droga stała się wolna, a reflektory zapaliły się same, Sanchez spróbował włączyć silnik, co też od razu mu się udało. Odjechał czym prędzej w kierunku Langunilla. Ale ciekawość była silniejsza. Po przejechaniu kilkuset metrów zatrzymał się, zgasił światła i wysiadł z ciężarówki, aby popatrzeć, co się będzie dalej działo.

Zauważył wtedy, że pierwszy z latających talerzy powrócił na drogę, tam gdzie znajdował się poprzednio. Nagle ogarnął go paniczny strach, wsiadł do ciężarówki i jak najszybciej odjechał. Wrócił do domu w Langunilla i zaraz, nie jedząc nawet kolacji, położył się spać. Następnego dnia opowiedział swoją przygodę kolegom z pracy, ale nikt mu nie uwierzył. Tego dnia pojechał do Pinedy. Dostarczył tam ładunek materiałów budowlanych i skorzystał z okazji, aby odwiedzić tam swoją sympatię Anuncję Merino. Opowiedział jej swoją przygodę, a wtedy zaczęła nalegać, ażeby został u niej na noc. Nie chciała, aby jeździł po nocy.

Ale Sanchez nie usłuchał jej rad. Wsiadł do ciężarówki i pogrążył się w ciemności nocy, kierując się w stronę Langunilla. Około godziny 23.15 przybył do miejsca, gdzie poprzedniej nocy ujrzał dwa latające talerze. I tym razem zobaczył przed sobą światło pośrodku nocy. Jechał bardziej pewnie, przeświadczony, że skoro już raz humanoidzi przepuścili go poprzedniej nocy, to i teraz nie wyrządzą mu żadnej krzywdy. Znajdując się w odległości

46

200 metrów od źródła światła zauważył, że tym razem znajdowały się tam trzy latające talerze. Reflektory ciężarówki zgasły, silnik również, a on wysiadł, aby popatrzeć.

Drogę oświetlały światła trzech tajemniczych pojazdów, z których jeden znajdował się pośrodku drogi, a dwa pozostałe na prawo od niego i około 10 metrów ponad nim. Wokół uszkodzonego pojazdu na drodze pojawiło się teraz czterech humanoidów, z których jeden, zauważywszy Sancheza, zaczął iść w jego kierunku. Sancheza ogarnął paniczny strach, rzucił się do ucieczki przez pola i schronił się w rowie. Humanoid zniechęcony tym, że nie mógł go odnaleźć, powrócił do swego pojazdu i Sanchez zaryzykował wyjście ze swej kryjówki. Zauważył światła wioski Horacajo znajdującej się w odległości około 2 kilometrów od miejsca, gdzie wylądował pojazd. Usiadł, aby zapalić papierosa. Starł się uspokoić i powoli wrócił przez pola do swej ciężarówki.

Gdy dotarł na miejsce, zaskoczyło go, że drzwiczki zastał zamknięte. Pewien był, że pozostawił je otwarte, aby móc w każdej chwili szybko wejść z powrotem. Otworzył je bardzo ostrożnie pełen obaw, że humanoid mógł ukryć się w ciężarówce, ale nie było tam nikogo i uspokojony już trochę, usadowił się na swoim fotelu. Spróbował zapalić silnik i włączyć światła, ale nic nie działało, na pewno dlatego, że latające talerze były ciągle zbyt blisko ciężarówki.

## 47

Czterech humanoidów zaniepokojonych hałasem, którego narobił, wsiadło do latającego pojazdu, który, tak jak i poprzedniej nocy, uniósł się na wysokość około 10 metrów nad drogę, aby mu umożliwić przejazd. Reflektory ciężarówki zaświeciły się ponownie, silnik włączył się sam i Sanchez czym prędzej odjechał. Ale i tym razem, podobnie jak poprzednio, ciekawość była silniejsza od strachu. Zatrzymał się kilkaset metrów dalej, wysiadł z ciężarówki i kryjąc się, powrócił w pobliże latających talerzy.

Zatrzymał się, ukryty za wielkim krzakiem, około 10 metrów od uszkodzonego pojazdu, który, podobnie jak poprzedniej nocy, powrócił na drogę. Czterech humanoidów krzątało się wokół pojazdu niczym ludzie naprawiający jakąś maszynę rolniczą. Używali dziwnych narzędzi, z których jedno było w kształcie podkowy. Sanchez był przekonany, że humanoidzi nie zauważyli jego powrotu, ale po chwili ogarnął go niewytłumaczalny lęk i bezszelestnie powrócił do swej ciężarówki. Wrócił do domu i podobnie jak poprzedniej nocy bez kolacji położył się spać.

Nazajutrz opowiedział swą przygodę pracodawcy, a ten poradził mu, aby zameldować o niej policji. Co też się i stało, lecz policja przyjechała na miejsce zdarzenia dopiero po trzech dniach, gdyż musiała to uprzednio uzgodnić z władzami cywilnymi i wojskowymi. Policjant obarczony przeprowadzeniem dochodzenia odkrył niezwykle ślady pozostawione

## 48

w asfalcie oraz dość głęboką bruzdę, jakby ślad pozostały po ciągnięciu bardzo ciężkiego przedmiotu. Kilka dni później przybyło z Madrytu do Langunilla dwóch nieznajomych podających się za oficjalnych ekspertów w dziedzinie UFO. Z licznikiem Geigera w ręku stwierdzili istnienie trzech kół o zwiększonej radioaktywności, co mogłoby być wytłumaczone następującymi po sobie lądowaniami uszkodzonego pojazdu. Nie odnaleźli oni jednak żadnego śladu, który mógłby zostać odcisnięty w asfalcie przez jedną z nóg pojazdu. Sanchez widział te same pojazdy dokonujące różnych napraw jeszcze dwa razy w ciągu następnych miesięcy, lecz przelatywały one wtedy spokojnie nad jego głową i nie budziły już żadnego niepokoju. Przyznaje jednak obecnie, że pamiętnej nocy, pomimo ogromnej ciekawości, ogarniał go potworny lęk »2127«.

Sześć lat później, 9 stycznia 1976 r. około godziny 7 wieczorem Jean Dolecki jechał furgonetką wiejską drogą w okolicach Saint-Jean-en-Royans. Nagle zauważył na niebie silne błyszczące światło. Jako że spieszył się do domu, nie zwracał na nie szczególnej uwagi aż do momentu, kiedy stwierdził, że owe światło zniża się dokładnie w jego kierunku. Najpierw zwolnił, po czym zjechał na pobocze drogi. Widząc, że jest to UFO i że najprawdopodobniej rozbije się na drodze dokładnie

przed nim, zatrzymał się gwałtownie. (79)

Wyłączył silnik, ale pozostawił włączone światła i wysiadł z samochodu, by zobaczyć, co się dzieje.

49

Latający talerz o średnicy około 20 metrów wylądował w odległości około 100 metrów od niego. Znajdujące się w jego górnej części drzwi otworzyły się. Wyszły przez nie trzy dziwne stwory, wysokie na około 2 metry, ubrane w srebrzyste kombinezony. Z racji sztuczności ich ruchów przypominały bardziej roboty niż humanoidów. Ale to o niczym nie świadczy, bo przypomnijmy sobie, że jak widzieliśmy w telewizji, nasi kosmonauci na Księżycu również bardziej przypominali roboty niż istoty ludzkie.

W każdym bądź razie, Jean Dolecki jest przekonany, że te istoty, które widział, były robotami i nie ma żadnego powodu, aby sugerować coś innego. Roboty kręciły się wokół uszkodzonego, jak się zdaje, pojazdu i wyglądało na to, że starają się usunąć awarię. Następnie powróciły do latającego talerza, a ten wystartował pionowo z zadziwiającą prędkością i zniknął gdzieś na niebie. Dolecki wsiadł do furgonetki i pojechał do domu, gdzie opowiedział swoją przygodę żonie i córce, które nie mogąc się go doczekać, zasiadły do kolacji. Następnie zatelefonował na policję i, o dziwo, wbrew jego obawom, policjant nie miał żadnych wątpliwości, że to, co relacjonuje, jest najprawdziwszą prawdą. Kiedyś, w 1974 roku, dwóch jego ludzi uczestniczyło w podobnym zdarzeniu w Saint-Nazaire-en-Royans, a wierzył mu tym bardziej, że znał go dobrze już od dawna i wiedział, że byłby on niezdolny do wymyślenia podobnej historii.

Zdarzenie to miało miejsce w pobliżu farmy Alfonsa Carrus, który stwierdził, że tego wieczoru

## 50

obraz telewizyjny był bardzo zły, a nawet, około godziny 7 wieczorem, nastąpiła jakaś przerwa w odbiorze. Jest więc więcej niż pewne, że Jean Dolecki mówił prawdę i że istotnie musiał widzieć uszkodzony latający talerz, a także humanoidów starających się usunąć awarię.

Sześć miesięcy później, 10 czerwca 1976 roku około godziny 1.30 w nocy, młoda, dwudziestoletnia Francuzka Helenę Giuliana jechała samochodem drogą państwową nr 538. Była w kinie w Valence i wracała do domu. Nagle w jej samochodzie zgasły światła i przestał pracować silnik. Zauważyła wówczas na samym środku jezdni, w odległości około 20 metrów, latający talerz koloru pomarańczowego oraz humanoidów sprawiających wrażenie, że coś w nim naprawiają. Kompletnie przerażona zablokowała wszystkie drzwiczki samochodu. Potem straciła przytomność. (79)

Jak tylko doszła do siebie, przekręciła kluczyk w stacyjce i silnik dał się uruchomić natychmiast. Również bez problemów włączyła światła. Zauważyła, że latający talerz zniknął bez śladu. Wróciła do domu. Była już godzina 4 rano, a ona nie była w stanie przypomnieć sobie, co działo się przez dwie godziny, kiedy była nieprzytomna. I z pewnością nie dowie się tego nigdy, bo nie zdobyła się na to, by poddać się hipnozie,

aby o wszystkim dokładnie się dowiedzieć. Być może dlatego, że ma mgliste odczucie, że została uprowadzona do owego pojazdu, a tam zgwałcona przez humanoida, co zdarzyło się

51

już wielu innym osobom, a wolałaby nic o tym nie wiedzieć. W każdym bądź razie jest pewna, że widziała uszkodzony latający talerz i humanoidów, którzy go naprawiali »2940«.

Inny niecodzienny przypadek ujrzenia humanoidów naprawiających latający talerz miał miejsce 26 czerwca 1959 roku w Boinai w Nowej Gwinei. Tamtego dnia około godziny 7 wieczorem pewien misjonarz anglikański o nazwisku William Gili przebywał wraz z grupą swoich parafian na plaży. Nagle ujrzał ogromnych rozmiarów latający talerz o klasycznym wyglądzie i zwieńczony przezroczystą kopułą. Wkoło rozmieszczone były świetliste bulaje podobne do tych, jakie spotykamy w samolotach. Pojazd pozostawał w locie stacjonarnym kilka metrów nad powierzchnią morza, w odległości około 100 metrów od brzegu. (59)

Średnica owego pojazdu wydawała się w przybliżeniu pięć razy większa od średnicy Księżyca widzianego z tamtego miejsca. Tym samym pojazd nie mógł być planetą Wenus, która jest o wiele mniejsza, tym bardziej że widać było Wenus, jak znika na horyzoncie, na prawo od latającego talerza. Ten widok z początku nie zaskoczył zbytnio ani Williama Gilla, ani też tubylców, dla których nie był on czymś niespotykanym, gdyż w ostatnich dniach miało miejsce tam coś, co można byłoby nazwać prawdziwą inwazją podobnych latających talerzy.

Ale ten pojazd był bardzo szczególny, gdyż wokół kopuły krzątało się trzech humanoidów, najwyraź-

52

niej coś tam naprawiających. Gdy tylko humanoidzi zauważyli patrzących na nich tubylców zgromadzonych na plaży, pozdrowili ich przyjacielskimi gestami i powrócili do swej pracy. Naprawa trwała przeszło cztery godziny, od 18.45 do 23.05, po czym humanoidzi wsiedli do pojazdu, który wystartował pionowo w górę i zniknął w przestworzach »6746«.

Sądzę, że ten rozdział poświęcony naprawom latających talerzy należało zakończyć opisem tej właśnie nadzwyczajnej historii, która została już prawie zaakceptowana przez oficjalną naukę. Wydarzenie to jeszcze raz nam udowadnia, że nasi pozaziemscy goście, jeśli już muszą dokonać jakiejś naprawy swojego pojazdu, wolą zrobić to raczej na jakiejś bezludnej plaży w Nowej Gwinei niż na plażach Pampelonne w Saint-Tropez czy też La Jolla w San Diego.

### **ROZDZIAŁ III**

#### **SYSTEM NAPĘDOWY LATAJĄCYCH TALERZY**

Jedną z najbardziej fascynujących tajemnic latających talerzy jest tajemnica źródła zasilania ich napędu, która zdaje się przeczyć wszystkim prawom naszej klasycznej



fizyki. Zagadnienie to było bardzo wnikliwie studiowane przez uczonych francuskich Claude'a Poher, Pierre'a Guerin i Jean-Pierre'a Petit. Ich prace znane są większości francuskich ufologów.

Ja również prowadziłem badania w tym kierunku i doszedłem do wniosku, że system napędowy latających talerzy jest jednocześnie elektryczny, magnetyczny i grawitacyjny. Sądzę, że oparty jest na jednolitej teorii pola, nad którą Einstein pracował aż do swej śmierci i zmarł w przekonaniu, że nie udało mu się uzyskać pomyślnych rezultatów. Obecnie natomiast wydaje się, że udało mu się doskonale ją udowodnić.

Einstein sprawdzał słuszność tej teorii korzystając nawet z pomocy marynarki Stanów Zjednoczonych.

54

Było to fantastyczne doświadczenie, bardziej jakby z pogranicza magii niż z fizyki. Uczony był do tego stopnia przerażony wynikami doświadczenia i mogącymi z niego wynikać konsekwencjami, że pomimo silnej presji wywieranej przez rząd amerykański zrezygnował z dalszych badań. Ale to już dłuższa historia, opisana niedawno w pasjonującej książce Williama Moore'a i Charlesa Berlitz'a. Warto tu opowiedzieć ją dokładnie. (87)

W małym miasteczku Zanesville w stanie Ohio urodził się w 1905 roku chłopczyk o nazwisku Townsend Brown. Od najmłodszych lat pasjonował się zagadnieniem podróży w przestworzach. W tamtych czasach, mimo niedawnych sukcesów pionierów lotnictwa takich, jak Farman i Bleriot we Francji czy też bracia Wright w Ameryce, takie podróże uznawane jeszcze były za dziedzinę science-fiction.

Młody Brown będąc w high school, co odpowiada naszemu liceum, spędzał cały swój wolny czas na przeprowadzaniu przeróżnych doświadczeń z dziedziny elektryczności, magnetyzmu i elektroniki. I czekał na swój wielki dzień. Były to czasy wynalezienia trójelektrodowej lampy radiowej pozwalającej na przepływ elektronów z żarnika na anodę i na regulację natężenia tego przepływu. Osiągano to zmieniając wartość napięcia przyłożonego do siatki lampy elektronowej, wykonanej w kształcie sprężyny i okalającej żarnik znajdujący się wewnątrz cylindrycznej anody.

55

Były to również czasy wynalezienia opartej na podobnych zasadach lampy emitującej promienie X, zwanej też lampą Coolidge'a lub Roentgena, od nazwisk uczonych, którzy niezależnie od siebie wynaleźli ją w 1913 r. Młody Brown był zafascynowany tym wynalazkiem i to nie tylko z powodu sensacyjnego odkrycia promieni X, lecz także i dlatego, że sądził, iż to lub inne urządzenie skonstruowane na podobnych zasadach pozwoli mu pewnego dnia odkryć tajemnicę podróży w przestrzeni.

Sądził, że cudowna lampa, która emituje tak potężne promieniowanie w jednym, określonym kierunku musi, co wydaje się logiczne, wytwarzać jakąś nieznaną jeszcze kontrsiłę w kierunku przeciwnym. Jednym słowem, ten genialny młody człowiek wiedział już sześćdziesiąt lat temu, że niektóre rodzaje promieniowania elektromagnetycznego, jak na przykład promieniowanie emitowane przez Słońce, mogą wywierać na materię nacisk nieskończenie mały, lecz mimo to dający się

zmierzyć.

Brown, będąc jeszcze w szkole średniej, przeprowadził doświadczenie o jakim akademickim uczonym jeszcze się nie śniło. Zmontował mianowicie swoją lampę Coolidge'a w ten sposób, że znajdowała się ona w położeniu równowagi niestabilnej i podłączył napięcie wielu tysięcy voltów. Przesuwał urządzenia pomiarowe wokół lampy z nadzieją, że uda mu się zanotować jakąkolwiek siłę elektryczną czy magnetyczną, lecz nie zauważył absolutnie nic.

56

Nagle, gdy podłączył do owej lampy napięcie 10 000 voltów, zauważył lekkie drgnięcie lampy, jak gdyby usiłowała się unieść. Potrzebował jednak trochę czasu na to, aby zrozumieć to, co się wydarzyło. Uważał jednak, że wystąpienie tego zjawiska zawdzięczał przyłożeniu bardzo wysokiego napięcia, nie zaś promieniom X.

Brown postawił więc lampę na bardzo czułej wadze, dokładnie ją zważył i stwierdził, że lampa traciła lub zyskiwała 1 procent swej wagi, zależnie od biegunowości, zawsze gdy podłączył do niej napięcie równe 10000 voltów. W wieku szesnastu lat Town-send Brown odkrył nowe prawo fizyki, o którym nikomu się jeszcze nie śniło i które wszystkim wydawało się nieprawdopodobne.

Skonstruował wówczas grawitor, bardzo proste urządzenie z bakielitu w kształcie pudełka, którego długość wynosiła 36 centymetrów, a szerokość i wysokość po 12. Było to pierwsze urządzenie anti-grawitacyjne, jakie zostało skonstruowane w czasach nowożytnych, ale z pewnością nie było ono pierwszym, jakie stworzono kiedykolwiek na Ziemi, czy to przez ludzi czy też przez astronautów przybyłych z kosmosu.

Najsmutniejsze jest jednak to, że oficjalna nauka zignorowała całkowicie jego odkrycie i poza kilkoma artykułami w prasie lokalnej nikt się nim nie zainteresował ani też żaden uczony nie spróbował nawet powtórzyć tego doświadczenia. Trzeba było dwudziestu lat i geniuszu Alberta Einsteina, aby to

57

odkrycie dotarło wreszcie do świadomości oficjalnej nauki i aby rozpoczęto poszukiwania możliwych zastosowań tego zjawiska.

W wieku siedemnastu lat, z dyplomem high school w kieszeni, Brown dostał się do Instytutu Technologii w Kalifornii, znanego tam pod nazwą Caltech, gdzie pracował pod kierunkiem znanego, nieżyjącego już fizyka Roberta Millikana. Szybko zyskał sobie uznanie wśród profesorów, lecz wcale nie dlatego, że przewidywał możliwość istnienia nieznannej siły elektrogravitacyjnej w rodzaju znanej już od dawna siły elektromagnetycznej.

Ci doświadczeni mędrcy, okryci chwałą i laurami, przekonani byli, iż posiadli wiedzę absolutną i pogrążeni jeszcze w racjonalistycznej nauce poprzedniego stulecia, zwalczali wszelkie nowe idee i odkrycia. Poza tym, teoria Browna nie tylko była nowa, była wręcz rewolucyjna. Nie miała więc najmniejszych szans na przyjęcie jej przez ludzi z innej epoki. Zadziwiające jest, jak uczniowie tych, skądinąd ograniczonych, nauczycieli zdolali pięćdziesiąt lat później wysłać ludzi na Księżyc. Co prawda, bardzo im pomogli uczeni o otwartych umysłach i o wiele rozleglejszej wiedzy, którzy przybyli z całego świata. Stracili oni, notabene, dużo zdrowia w walce

z biernością i ograniczeniem umysłów wojskowych, którym podlegał ten program. Opowiadałem już o tym w mojej poprzedniej książce\* i nie uważam za stosowne wracać tu do tego ponownie.

\* „Czas i przestrzeń” 58

Zniechęcony tym stanem rzeczy Brown spędził jeden rok w Kenyon College w Gambier w Ohio, a następnie wstąpił na uniwersytet Denison w Gran-ville, też w Ohio. I tam właśnie sytuacja zaczęła ulegać zmianie. Studiował elektronikę na wydziale fizyki kierowanym przez profesora astronomii i fizyki Paula Biefelda, który niegdyś studiował w Szwajcarii razem z Albertem Einsteinem. Biefeld, którego ciekawość rozbudziła się na pewno pod wpływem europejskiego modelu kształcenia, zainteresował się natychmiast odkryciem dokonany przez Browna. Pracowali wspólnie nad jego udoskonaleniem i używając kondensatorów naładowanych do wysokiego napięcia, odkryli ostatecznie nowe prawo fizyki znane dzisiaj pod nazwą zjawiska Biefelda-Browna.

Według tego nowego prawa, kondensator naładowany do wysokiego napięcia wykazuje tendencje do unoszenia się od strony jego bieguna dodatniego, czyli jest to zjawisko odkryte już wiele lat wcześniej przez Browna. Ale niestety to odkrycie zostało uznane dopiero wówczas, gdy firmowało je również nazwisko znanego powszechnie uczonego.

Brown spędził jeszcze cztery lata w obserwatorium w Swazey w Ohio, po czym ożenił się i w 1930 r. rozpoczął pracę w laboratorium badań okrętowych w Waszyngtonie jako specjalista w dziedzinie promieniowania, spektroskopii i fizyki eksperymentalnej.

Po kilku latach, w 1939 r., będąc porucznikiem rezerwy marynarki, wstąpił jako inżynier do towa-

59

rzystwa badań powietrzno-przestrzennych Martin w Baltimore. Niestety, nie zdążył nawet tani się przeprowadzić, gdyż został zmobilizowany i powierzono mu funkcję oficera odpowiedzialnego za badania w dziedzinie wybuchów min akustycznych i magnetycznych. To tam właśnie miał wreszcie możliwość dać upust swemu niepokonanemu geniuszowi i tam również odnajdziemy nasz problem latających talerzy.

W tamtych latach, w 1925 r. Albert Einstein odkrył nowe prawo nazwane Unified Field Theory lub jednolitą teorią pola. Opisane tam pole składałoby się z pola elektrycznego, magnetycznego i grawitacyjnego, stanowiących jedną, wspólną siłę. Było to prawo oparte na analogicznych założeniach jak to, które już kilka lat wcześniej sformułował Townsend Brown. Einstein zdał sobie sprawę, iż to odkrycie mogłoby zostać wykorzystane do stworzenia potwornej broni i, jako pacyfista z przekonania, postanowił go nie ujawniać w obawie, aby nie stać się odpowiedzialnym za ogromne spustoszenie, któremu to odkrycie mogłoby dać początek.

Lecz w 1940 r. gdy zaistniała obawa, że Niemcy mogą wygrać wojnę, Einstein potajemnie zaproponował amerykańskiej marynarce wojennej swoje usługi w przeprowadzeniu badań dla celów ściśle wojskowych. Nigdy nie stwierdzono,

jakie wzajemne powiązania łączyły w owych czasach Einsteina i Browna, którzy obaj pracowali nad najbardziej tajnymi planami rządu amerykańskiego. Pewne jest

60

jednak to, że trzy lata później w 1943 roku marynarka amerykańska przeprowadziła nieprawdopodobne wprost doświadczenie, mające wręcz więcej wspólnego z czarną magią niż nauką, które znane jest obecnie pod nazwą doświadczenia z Filadelfii. Doświadczenie to polegało na wywołaniu stanu lewitacji i niewidzialności.

Według relacji jego naocznych świadków wyglądało to tak: jeden z niszczycieli marynarki wojennej otoczony został silnym polem elektrycznym, magnetycznym i grawitacyjnym, co sprawiło, że nagle zniknął i za kilka sekund pojawił się znowu, lecz w zupełnie innym miejscu, po czym powrócił dokładnie na to samo miejsce w porcie wojskowym w Filadelfii, gdzie znajdował się pierwotnie.

Niestety, żyje obecnie tylko kilku świadków tego nieprawdopodobnego wydarzenia. Niektórzy z nich zmarli bez żadnej istotnej przyczyny już w trakcie przeprowadzanego doświadczenia, inni stracili zmysły i przebywają w zakładach zamkniętych, jeszcze inni w tajemniczych okolicznościach stracili życie, czego powodem niewątpliwie był fakt, iż zbyt dużo wiedzieli, niektórzy wreszcie zniknęli, bez śladu, w głębi Kanady czy Meksyku w przekonaniu, że ich życiu zagraża niebezpieczeństwo.

Badaczom Moore'owi i Berlitzowi udało się jednak dotrzeć do owych ukrytych świadków i namówić ich do zdradzenia szczegółów tego doświadczenia. Wkrótce i my je poznamy dzięki książce, która niedługo ukaże się we Francji. Wystarczy

61

## 1

tylko w tym momencie powiedzieć, że obaj uczeni - Townsend Brown i Albert Einstein brali udział w tym przedsięwzięciu, a efekty jego były tak przerażające, że nikt nigdy nie ośmielił się go powtórzyć.

Tymczasem badania prowadzono dalej, ale w największej tajemnicy. Einstein zmarł, lecz Brown żyje do tej pory, mieszka w Kalifornii i na pewno dręczy go obsesja wizji apokalipsy, którą wywołał w bazie okrętowej marynarki amerykańskiej, trzydzieści siedem lat temu. I z pewnością jest przekonany, że latające talerze napędzane są takim samym polem elektryczno-magnetyczno-grawitacyjnym jak to, które odkrył w wieku szesnastu lat.

Istnieje zresztą przypadek tajemniczego lądowania pozaziemskiego pojazdu, który jakby udowadnia prawdziwość teorii Browna. Rodzina Jalberts zamieszkująca w Fremont w New Hampshire, obok linii wysokiego napięcia, często widywała tajemnicze pojazdy unoszące się ponad słupami wysokiego napięcia. Pewnego dnia, w październiku 1965 roku, syn Jalbertsów Joseph zauważył wysoko na niebie ogromny pojazd w kształcie cygara lub przechylonego dysku, ustawiony prostopadle do linii. Wysunął się z niego pomarańczowy latający talerz w kształcie dysku, który następnie zniżył się powoli na odległość około metra nad druty wysokiego napięcia i spuścił na nie srebrzysty kabel.

Po pewnym czasie kabel powrócił do latającego talerza, a wtedy pojazd

wystartował pionowo i połą-

62

czył się z cygarem, z którego uprzednio się wydostał. Matka Josepha, która była wtedy w pobliżu Manchester, oddalonego o 30 kilometrów od Fremont, również zaobserwowała to zjawisko. Do dnia, kiedy miało miejsce ogromne zwarcie elektryczne, które spowodowało spalenie wszystkich bezpieczników w całym regionie i pogrążenie go w ciemnościach na wiele godzin, zanotowano w sumie 73 różne przypadki ładowania przez latające talerze akumulatorów czy też kondensatorów na liniach wysokiego napięcia. Przypadki te poparte są relacjami naocznych świadków. Poza tym, towarzystwa energetyczne przyznały, że przybysze z kosmosu kradną im w ten sposób znaczne ilości energii. Lecz komu miały się poskarżyć? Wszak rząd amerykański wciąż utrzymuje, że latające talerze nie istnieją.

W rzeczywistości, jeśli założymy, że system napędowy latających talerzy działa w oparciu o pole elektryczno-magnetyczno-grawitacyjne, to nie umiemy jeszcze do końca tego wyjaśnić ani tym bardziej odtworzyć w laboratorium. Podstawowa różnica między tym, co głosi oficjalna nauka, a tym co twierdzi Townsend Brown polega na tym, że Brown jest przekonany o istnieniu związku pomiędzy elektrycznością a grawitacją i uważa, że udowodnił to już wystarczająco, najpierw za pomocą swojego grawitora, a następnie w efekcie słynnego doświadczenia z Filadelfii.

Dla Browna ten związek uwidacznia się we wszystkich dielektrykach, czyli izolatorach, takich jak na

63

przykład bakelit lub teflon, posiadających właściwości utrzymywania bardzo wysokich ładunków elektrycznych bez zdolności przekazywania ich natychmiast sąsiadującym metalom, pod warunkiem że ładuje się powoli, uwzględniając czas potrzebny na przyjęcie ładunku.

Niektóre ostatnio odkryte dielektryki mogą być ładowane bardzo wysokimi ładunkami elektrycznymi i rozładowywane bardzo szybko, nawet z częstotliwością wielu tysięcy razy na sekundę. To właśnie ten rodzaj dielektryków interesował najbardziej Townsenda Browna.

W 1953 roku, na przykład, udało mu się wprawić w ruch po obwodzie koła o średnicy 6 metrów, sześćdziesięciocentymetrowy dysk. Przymocował do osi centralnej dysku przewód elektryczny, którym dostarczył prąd o wartości jednego miliampera pod wpływem napięcia 50000 voltów, to znaczy moc równą 50 watów. Dysk osiągnął prędkość około 5 metrów na sekundę, czyli blisko 20 kilometrów na godzinę, co było całkiem niezłym wynikiem, jak na początek.

W trakcie jednego z doświadczeń Brown wprawił w ruch po kole o średnicy 15 metrów całą serię dysków o średnicy 1 metra każdy, a efekty tego były tak nadzwyczajne, że rząd amerykański natychmiast postanowił uznać to za TOP SECRET, pomimo iż Brown przeprowadzał te doświadczenia na własny koszt. Jednocześnie obiecano mu dla prowadzenia dalszych badań znaczną pomoc finansową.

64

Zniechęcony jej brakiem, zdecydował się wyjechać w 1955 roku do Europy, w nadziei znalezienia tam świata naukowego bardziej otwartego na nowości. W Ameryce bowiem posiadał wielu zaciekle wrogów swego geniuszu. Pojechał najpierw do Anglii, potem do Francji, gdzie szczególnie w SNCASO, bardzo dobrze go przyjęto. (SNCASO - Południowo-Zachodnie Państwowe Towarzystwo Przemysłu Aeronautycznego, które w późniejszych latach stworzyło samoloty Caravelle i Concorde).

W czasie serii doświadczeń przeprowadzonych w tajemnicy w laboratoriach badawczych tego towarzystwa Brownowi udało się przeprowadzić to samo doświadczenie z dyskami, ale tym razem w próżni. Jego dyski osiągały w niej nieprawdopodobną prędkość. Udowodnił tym samym, że jego urządzenia latają lepiej w środowisku bez powietrza i latają tym prędzej, im wyższe napięcie zostaje do nich przyłożone. Uczni francuscy przewidywali już osiągnięcie prędkości wielu setek kilometrów na godzinę przy napięciach rzędu 500000 voltów, kiedy to nagle wszystkie prace zostały przerwane na skutek zmiany kierownictwa. Mafii nauki akademickiej jeszcze raz udało się zdławić nowe odkrycie prawdziwej wiedzy.

Jest bowiem wielce wątpliwe, aby francuskie środowiska naukowe mogły znieść myśl, że jakiś prawie nikomu nieznany uczonej amerykański będzie ich uczył praw nowej fizyki przyszłości. Skoro ich nie znali, znaczyło to dla nich, że po prostu nie mogą istnieć. W każdym bądź razie Brown, pełen

65

niesmaku, został zmuszony powrócić w 1956 roku do Ameryki, a Francja straciła wielką okazję zdobycia pierwszeństwa w wyścigu o podbój przestrzeni kosmicznej. Uczonym radzieckim, na pewno bardziej otwartym na nową wiedzę niż ich francuscy czy amerykańscy koledzy, udało się, w rok później, umieścić satelitę na orbicie wokółziemskiej. Jestem im zresztą bardzo wdzięczny, gdyż to dzięki ich Sputnikowi powstały amerykańskie programy badawcze przestrzeni kosmicznej, którym poświęciłem przeszło dwadzieścia lat mojego kalifornijskiego życia.

Po powrocie do Ameryki Brown rozpoczął pracę jako inżynier doradczy programu Whitehall-Rand poświęconemu badaniom nad wyeliminowaniem siły ciężkości na Ziemi lub grawitacji w przestrzeni kosmicznej. Badania te były prowadzone pod kierownictwem Agnew Bahnsona, prawdziwego fanatyka lotów kosmicznych. Miał on nadzieję być w bliskiej przyszłości pierwszym człowiekiem lądującym na Księżycu. Na własny koszt wybudował wspaniałe wyposażone laboratorium i zaprosił do współpracy Browna, dla którego było to zupełnie nieoczekiwanym uśmiechem losu.

Brownowi zaczęła wracać radość z życia i z pracy. W tym czasie wydarzyło się coś bardzo podejrzanego - doświadczony pilot Bahnson zabił się w dziwnych okolicznościach lecąc swym prywatnym samolotem. W dziwnych okolicznościach, gdyż zaczął o linie wysokiego napięcia. Zapewne mafia oficjalnej

66

nauki przyłożyła do tego rękę. Takie jest moje zdanie. Nie była bowiem w stanie zaakceptować nowych odkryć podważających dawno ustanowione prawa nauki i

mogących zachwiać jej dawno ustaloną pozycją akademicką.

Brown, będąc przekonany, że jest już wystarczająco znany, aby móc samodzielnie stanąć na nogi, założył w 1958 roku własną firmę pod nazwą Rand International. Tymczasem, pomimo wielu starań, za każdym razem, gdy wydawało mu się, że już otrzymał zamówienie na przeprowadzenie badań dla rządu czy też prywatnych przedsiębiorstw, ciągle ta sama siła nieczysta sprawiała, że osoby wcześniej nimi zainteresowane zmieniały nagle zdanie i to bez przedstawiania mu jakichkolwiek wyjaśnień.

Brown w końcu zaprzestał tej walki z wiatrakami, trudniejszej do wygrania niż rozwiązanie problemu przyciągania ziemskiego. Obecnie żyje spokojnie w Kalifornii kontynuując swoje badania, ale już bez żadnego rozgłosu, a tylko korzystając z cichej pomocy swoich przyjaciół z NASA, Stanford Research Institute oraz Uniwersytetu Kalifornijskiego. W przeciwieństwie do zwolenników oficjalnej nauki, doskonale zdają sobie oni sprawę z tego, że Brown jest największym geniuszem żyjącym w naszych czasach. Jest on również jedynym żyjącym człowiekiem, który miałby szansę odkryć pewnego dnia tajemnicę napędu latających talerzy, choć na pewno nie jest jedynym, który pragnie poznać tajemnicę grawitacji, stanowiącą niewątpliwie najistotniejszy jego element.

67

Według teorii Einsteina, ażeby wytworzyć promieniowanie grawitacyjne lub fale grawitacyjne, wystarczyłoby gwałtownie wyzwolić znaczną masę. Lecz skoro grawitacja jest najsłabszą ze znanych sił, wydawało się oczywiste, że żadne ludzkie działanie nie jest w stanie wytworzyć fal grawitacyjnych na tyle silnych, aby je wykryć. Większość naukowców uznała w związku z tym za niecelowe konstruowanie receptora fal grawitacyjnych, skoro nie istniało żadne znane źródło, zdolne wytwarzać takie fale, a tym bardziej wysyłać je na odległość.

Szczęśliwie dla rozwoju nauki, znalazł się pewien uparty badacz, który się z tym nie zgadzał. Był nim Joseph Weber z uniwersytetu w Maryland. W 1969 roku polecił on wyprodukować aluminiowy cylinder ważący tonę, zawiesił go w próżni i starannie odizolował od wszelkich drgań mechanicznych oraz otaczających go zakłóceń elektromagnetycznych. Przymocował do cylindra kwarcowy detektor o czułości tak wielkiej, że mógł on rejestrować nawet najmniejsze drgnięcia, o wielkości porównywalnej z wielkością jednej tysięcznej części jądra atomowego.

Po upewnieniu się, że jego receptor grawitacyjny działa bez zarzutu i że najprawdopodobniej istotnie zarejestrował jakieś fale grawitacyjne niewiadomego pochodzenia, Weber skonstruował następny cylinder, który umieścił w odległości kilkuset kilometrów od pierwszego i oba połączył ze sobą linią telefoniczną. Było oczywiste, że tylko fale grawitacyjne po-

68

chodzenia pozaziemskiego mogłyby wprawić w drgania oba receptory jednocześnie.

I tak się właśnie stało. Oba receptory zarejestrowały dokładnie w tym samym momencie fale grawitacyjne przychodzące z kosmosu regularnie co 4 dni, to znaczy z częstotliwością około 3 milionowych części cykła na sekundę, czyli 6 milionów miliardów razy mniejszą od częstotliwości fal elektromagnetycznych stosowanych w

dzisiejszych czasach w telekomunikacji.

Joseph Weber ogłosił wówczas, że udało mu się odebrać fale grawitacyjne pochodzące z głębi naszej galaktyki, ale jak można się było tego spodziewać, jego odkrycie zostało bardzo chłodno przyjęte przez świat naukowy. Jego koledzy, zwolennicy oficjalnej nauki, utrzymywali, że takie fale mogłyby zostać wytworzone tylko przez ogromne masy przemieszczające się z ogromnymi prędkościami, a takie zjawisko nie miało miejsca tam, skąd pochodziły owe fale.

Jak można się było spodziewać, jego koledzy po fachu nie mieli racji, co udowodnił inny uczoney Joseph Taylor, odkrywając w 1974 roku w gwiazdozbiorze Aquila, czyli Orła, pulsar, oddalony o 15 000 lat świetlnych od Ziemi. Pulsar powstaje przeważnie w wyniku eksplozji supernowej, gdy materia koncentruje się tworząc gwiazdę złożoną z neutronów. Ten rodzaj gwiazdy zawdzięcza swoją nazwę temu, iż emituje regularne pulsacje światła, fal elektromagnetycznych, promieni X oraz innego promieniowa-

69

nia. Dzieje się tak z powodu bardzo wysokiej temperatury oraz ogromnej prędkości wirowania.

Pulsarowi Aquila towarzyszy niewidoczny odpowiednik, którego stanu, jak do tej pory, nie udało się jeszcze określić. Te dwie gwiazdy krążą wokół siebie, a okres ich wzajemnego obiegu i zamiany orbit przy prędkości około 300 kilometrów na sekundę, czyli jednej tysięcznej prędkości światła, wynosi około osiem godzin. Według teorii Einsteina, wielkość masy i prędkości każdej z tych dwóch gwiazd powinna być wystarczająco duża, aby móc emitować fale grawitacyjne.

Cykl pulsowania grawitacyjnego w rytmie czte-ry-dwadzieścia-S7esnaście godzin mógłby się brać z kombinacji okresów wzajemnych obrotów, trwających dla jednej gwiazdy osiem godzin, a dla drugiej 8,728, lub też innej podobnej kombinacji. A więc Joseph Weber miał rację, w przeciwieństwie do tego, co głosiła oficjalna nauka.

Proszę wybaczyć mi tę dygresję na temat fizyki i astronomii, która, wydawać by się mogło, nie dotyczy tematu tej książki. Sądzę jednak, że zainteresuje to niektórych czytelników, gdyż ukazuje w sposób przekonujący, jak ciągle mało wiemy z dziedziny fizyki i astronomii. To najprawdopodobniej dlatego nie udało nam się poznać tajemnicy napędu latających talerzy, którego zasada działania oparta jest na nieznanym nam prawach grawitacji Wszechświata.

## **ROZDZIAŁ IV**

### **UPROWADZENIA W BRAZYLII**

Teoria względności, według której pojęcie czasu w przestrzeni różni się od pojęcia czasu na Ziemi, jeszcze raz znajduje potwierdzenie w dwóch niedawnych wydarzeniach mających miejsce w Brazylii. Poinformował mnie o nich jeden z moich korespondentów. Pierwsze z tych zdarzeń zostało przedstawione w telewizji brazylijskiej w niezwykłym programie z cyklu „Parapsychologia i UFO”. Autorem



jego był Flavio Cavalcanti, redaktor tak znany w Brazylii jak Jean-Claude Bourret we Francji. W programie tym przedstawiono przygodę, która przydarzyła się bardzo inteligentnej kobiecie o imieniu Bianca i jej mężowi Herminio. Cykl, o którym mowa, składał się z sześciu odcinków emitowanych w każdą niedzielę w okresie od 30 lipca do 3 września 1978 r.

Następne wydarzenie zostało zaprezentowane na międzynarodowym kongresie ufologów w Brazylii w październiku 1979 r. Informacje o nim opub-

71

likowano też w Rio de Janeiro, w brazylijskim czasopiśmie „Ovni Documento”. Dotyczyło ono historii, jaka przydarzyła się farmerowi brazylijskiemu Arlindo dos Santos, człowiekowi o miernej raczej inteligencji, prawie analfabecie, co dodatkowo jeszcze wzmacnia wiarygodność tej historii. Oba te wydarzenia są tak nieprawdopodobne, że długo wahałem się, czy w ogóle je tu opublikować. Nie ośmieliłbym się prosić, aby ktokolwiek w nie uwierzył, gdybym nie był w posiadaniu poważnych dowodów ich prawdziwości, które tu przedstawiam. Brazylijscy ufolodzy sprawdzili je dokładnie i wszystko wskazuje na to, że są wiarygodne. Uważam jednocześnie, że nie mamy prawa pomijać ich tylko dlatego, że wydają się nam nieprawdopodobne.

Bianca i Herminio, mieszkający w Madrugaera w Brazylii, są małżeństwem od dziesięciu lat. Mają troje dzieci. Powodzi im się bardzo dobrze. Długo nie mogli zdecydować się na wyjawienie tego, co im się przydarzyło 12 stycznia 1976 roku. Było to około godziny 23.30. Jechali swoim samochodem karman ghia 1965 z Rio de Janeiro do Belo Horizonte. Zdecydowali się zatrzymać na skraju drogi, ponieważ wydobywające się przez nieszczelności spaliny szczypały ich w oczy, a poza tym chcieli się trochę zdrzemnąć. Wtedy zauważyli na niebie świetlistą kulę. Myśleli, że to balon. Nagle kula przygasła, potem rozbłysła ponownie i skierowała na samochód oślepiający strumień światła. Przygasła znowu i pojawiła się dokładnie nad samochodem.

Najpierw pomyśleli, że to uszkodzony samolot spadający prosto na nich, lecz wkrótce spostrzegli, że był to ogromny pojazd, który zatrzymał się w górze, dokładnie nad ich głowami. Pojazd ten zaczął jakby wsysać ich samochód pionowo do góry. Stracili przytomność, a kiedy ją odzyskali, stwierdzili, że znajdują się wewnątrz nieznanego pojazdu, a otoczeni są dziwnymi, ubranymi w kombinezony istotami, które były wszystkie identyczne. Miały one zielone oczy, matową cerę, czarne włosy i były dość wysokie. Wśród nich była też jedna kobieta. Była wysoka, bardzo ładna i pełna kobiecości, a jej czarne włosy spływały aż do ramion.

Humanoidzi mówili do nich po portugalsku. Posługiwali się przy tym czymś w rodzaju hełmów podobnych do hełmofonów, podłączonych do urządzenia tłumaczącego, które wyglądało jak centrala telefoniczna. Nasi Brazylijczycy również mieli na głowach hełmy i mówili po portugalsku do urządzenia, które przekładało ich mowę na język humanoï-dów.

Humanoidzi odnosili się do nich uprzejmie, poczęstowali ich niesmacznym, dość gęstym i dziwnym napojem, który był jednocześnie słony i słodki, po czym odstawili ich, razem z samochodem, na ziemię, na tę samą drogę, ale w miejscu

oddalonym o około 200 kilometrów od miejsca, z którego uprowadził ich latający talerz.

Zegar w samochodzie wskazywał mniej więcej północ, czyli od chwili uprowadzenia mogło upłynąć

**73**

30 minut. Jednak kiedy po chwili zatrzymali się na stacji benzynowej, dowiedzieli się, że właśnie minęła północ, ale już jest 15 stycznia 1976 r. Bianca i Herminio oniemieli ze zdziwienia. Wydawało im się, że w latającym talerzu spędzili nie więcej niż jakieś pół godziny, a przecież w tym samym czasie na Ziemi upłynęło 48 godzin. Ich przygoda stanowiła tym samym przykład ściśnięcia czasu w przestrzeni. Słyszeli o tym kiedyś co nieco, ale wtedy wydawało im się to niemożliwe.

Bianca przypominała sobie, że humanoidzi zanurzyli ich w czerwonej cieczy znajdującej się w długim, prostokątnym i przezroczystym zbiorniku, po czym przeprowadzili im dokładne badania lekarskie. Następnie kazano im wypić napój powodujący zapomnienie tego wszystkiego, co działo się na pokładzie latającego talerza. Herminio zgodził się bez protestu, lecz Bianca odmówiła tłumacząc, że bardzo jej zależy, aby dobrze pamiętać wszystko, co zaszło. Porywacze nie oponowali. Nawet przeciwnie, wyczuwało się, że odnoszą się do niej z większym szacunkiem i wykonali jej dalszą serię badań, na pewno, aby ocenić jej poziom inteligencji. Herminiem już się nie zajmowali.

Bianca zaczęła wówczas zadawać wiele pytań. Dowiedziała się wtedy, że humanoidzi wierzą, podobnie jak i ona, w istnienie stwórcy Wszechświata, lecz aby porozumieć się z nim, kiedy tylko zapragną, nie muszą korzystać ani z ksiąg, ani pomocy księży czy też kościołów. Potem Bianca dowiedziała się, że humanoidzi praktycznie są nieśmiertelni, głównie dlatego, że ich ciała żyją o wiele dłużej od naszych, a poza tym w chwili, gdy ciało zaczyna się zużywać, zmieniają je po prostu na inne. Nie ma więc żadnej przerwy w ich życiu duchowym, i pamiętają zawsze wszystko, co kiedykolwiek im się przydarzyło od momentu stworzenia.

Sądzę, że należy tu przypomnieć, że Bianca jest gorliwą katoliczką. Każdej niedzieli uczęszcza na mszę świętą, a to wszystko, co opowiadała w programie telewizyjnym jest całkowicie sprzeczne z tym, co głosi katechizm. Musiało to więc być dla niej bardzo trudne i głęboko ją poruszyć. Z drugiej strony, właśnie dzięki swoim przekonaniom religijnym, Bianca absolutnie nie wierzyła w istnienie latających talerzy ani też nigdy nie czytała żadnej książki na ich temat. Mamy więc podstawy uważać, że nie byłaby w stanie wymyślić sama całej tej historii, a co za tym idzie możemy traktować opis jej przygody jako coś wielce wiarygodnego.

Dziesięć miesięcy po tym uprowadzeniu, przy końcu listopada 1976 roku, Bianca otrzymała wiadomość drogą telepatii. Proszono ją, aby 9 stycznia 1977 roku pojechała wraz z mężem w pewne miejsce, aby ponownie się spotkać z szefem humanoidów Carainem oraz jego przedstawicielem na Ziemi - humanoidem Zirem. Bianca zachowała tak miłe wspomnienie ze swojego pierwszego spotkania z Carainem, że myśl o ponownym spotkaniu wprawiła ją w nastrój euforii. Znalazła się więc umówionego

dnia we wskazanym miejscu, którego oczywiście nie może nam zdradzić i tak, jak jej przekazano, razem z mężem spokojnie czekała w samochodzie.

Po chwili ktoś zapukał w szybę. Otworzyła ją. Stał przed nią anonsowany wcześniej Zir. Wyglądał jak każdy człowiek. Przez jakieś kilkaset metrów prowadził ich idąc przed samochodem. Potem zatrzymał się. Poprosił wtedy Herminia, aby przestawił samochód w przeciwnym kierunku, i zniknął w ciemnościach nocy, tak nagle jak się pojawił. Bianca i Herminio usiedli wygodnie w samochodzie i spokojnie czekali dalej.

Po godzinie Bianca, która panicznie bała się duchów, z przerażeniem ujrzała zbliżającą się we mgle białą sylwetkę. Jak się okazało, był to jej przyjaciel Carain. Prosił o wybaczenie, że tak ją przestraszył. Rozmawiali bez tłumacza, po portugalsku, przez około dwie godziny. Bianca dowiedziała się wtedy wielu pasjonujących rzeczy. Na przykład tego, że we Wszechświecie istnieje wiele zamieszkałych planet, lecz Carain opuszczając swoją planetę o nazwie Clermen, udać się mógł tylko na dwanaście spośród nich, do których należy i nasza Ziemia. Ograniczenie to wynika z odległości, jaka dzieli jego planetę od innych, jak również z faktu, że tylko na niektórych planetach atmosfera i siła ciężkości są podobne do tych, jakie istnieją na jego planecie.

Jak zrozumiała, pojazd Caraina napędzany jest złożonym systemem elektryczno-magnetyczno-gra-

76

witacyjnym, zasilanym przy pomocy kondensatorów i akumulatorów ładowanych energią słoneczną w przestrzeni kosmicznej lub przy użyciu generatorów elektrycznych na planetach. Ten system napędowy otacza pojazd polem sił antygravitacyjnych, które zmniejsza jego masę wprost proporcjonalnie do kwadratu jego prędkości. Jeśli na przykład prędkość lotu pojazdu jest sto razy większa od jego prędkości startowej, masa zostanie zredukowana do jednej dziesięciotysięcznej części masy istniejącej w momencie startu. A to dokładnie zgadza się z niezupełnie do końca zaakceptowaną przez kręgi naukowe teorią Einsteina.

Zjawisko to jest dodatkowo potwierdzone tym, że pojazd, który wydaje się być koloru ciemnoczerwonego w chwili startu, staje się kolejno pomarańczowy, żółty, zielony, niebieski i fioletowo-różowy, co wydaje się również odpowiadać prawom naszej ziemskiej fizyki. W każdym razie, pojazd uprowadzający Biancę i Herminia był widziany w chwili startu przez pewną liczbę zamieszkałych w okolicy osób, a niektórzy oglądając telewizję na piątym i trzynastym kanale zauważyli, że nagle o tej samej porze obraz zwęził się i pojawiły się zakłócenia. Na odbiór na pozostałych kanałach przelot pojazdu nie miał żadnego wpływu.

Innym szczegółem, który przemawia za prawdziwością opowieści Bianki i Herminia, jest fakt, że przez okres dwóch lat nikomu nie wspomnieli ani słowem o swej przygodzie. Obawiali się, że mogą

77

wydać się śmieszni lub że stracą swą pozycję towarzyską w swoim tak religijnym kraju, gdzie Kościół Katolicki do tej pory jest bardzo wpływowy. Pełni obaw zgodzili

się w końcu wystąpić w programie telewizyjnym, ale nie czerpiąc z tego żadnej korzyści materialnej »2790«.

Tę historię potwierdzają również oświadczenia międzynarodowej sławy dziennikarza Joana Martinsa, publikującego artykuły w brazylijskim dzienniku „O Cruzeiro”. To właśnie on, jako pierwszy, opublikował nieprawdopodobną historię, która przydarzyła się brazylijskiemu farmerowi Antonio Villas Boas zgwałconemu przez piękną kosmitkę, o czym będzie mowa dalej w tej książce. Sąsiad Joana Martinsa, mieszkający niedaleko Paraibo do Sul, gdzie Martins ma swą posiadłość, poinformował go, że zarówno on jak i jego dwie córki, wielokrotnie, i to w środku dnia, widywali bardzo błyszczące światła podobne do gwiazd, przypominające jakby eskadrę lotniczą. Światła ukazywały się nagle, jakby wychodząc spoza wzgórza, zatrzymywały się na chwilę ponad nim, następnie przesuwwały się poziomo aż do najwyższego ze szczytów, skąd po chwili wracały nad wzgórze, skąd przybyły, i znikaly za nim.

Światła te ukazywały się na przemian w Paraibo do Sul i w Rio de Janeiro, pojawiając się w Rio natychmiast po tym, jak znikaly nad Paraibo. Zostały one ponadto w obu miejscach utrwalone na taśmie i pokazane w telewizji. Według opinii świad-

## 78

ków tego zdarzenia, za wzgórzami Paraibo musi istnieć jakaś baza latających talerzy i wkrótce pragnie tam się udać ekipa telewizyjna, by spróbować wyjaśnić tę tajemnicę oraz sfilmować latające pojazdy unoszące się nad bazą.

Zdaję sobie sprawę z tego, że z pewnością nie uda mi się przekonać wszystkich moich czytelników co do autentyczności przygody Bianki i Herminia, lecz spodziewam się, że przynajmniej niektórzy z nich w nią uwierzą, a to mi już w zupełności wystarczy. Nie obraziłbym się też wcale, gdyby ktoś uważał ją za science-fiction. W każdym razie ja jestem absolutnie przekonany co do jej prawdziwości i namawiam wszystkich niedowiarków, by długo się nad tym wszystkim zastanowili, zanim odrzucą ją tylko dlatego, że nie mieści się ona w ramach naszej zwykłej logiki.

Lecz zajmijmy się teraz następnym przypadkiem uprowadzenia, który również miał miejsce w Brazylii, ale przeszło rok później.

Dnia 16 maja 1979 roku rano, około godziny 10.30, Arlindo dos Santos był razem z dwoma przyjaciółmi na polowaniu w miejscu oddalonym o około 6 km od swojej fazendy w Sobrado i o 300 km od Belo Horizonte w stanie Minas Gérais. Był sam, kiedy wychodząc z lasu ujrzał dziwny obiekt lądujący w odległości około 200 metrów od niego. Był to pionowy cylinder o średnicy 25 centymetrów i wysokości 1 metra, na szczycie którego rozblyskiwały na przemian czerwone i białe światelka.

79

Arlindo wyciągnął z torby aparat fotograficzny i zrobił zdjęcie tajemniczego obiektu, który zaraz potem zniknął. Arlindo podszedł do miejsca, gdzie obiekt wylądował, a wtedy zauważył drugi podobny obiekt. Był on trochę dłuższy i w kształcie bąka, u góry zwieńczony śmigłem, od dołu zakończony bardzo cienkim, dwudziestocentymetrowym szpicem. Obiekt ten wbił się w ziemię na kilka metrów przed Arlindo, dokładnie na czas potrzebny, by go sfotografować. Potem, podobnie

jak pierwszy, nagle zniknął.

Wówczas Arlindo dostrzegł trochę dalej trzeci. Był on w kształcie wąskiej beczki o długości około 2 metrów, w pionowe czerwone i białe pasy, po bokach miał umieszczone skrzydła, a u góry wielkie śmigło. Arlindo, podobnie jak poprzednio, zrobił zdjęcie, a wtedy obiekt, tak jak i dwa pozostałe, natychmiast zniknął.

I wtedy właśnie pojawił się czwarty obiekt, o wiele większy. Był to klasycznych kształtów latający talerz o średnicy około 6 metrów, cały biały, z umieszczonymi po bokach okrągłymi okienkami. Wylądował na czterech, zakończonych płaskimi dyskami nogach, w odległości kilku metrów od Arlindo. Arlindo próbował zrobić czwarte zdjęcie, lecz pojazd skierował na niego wiązkę oślepiającego światła, co przeraziło go do tego stopnia, że upuścił swój aparat i próbował rzucić się do ucieczki. Tkwił jednak mimo woli w miejscu, niczym sparaliżowany.

## 80

Przypomina sobie, że ujrzał dwóch humanoidów wyposażonych podobnie do astronautów. Byli oni w kombinezonach, rękawicach i przezroczystych hełmach, z których wychodziły sprężyste rurki połączone z cylindrycznymi pojemnikami, które mieli na plecach. Sprawiali wrażenie, że mówią poruszając ustami, lecz ich głosy wydobywały się z tyłu, jakby spoza nich. Humanoidzi wzięli Arlindo pod rękę i, pomimo jego usilnych próśb o uwolnienie, zaprowadzili do latającego talerza. Wy tłumaczyli mu, że nie zamierzają mu zrobić najmniejszej krzywdy, a tylko przyjrzeć mu się z bliska.

Po wejściu na schodki o czterech stopniach, Arlindo został przyjęty w drzwiach przez trzeciego humanoida, podobnie wyposażonego jak dwaj poprzedni. Spytał on Arlindo, czy uważa się za wykształconego. Arlindo zaprzeczył. Wówczas nieznajomy wyciągnął ku niemu prawą rękę ubraną w rękawicę i wprowadził go przez prostokątne drzwi do pojazdu. Wnętrze było brązowe, zimne i zakurzone. Siedzieli tam w fotelach dwaj inni, podobnie wyposażeni humanoidzi. Arlindo mógł więc obejrzeć ich z bliska i przyjrzeć się ich twarzom.

Te dziwne istoty miały skośne oczy, prosty nos, wąskie wargi i usta rozwarte jakby w uśmiechu, nie miały zarostu. Wydawało się, że piszą na maszynie, lecz były to bardzo dziwne maszyny, podobne raczej do klawiatur komputerowych. Rozmawiali w niezrozumiałym języku nie zajmując się w ogóle Arlindo, potrząsając głowami, potem wstali i wyszli.

## 81

Wtedy właśnie otworzyły się jakieś drzwi i pojawiła się w nich piękna, młoda kobieta. Ubrana była na biało, była w rękawicach, ale bez hełmu. Była dość niska, ale bardzo ładna, miała matową cerę, ciemne, gładkie włosy i zupełnie ludzkie rysy twarzy. Wyglądała niczym młoda, ładna Ziemianka. Bez słowa zaprowadziła Arlindo do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie znajdowało się jakieś urządzenie podobne do wielkiej zamrażarki.

Nieznajoma nacisnęła jeden z przycisków i przestrzeń przed tym urządzeniem rozświetliła się niczym ekran telewizyjny. Na ekranie tym pojawiło się Słońce, Ziemia i Księżyc, a z przeciwnej niż Ziemia strony Słońca - mała świetlista plamka. Piękna

humanoidka wyjaśniła Arlindowi, że stamtąd właśnie przybyli, a odległość tę przebyli w kilka godzin.

Następnie zgasiła tę pierwszą mapę nieba i wyświetliła inną, na której znajdowały się niezliczone ilości lśniących punkcików, które były zapewne gwiazdami. Pokazała na niej położenie naszego Słońca oraz miejsce, gdzie znajdowała się planeta, z której pochodziła, a także jej słońce. Lecz skoro Arlindo sprawiał wrażenie, że nic z tego wszystkiego nie rozumie, ani też nie zadawał jej żadnych pytań, wyłączyła ekran i przestała się nim zajmować. Być może miała wobec niego jakieś ściśle określone zamiary, lecz zrezygnowała z nich, widząc jak bardzo jej gość jest ograniczony.

Jest jednak wielce prawdopodobne, że Arlindo został zgwałcony przez piękną kosmitkę, ale wołał

nikomu o tym nie wspominać, by nie narażać się na wypytywanie ze strony policji czy też wyśmianie przez przyjaciół, jak to się przydarzyło jego rodakowi Villas Boas. Jestem jednak przekonany, że większość uprowadzonych młodych kobiet i mężczyzn zostaje zgwałconych przez humanoidów, lecz wołają oni o tym nie wspominać, aby uniknąć mogących z tego wyniknąć komplikacji, a czasem i poważnych kłopotów.

W każdym bądź razie Arlindo twierdzi, że potem przybył inny humanoid, który poinformował go, że zaraz odprowadzi go na Ziemię i zwróci mu wolność. Poleciał mu zakryć oczy, a szczególnie nie oglądać się za siebie w chwili startu ich pojazdu. Dziwnie nam to przypomina historię żony Lota czy też historię Mojżesza na górze Synaj. Drzwi otworzyły się i Arlindo znalazł się z powrotem na ziemi, dokładnie w tym samym miejscu, skąd go uprowadzono.

Usłyszał wówczas za sobą coś w rodzaju poświstu, a gdy hałas ucichł, odwrócił się i stwierdził, że latającego talerza już tam nie było. W miejscu gdzie znajdowały się cztery nogi pojazdu widać było cztery zagłębienia. Trawa była wygnieciona, ale nie było śladu wypaleń. Było około południa. Znaczyło to, że upłynęła przeszło godzina od chwili, kiedy Arlindo odleciał pojazdem, odniósł jednak wrażenie, że nie był w latającym talerzu dłużej niż dziesięć minut. To pozwala przypuszczać, że przygoda, którą przeżył Arlindo, jest jeszcze jednym niewy-

**83**

tłumaczalnym przykładem ściśnięcia czasu w przestrzeni. Możemy tak uważać, nawet jeśli z jakiegoś powodu wszystkiego nam nie opowiedział.

Niestety, kiedy dał do wywołania swoje zdjęcia, stwierdził, że wszystkie są prześwietlone, a szukając przyczyny odkrył, że roletka migawki w aparacie została przypalona i pokryta sadzą, czego przyczyną mógł być strumień silnego promieniowania skierowany w jego kierunku przez istoty z latającego talerza w chwili, gdy starał się zrobić zdjęcie. Jest to tym bardziej przykre, że przeciwnicy ufologu z pewnością wykorzystają ten fakt, aby twierdzić, że przygoda, którą przeżył Arlindo, jest tylko żartem wymyślonym przez brazylijskich dziennikarzy »4010«.

W historii opowiedanej przez Arlindo znajduje się jednak pewien element, który na pewno spowoduje liczne ataki na niego ze strony tych, którzy przekonani są o swej wszechwiedzy. Już nie po raz pierwszy słyszymy o jakiejś planecie, czy też pojeździe międzyplanetarnym, który jako znajdujący się wciąż z przeciwnej niż Ziemia strony Słońca, pozostaje zawsze niewidoczny dla Ziemi. Zgodnie z prawami mechaniki

nieba, planeta taka nie może istnieć z powodu zmiennej prędkości kątovej Ziemi na orbicie eliptycznej wokół Słońca.

W istocie, jak tylko Ziemia znajdowałaby się na przykład w swoim aphelium, czyli punkcie od-słonecznym, gdzie jej prędkość kątowa jest najmniejsza, planeta symetryczna do Ziemi znajdowa-

## 84

łaby się w perihelium, czyli w punkcie najbliższym Słońcu, a jej prędkość kątowa byłaby największa. Zakładając nawet, że obie planety byłyby przez kilka minut ustawione dokładnie po przeciwnym stronach Słońca, wyobrażona planeta wkrótce ukazałaby się Ziemianom na lewo od Słońca, a to dlatego, że jej prędkość kątowa byłaby o wiele większa niż Ziemi. Jest więc oczywiste, że taka planeta nie może istnieć.

Lecz działałoby się coś zupełnie innego, jeżeli mielibyśmy do czynienia ze statkiem międzyplanetarnym, umieszczonym na orbicie eliptycznej dokładnie podobnej i przeciwległej do ziemskiej. Taki statek mógłby posiadać automatyczny system hamowania i przyspieszania, działający w oparciu o silniki rakietowe, sterowane przez komputer, który w każdej chwili znałby aktualną prędkość kątową Ziemi i powodowałby uruchomienie układu hamowania bądź przyspieszania, zależnie od potrzeby, w celu ciągłego pozostawania na przedłużeniu linii Ziemia - Słońce, czyli w punkcie niewidzialnym dla wszystkich ziemskich obserwatorów. Byłoby to tym łatwiejsze, że Słońce jest o wiele większe od Ziemi, dzięki czemu statek kosmiczny przy obserwacji z Ziemi miałby kątowy margines błędu położenia równy pół stopnia, co odpowiada odcinkowi ponad 2 milionów kilometrów na jego orbicie.

Moim zdaniem, zbyt dużo uwagi poświęcano w dawnych tekstach tajemniczej planecie, której nawet nadano nazwę Lilith, aby można było bez-

## 85

warunkowo odrzucić wszelkie prawdopodobieństwo, że takowy statek międzyplanetarny mógł istnieć w przeszłości lub że istnieje jeszcze i dzisiaj. Jedynym sposobem, aby się upewnić, byłoby zobaczenie tego na miejscu, co nie powinno być zbyt trudne, biorąc pod uwagę środki, jakimi obecnie dysponujemy. Zresztą nawet NASA rozważała różne projekty tego typu, myśląc o wielkich stacjach kosmicznych umieszczonych na orbicie wokół Ziemi lub wokół Słońca. Istnieje nawet pewna teoria, według której Raj ziemski jest po prostu taką stacją kosmiczną znajdującą się na orbicie wokół Ziemi, skąd Adam i Ewa, którzy być może byli astronautami, zostali wysłani z misją na Ziemię.

Zajmowałem się kiedyś wykonywaniem pewnych obliczeń na ten temat dla telewizji amerykańskiej i doszedłem do następujących wniosków. Stacja orbitalna powinna mieć kształt ogromnej dętki samochodowej o średnicy 1650 metrów i grubości 625 metrów, powinna ona obracać się względem własnej osi z prędkością kątową równą 1760 obrotów na dzień. Zamieszkiwany wewnątrz obszar stanowiłby pierścień o średnicy 1200 metrów i szerokości 600 metrów, gdzie siła odśrodkowa pozwalałaby uzyskać ciężenie równe ziemskiemu. Najdziwniejsze jest to, iż strefa mieszkalna miałaby wtedy powierzchnię równą około 226,8 hektarów, czyli 2,268 milionów metrów kwadratowych. Dziwnie przypomina to sumeryjską Stałą Niniwy

stanowiącą 2268 milionów dni. Wydaje mi się, że może stanowić

86

to dowód na to, iż legenda o Raju ziemskim istniała na wiele tysięcy lat przed tym, jak Hebrajczycy napisali o nim w Biblii. Przypomina to również wymiary Piramidy Cheopsa w Egipcie, której objętość wynosi 2,268 milionów jardów sześciennych, lub Chefrena o objętości 2,268 milionów metrów sześciennych. Wszystko to jest tym dziwniejsze, że liczba 2268 jest liczbą znaną współczesnej fizyce jądrowej. (83)

## ROZDZIAŁ V

### TRZY UPROWADZENIA

Wydarzyło się to 25 stycznia 1967 roku. Betty Andreasson - młoda kobieta mieszkająca w Ash-burnham w stanie Massachusetts była wraz z dziećmi w kuchni i zmywała naczynia. Nagle pogasły wszystkie światła. Kazała więc dzieciom iść do salonu, polecając im, ażeby siedziały tam spokojnie do czasu, kiedy ponownie zostanie włączony prąd. Przez okno kuchni zauważyła pomarańczowe, pulsujące światło, które zbliżało się do domu, stając się coraz to jaśniejsze. Do kuchni przyszedł jej ojciec i razem ujrzeli przez okno cztery dziwne istoty zbliżające się do domu w podskokach, niczym koniki polne. Istoty te zauważyły, że są obserwowane i zatrzymały się. W tym momencie Betty straciła przytomność.

Odzyskała ją wkrótce, lecz nie pamiętała, co się wydarzyło. Chcąc się tego dowiedzieć, poddała się hipnozie. Oto jej historia. Światło powróciło po kilku minutach, a cztery istoty weszły, jedna po

88

drugiej, poprzez zamknięte drzwi kuchni. Miały one wielkie głowy, a ich usta były nieruchome, chociaż istoty te mówiły. Betty jako osoba bardzo wierząca nie przeraziła się ich przybyciem, przypomniała sobie bowiem ustęp z Biblii mówiący o tym, iż należy zawsze dobrze przyjmować obcych, bez względu na to, jak dziwnie by oni wyglądali, ponieważ mogą być wysłani przez Boga. Jednakże zupełnie nie przypominali aniołów. Mieli ogromne głowy w kształcie odwróconych gruszek, oczy wielkie niczym kule bilardowe, szarą skórę, otwory w miejscu nosa i uszu oraz coś w rodzaju pęknięcia w miejscu ust. Ubrani byli w błyszczące, błękitne kombinezony i wszyscy nosili na lewym ramieniu odznakę przedstawiającą ptaka o rozpostartych skrzydłach. Ich dłonie, również szare, zakończone były tylko czterema palcami, które nie miały paznokci.

Jeden z przybyszów, wyglądający na ich dowódcę, zwrócił się po imieniu do Betty za pomocą telepatii. Spytał, do czego służy leżąca na stole Biblia. Betty wyjaśniła to i podarowała mu ją. On w zamian dał jej małą, dość cienką, niebieską książeczkę, a wtedy Betty spytała go, w jakim celu przybył na Ziemię. Odparł, że pragnie pomóc ludzkości znajdującej się obecnie w stanie autodestrukcji. Zaproponował jej, aby z nim poszła. Zawahała się, myśląc, co stanie się z jej dziećmi, ale w końcu uspokojona przez niego zgodziła się.



Dowódca humanoidów polecił jej wówczas stanąć dokładnie za nim, trzej inni humanoidzi stanęli

89

dokładnie za nią i wszyscy przeniknęli przez zamknięte drzwi, tak jak uprzednio weszli, lecz tym razem wraz z Betty, która nie poruszając nogami płynęła kilka centymetrów ponad ziemią. Czuła się tak, jakby nie posiadała nóg. Jak tylko znaleźli się w ogrodzie, Betty zauważyła zwieńczony przezroczystą kopułą latający talerz, stojący na nierównym terenie, na różnej długości nogach.

Była gęsta mgła i Betty nie widziała nic poza swym domem oraz latającym talerzem, którego przezroczystość pozwalała zobaczyć, co znajdowało się wewnątrz. Weszli do środka, drzwi zamknęły się za nimi. Betty znalazła się w małym pomieszczeniu o zaokrąglonych ścianach. Umieszczono ją na chwilę w czymś, co przypominało cylindryczną kabinę prysznicową, z pewnością by ją oczyścić, lecz nie przy użyciu wody, ale jakiegoś promieniowania. Światło było bardzo jasne i było gorąco jak w łaźni.

Następnie przeprowadzono ją do innego pomieszczenia, gdzie poproszono ją, aby się rozebrała do naga i narzuciła na siebie bluzkę zapinaną przy szyi na metalową agrafkę. Brzuch pozostawał odsłonięty, co wydało jej się bardzo przykre. Zaraz po opuszczeniu tego pomieszczenia, prowadzona przez dwóch humanoidów, znalazła się w dużej, okrągłej i jasno oświetlonej sali, gdzie pośrodku znajdował się ogromny stół.

Dowódca humanoidów wszedł do sali, a ona spostrzegła nagle, że leży zupełnie naga na tym stole i zupełnie nie wie, jak do tego doszło. Humanoid

90

wbił jej długą, srebrzystą igłę w pępek, a drugą podobną wbił jej w lewe nozdrze. Do obu igieł dołączone były długie, bardzo cienkie rurki. Betty spytała, w jakim celu jest poddawana tym zabiegom. Humanoid odpowiedział, że w ten sposób badają jej narządy służące do reprodukcji. Stwierdził, że czegoś jej brakuje, co jej nie dziwiło, gdyż niedawno przeszła amputację macicy.

Wtedy dowódca wyciągnął pierwszą z igieł z jej pępka, drugą z nosa i położył jej dłoń na głowę, aby znieczulić odczuwany przez nią ból. Następnie opuścił z sufitu na wysokość około 1 metra nad nią duży, biały, świecący dysk. Pośrodku znajdowało się czarne koło, a w nim obiektyw aparatu fotograficznego. Betty została wówczas poddana kompletnym badaniom lekarskim. Ukierunkowane one były jednak głównie na jej narządy płciowe, co było dla niej bardzo nieprzyjemne.

Po skończonych badaniach, nie wiedząc, jak i kiedy, spostrzegła nagle, że stoi i zauważyła teraz, że w sali znajduje się sześciu humanoidów, to znaczy dowódca oraz pięciu innych. Dwaj z nich zaprowadzili ją do szatni, gdzie została poddana prysznicowi bez wody i gdzie z przyjemnością ubrała się w swe ziemskie ubrania. Wtedy humanoidzi wprowadzili ją do ciemnego tunelu z ruchomym chodnikiem. Betty posuwała się do przodu stojąc pomiędzy nimi. Dotarła do małej, półcylindrycznej salki.

W salkie tej rozmieszczone były po bokach cztery krzesła z przezroczystego plastiku. Nad każdym

z nich umieszczona była pionowa rura. Przez środek pomieszczenia przebiegał ruchomy chodnik. Posadzono ją na jednym z krzesel i opuszczono plastikową, przezroczystą pokrywę, która ją szczelnie odizolowała. Teraz Betty odczuła silny chłód, czuła że to urządzenie wchłania całą wilgoć jej ciała. Potem posadzono ją na innym krześle, włożono do ust i do każdego z nozdrzy jakieś rurki i hermetycznie zamknięto plastikowe pudło, Betty pograżyła się wtedy w szarej cieczy, która spływała z rury znajdującej się ponad jej głową. Tak jak jej polecono, zamknęła oczy. Wówczas ciecz zaczęła krążyć szybko wokół niej wykonując bardzo przyjemny, wibrujący masaż, który ją na wpół uspił i wprowadził w stan całkowitego rozprężenia.

Zakomunikowano jej wówczas, że przez rurę, którą trzyma w ustach, dostanie do wypicia trochę płynu. Był on gęsty i słodki niczym syrop od kaszlu. Betty pomyślała wtedy, że zarówno ten syrop jak i zanurzenie w cieczy musiało mieć na celu ochronę jej ciała przed przeciążeniami występującymi w trakcie podróży kosmicznej, w wyniku osiągnięcia ogromnych prędkości. Wkrótce potwierdziło się to. W końcu wibracje ustały, płyn zniknął z kapsuły, a Betty ponownie zaczęła odczuwać ciężar swych nóg i ramion. Potem, jakby cudem, jej ubranie błyskawicznie wyschło i poczuła się doskonale.

Wtedy przyszło po nią dwóch humanoidów ubranych tym razem w srebrzyste, błyszczące kombinezony i czarne kaptury na głowach. Ponownie przebyli czarny tunel oświetlony tylko fluorescencyjnymi, świecącymi kombinezonami tych istot, podobnych w ciemności do bezgłowych zjaw. Betty zauważyła, że ściany tunelu były chropowate i wykute w skale, co trochę ją podniosło na duchu, gdyż miała nadzieję, że już powróciła na Ziemię.

Jechali ruchomym chodnikiem, przecinając od czasu do czasu, pojawiające się z obu stron inne przepastne tunele. Nieoczekiwanie tunel okazał się prowadzić na powierzchnię. Betty spostrzegła coś w rodzaju świetlistego lustra, przez które przeniknęli jedno za drugim. Istnienie tego lustra było jak gdyby tylko złudzeniem. Poruszali się wciąż stojąc na ruchomym chodniku, który zawiózł ich na coś, co przypominało ulicę. Po obu jej stronach stały wielkie budynki, po jednym z każdej strony. Ich okna rozświetlone były czerwonym światłem.

Betty zdrętwiała z przerażenia stwierdziwszy, że mury tych dwóch budynków roją się od monstualnych stworów, podobnych do bezgłowych małp, które posiadały dwoje ogromnych oczu umieszczonych na końcu słupków wyrastających im z szyi. Betty w towarzystwie obu humanoidów minęła bez problemów owe monstra i przeszła przez okrągłe drzwi. Otoczył ją zielony blask. Były tam rośliny, ptaki, woda i różnokolorowe latające ryby. Obaj humanoidzi zdjęli tam swe czarne kaptury.

Betty spostrzegła trójkątną piramidę, budynki, mosty i wiele innych rzeczy, które długo można by jeszcze było wyliczać. Odnosiła wrażenie, że znaj-

duje się na innej planecie, w mieście stworzonym wewnątrz ogromnej, świecącej kopuły. Jednocześnie, jako że przebyła długie tunele, przekonana była, że ten nieznaną świat, który ujrziała, znajduje się pod powierzchnią tej planety. Tłumaczyłoby to istnienie świecących kopuł i sztucznej atmosfery w kolorze

czerwonym dla istot podobnych do bezgłowych małąp i zielonym dla humanoidów.

Po zwiedzeniu miasta obaj przewodnicy odprowadzili ją z powrotem, dokładnie tą samą drogą. Została poddana tym samym zabiegom co poprzednio, co pozwoliło jej mieć nadzieję, że doświadczenie dobiega końca i że wkrótce powróci do domu. Ponownie zanurzono ją w takiej samej cieczy, jak na początku tej przygody, wypłała taki sam napój, wysuszyła się równie szybko, ale tym razem przy użyciu gorącego powietrza i w końcu znalazła się w pomieszczeniu, które ujrzała jako pierwsze wewnątrz latającego talerza. Sześciu humanoidów czekało tam, by ją pożegnać. Ich dowódca położył jej ręce na ramionach i polecił zapomnieć o wszystkim, co zobaczyła. Wtedy drzwiczki otworzyły się i zobaczyła swój dom, pogrążony w ciemnościach nocy i mgle. Była pewna, że wreszcie powróciła na Ziemię.

Dwaj humanoidzi odprowadzili ją na tył domu oświetlając sobie drogę świecącymi kulami, które trzymali w rękach, podobnie jak poprzednio przeniknęli przez zamknięte drzwi i Betty znalazła się ponownie w swojej kuchni. Jej ojciec spał siedząc na krześle, a kiedy poszła do salonu, znalazła tam swą

94

matkę i dzieci. Wszyscy pogrążeni byli w głębokim śnie. Betty poczuła ogarniającą ją senność i nawet nie zauważyła, kiedy obaj porywacze odeszli »9516«.

Nazajutrz rano wszyscy obudzili się nic nie pamiętając. Tylko Betty miała niejasne przeczucie, że ostatniej nocy przydarzyła się jej nadzwyczajna przygoda. Później zdecydowała się poddać hipnozie, aby dowiedzieć się dokładnie, co wydarzyło się w ciągu tych kilku godzin, kiedy nie było jej na Ziemi i przebywała na jakiejś nieznannej planecie, na drugim krańcu Wszechświata i być może też w innym czasie. Jej przygoda została dokładnie opisana w opublikowanej w Stanach kilka miesięcy temu książce, dlatego wszystkich znających język angielski gorąco namawiam do jej przeczytania i dokonania własnych spostrzeżeń. (85)

Oczywiście, każdy może sobie myśleć, co chce na temat tego wydarzenia, lecz w opowiadaniu Betty zawarte są takie szczegóły z dziedziny techniki, których nie byłaby zdolna sama wymyślić. Ja również nie jestem tak do końca przekonany o jej absolutnej autentyczności, lecz skoro podobne incydenty przydarzyły się też i wielu innym osobom, nie staram się wyszukiwać, przynajmniej na razie, budzących wątpliwości słabych punktów tej historii.

Piętnaście miesięcy później, 2 maja 1968 roku w małym miasteczku w stanie Nowy York młoda, szesnastoletnia Amerykanka Shane Kurz obudziła się około 4 nad ranem. Leżała na łóżku, a jej nocna

95

koszula i pantofle pokryte były błotem. Zauważyła ślady zabłoconych stóp prowadzące od łóżka aż do otwartych drzwi pokoju. Była pewna, że przed położeniem się spać zamknęła drzwi.

Uważnie przyjrzała się swemu ciału i odkryła po obu stronach brzucha dwa okrągłe, czerwone ślady. Pokazała je matce, która przybiegła słysząc jej krzyki. Obie kobiety przypomniały sobie wówczas, że kilka dni wcześniej zauważyły na niebie błyszczący obiekt w kształcie latającego talerza, który powoli wykonywał ewolucje ponad ich domem. Pomyślały zatem, że stan, w jakim znajduje się Shane, może mieć

jakiś związek z przelotem latającego talerza.

Za radą matki, Shane zaprosiła amerykańskiego specjalistę do spraw dziwnych zjawisk - Hansa Holzera, który przybył natychmiast i poddał ją hipnozie. A wtedy Shane wyznała, że tej nocy wywabił ją z domu dziwny hałas podobny do brzęczenia. Wtedy to mały, bezwłosy humanoid o przenikliwych oczach, ubrany w coś w rodzaju kombinezonu zaprowadził ją na pokład tajemniczego pojazdu. Rozebrał ją i zupełnie nagą położył na zimnym stole, gdzie badał jej brzuch przy użyciu dziwnego trójkątnego przyrządu. Zbadał ją całą, lecz jego badania koncentrowały się szczególnie na piersiach i narządach płciowych, co bardzo ją krępowało, lecz brakło jej sił, by zaprotestować.

Nieznajomy wtarł jej w piersi i brzuch jakiś krem, z pewnością, aby obudzić w niej popęd seksualny, co

96

też i wprawiło ją w stan dziwnego podniecenia, jakiego nigdy przedtem jeszcze nie doznała. Nie miała nawet ochoty stawiać oporu, gdy humanoid spokojnie ją gwałcił, jak gdyby było to czymś zupełnie naturalnym. Miała czas, aby stwierdzić, że jego członek jest mniej więcej takiej samej wielkości, jak u człowieka, lecz odniosła bardzo nieprzyjemne wrażenie zimna w chwili penetracji. (55)

Shane targały dwa sprzeczne uczucia - z jednej strony skromność i wstyd z powodu utraty w ten sposób dziewictwa, z drugiej natomiast silna rozkosz, jakiej dostarczał jej stosunek z tym dziwnym nieznajomym, który wydawał się przeżywać to równie silnie jak i ona, sądząc po jego zachowaniu oraz jego, podobnych do zwierzęcych, jękach. Jak tylko skończyli, Shane odniosła wrażenie, że rozpoczyna się ponowne badanie lekarskie, a nieznajomy stara się coś pobrać z wnętrza jej brzucha. Straciła przytomność i nie przypomina już sobie niczego, co zdarzyło się później.

Mniej więcej przez rok po gwałcie dokonanym na niej przez humanoida Shane nie miesiaćzkowała. Było to bardzo niepokojące, biorąc pod uwagę to, co się wydarzyło. Holzer doszedł do wniosku, że musiała ona zostać wyselekcjonowana spośród innych młodych dziewcząt dla przeprowadzenia doświadczenia mającego na celu stworzenie hybrydy o cechach zarówno humanoidów, jak i ludzi. Uważał, że nieznajomy na pewno pobrał jej komórki jajowe po uprzednim ich zapłodnieniu. Komórki te mogłyby

97

zostać wszczepione do macicy humanoidki, gdzie rozwijałyby się przez dziewięć miesięcy, aż do narodzin na wpół ludzkiej hybrydy, mogącej żyć zarówno na Ziemi, jak i w przestrzeni kosmicznej. (55)

Ta nieprawdopodobna historia jest jednak bardziej wiarygodna niż mogłoby się to wydawać, gdyż bardzo dokładnie odpowiadała temu, co głoszą napisane około 6000 lat temu tabliczki sumeryjskie na temat stworzenia przez bogów przybyłych z kosmosu pierwszego rozumnego człowieka. W dokładnie taki sam sposób bogowie czy też astronauty z tamtej epoki odbywali nie pozbawione rozkoszy stosunki z młodymi, ziemskimi dziewczętami zapładniając je, po czym umieszczali komórki jajowe w macicy jakiejś bogini lub, jeśli kto woli, astronautki, ażeby doprowadzić do

szczęśliwych narodzin. Celem tych działań było stworzenie hybrydy przystosowanej, tak jak człowiek, do życia na Ziemi, a jednocześnie posiadającej inteligencję oraz zdolności naukowe przybyszów z innego świata.

Jest pewne, że Shane Kurz częściej czytała Biblię niż tabliczki Sumerów, notabene, dopiero niedawno przetłumaczone, i nie mogłaby nigdy sama wymyślić podobnej historii. Wnioskiem, który się nasuwa, jest więc tylko to, że istotnie musiała zostać zgwałcona przez istotę pozaziemską i że, pomimo wrodzonej skromności i purytańskiego wychowania, było to dla niej czymś bardzo przyjemnym »9979«.

Przypomina to bardzo, wspomnianą już wcześniej, historię, która przydarzyła się niejakiemu Antonio Villas Boas, którego na pokładzie latającego talerza zgwałciła piękna humanoidka, co jemu również dostarczyło wielkiej rozkoszy. Chyba ci humanoidzi umieją coś, czego my jeszcze nie poznaliśmy. Jestem jednak przekonany, że głównym celem tych doświadczeń seksualnych nie jest mogące wyniknąć z nich uczucie rozkoszy, a stworzenie hybrydy będącej w połowie człowiekiem i w połowie humanoidem.

15 października 1957 roku, w środku dnia, Antonio Villas Boas, młody rolnik z San Francisco de Sales w stanie Minas Gérais w Brazylii, został uprowadzony przez humanoidów z pola na pokład latającego talerza. Humanoidzi bardzo przypominali ludzi i mieli mniej więcej taki sam jak i on wzrost. Całkowicie go rozebrali, ułożyli na długim stole i dokładnie go zbadali, wbijając przy tym w różne miejsca jego ciała srebrzyste igły, lecz, co było szokujące dla Antonia, interesowali się głównie jego genitaliami. Humanoidzi, wyraźnie zadowoleni z wyników badań, zamknęli go w małej salce, gdzie znajdowała się piękna, długowłosa humanoidka, podobnie jak i on zupełnie naga. Miała piękne, lekko skośne oczy, prosty nos, wystające kości policzkowe, spiczasty podbródek i cienkie wargi. Wydała mu się bardzo urocza. (79)

Antonio opowiedział, że posmarowała go jakimś kremem, zapewne po to, by rozbudzić jego instynkty seksualne. Jak tylko stało się oczywiste, że osiągnęła swój cel, jak gdyby nigdy nic położyła się na nim

99

i spokojnie, nie pytając o zdanie, zgwałciła, znajdując w tym swoistą rozkosz. Antonio był początkowo zaskoczony, lecz wkrótce odnalazł w tym przyjemność i przyłożył się do tego z takim żarem, że trudno było powiedzieć, kto kogo właściwie gwałci.

Jak tylko skończyli, partnerka Antonia wyszła z sali, bez nawet jednego słowa uznania dla jego męskości. Wtedy porywacze przynieśli mu ubrania i jak tylko się ubrał, odprowadzili na Ziemię, gdzie, niestety, kobiety są o wiele mniej zaborcze i znacznie trudniejsze do uwiedzenia.

Jest bardzo prawdopodobne, że większość przypadków uprowadzenia kończy się w taki właśnie sposób, lecz ci, którym się to przydarzyło, z przyczyn oczywistych nie mają ochoty o tym opowiadać » 6127 «.

## ROZDZIAŁ VI

## SZEŚĆ DZIWNYCH ZDARZEŃ

Wieczorem 6 sierpnia 1974 roku, gdy Lydia Stalaker jechała samochodem w północnej części Jacksonville na Florydzie, ujrzała na niebie bardzo jasne światło kierujące się w jej stronę. Zatrzymała więc samochód na poboczu i wysiadła, aby bliżej przyjrzeć się owemu światłu. Jakiś samochód zatrzymał się zaraz za nią i zobaczyła wysiadającego zeń mężczyznę. Odniosła wrażenie, że już kiedyś, dawno spotkała go w jakichś dziwnych okolicznościach. (91)

Oboje patrzyli na zbliżające się światło i wkrótce Lydia zauważyła za drzewami pojazd w kształcie latającego talerza. Pojazd zniżał swój lot. Spytała swojego towarzysza, czy również spostrzegł to samo. Potwierdził tłumacząc, że przyjechał tu na dokładnie umówioną godzinę. Nie zwracając specjalnie uwagi na tę dziwną odpowiedź, mimowolnie spojrzała na zegarek. Była dokładnie dziewiąta. Nieznajomy zaproponował jej, że zawiezie ją na

**101**

miejsce lądowania pojazdu. Zgodziła się bez zastanowienia i wsiadła do jego samochodu. Wszystkie okna były pozamykane.

Po chwili poczuła duszność. Straciła przytomność. Świadomość odzyskała dopiero po trzech godzinach. Jej zegarek wskazywał wtedy północ. Nie mogła sobie przypomnieć, co działo się z nią przez te trzy godziny. Bolała ją głowa i serce. Nadal znajdowała się w samochodzie nieznajomego. On natomiast nie przejmując się jej samochodem pozostawionym na skraju drogi, odwiózł ją do domu w Jacksonville.

Nie mogąc przypomnieć sobie, co się wówczas wydarzyło, Lydia zdecydowała się w maju 1975 roku poddać hipnozie przeprowadzonej przez Arta Winklera, słynnego hipnotyzera z Arizony, który chwilowo przebywał w Jacksonville. Jednym z powodów jej decyzji było też i to, że nigdy nie udało się odnaleźć mężczyzny, który ją uprowadził. Dowiedziano się tylko, że pewnego ranka pojawił się w mieście. Sprawiał wrażenie, że szuka pracy. Nikt nie wiedział, skąd pochodził ani dokąd się potem udał. Lydia nabrała więc przeświadczenia, że ów nieznajomy został wysłany przez pozaziemskich przybyszów, by ją zwabić do swego samochodu, a następnie uprowadzić.

Pogrążona w śnie hipnotycznym opowiedziała, że została zaprowadzona na pokład latającego talerza, gdzie dziwne istoty rozebrały ją i ułożyły zupełnie nagą na wielkim stole. Humanoidzi wbijali jej

102

w różne miejsca ciała srebrzyste igły. Nie obchodziło ich, że sprawia jej to ból. Potem poddali ją kompleksowym badaniom lekarskim. Zwracali szczególną uwagę na jej narządy rozrodcze, co bardzo ją poruszyło.

Ci humanoidzi byli obrzydliwi. Nie posiadali żadnego owłosienia, mieli długie uszy, małe nosy i usta. Ich skóra miała kolor popiołu, a wielkie oczy iskrzyły się czerwonym blaskiem. Wydawało jej się, że kierują nimi inne, o wiele bardziej podobne do nas istoty o mocno opalanej skórze i w sumie dość sympatyczne. Odniosła takie wrażenie, gdyż wyraźnie interesowali się jej osobą. Jeden z nich

wydał jej się dziwnie pociągający. Niestety, nic więcej nie była w stanie sobie przypomnieć.

Czasami odnosi wrażenie, że chyba została zgwałcona przez tego sympatycznego humanoida i wydaje jej się, że nawet nie próbowała się bronić, przeżywając przy tym nieznaną przedtem rozkosz. Jest skądinąd wielce prawdopodobne, że pamięta doskonale to, co jej się wtedy przydarzyło, lecz z oczywistych powodów nie chce o tym mówić. Wydaje się to tym bardziej możliwe, że wszystko wskazuje na to, iż pozaziemskie istoty już dawno wybrały właśnie ją do spełnienia tej roli.

W trakcie hipnotycznego snu, Lydia przypomniała sobie, że podobna przygoda przydarzyła jej się już trzydzieści lat temu, gdy miała dziewięć lat i spacerowała razem z bratem i siostrą po lesie, obok farmy przyjaciół swych rodziców. Zostali wtedy

103

oślepieni czymś w rodzaju flesza, a przed nimi pojawił się jakiś nieznaną mężczyzna. Otóż teraz była absolutnie pewna, że tym, który uprowadził ją w swym samochodzie trzydzieści lat później, był właśnie ten sam nieznajomy.

Przypomniała sobie teraz, że wówczas również została wraz z bratem i siostrą uprowadzona przez podobne istoty do takiego samego pojazdu. Po dokładnym zbadaniu humanoidzi odprowadzili ich na Ziemię obiecując jej jednocześnie, że przyjdą po nią później, jako że mają swą podwodną bazę w pobliżu Florydy. Słowa dotrzymali. Ten przypadek jest bardzo interesujący również i z religijnego punktu widzenia, gdyż Lydia jest osobą głęboko wierzącą i w całym tym wydarzeniu widzi palec boży. Jest przekonana, że została wybrana przez Boga, a jej porywacze byli aniołami zesłanymi z nieba. A zresztą dlaczegóż by nie? Opowiadano nam już rzeczy o wiele dziwniejsze, które również mogą być prawdziwe »2266«.

Omówimy teraz inną dziwną historię. Zdarzyło się to dwa miesiące później, 25 października 1974 roku. Około godziny szesnastej Carl Higdon wracał do domu w Rawlins w stanie Wyoming. Jechał swoją furgonetką. Przejeżdżał przez wspaniały las Medicine Bow pełen łownej zwierzyny, a w szczególności łosi. Widząc nagle jednego, niedaleko drogi, wysiadł z samochodu, wziął broń, wycelował i strzelił.

Jednakże nic się nie wydarzyło. Pocisk spadł na ziemię w odległości 15 metrów, a łoś spokojnie

104

odszedł. Carl podniósł pocisk, obejrzał dokładnie i nie znajdując w nim nic wadliwego schował do kieszeni. Zauważył wtedy nagle przed sobą bezszelestnie przybyłą, dziwną istotę. Stracił przytomność. Odzyskał ją po dwóch i pół godziny i to o wiele kilometrów dalej. Przeszedł kilka metrów i zauważył nieopodal, w rowie, swoją furgonetkę. (91)

Jako że miał w samochodzie radiotelefon, skontaktował się z szeryfem z pobliskiego miasta, by prosić o pomoc, tłumacząc jednocześnie, że odnalazł swój samochód o pięć kilometrów od miejsca, w którym go zostawił i do tego w rowie pełnym błota. Podenerwowany szeryf odparł, że trzeba być durniem, żeby pakować się w błoto mając samochód z napędem tylko na dwa koła, kiedy nawet napęd na cztery koła często nie gwarantuje wydostania się z podobnych tarapatów i że pewnie

da mu to nauzkę na przyszłość.

Szeryf z zastępcą przyjechali na miejsce wypadku dopiero po pięciu godzinach i udało im się wyciągnąć furgonetkę z rowu. Carl znajdował się w stanie kompletnego omdlenia, wszystko go bolało i po przybyciu do domu prawie nie poznał swej żony. Odwieziono go do szpitala, z którego wyszedł dopiero po kilku dniach, kiedy powrócił do zdrowych zmysłów.

Trzy tygodnie później, dokładnie 17 listopada poddał się u siebie w domu hipnozie przeprowadzonej przez słynnego psychologa z uniwersytetu w Wyoming Leo Sprinkle'a. Opowiedział wówczas,

105

co mu się przydarzyło. Gdy podniósł z ziemi pocisk i schował go do kieszeni, zauważył stojące w cieniu duże istoty, jakich nigdy dotąd jeszcze nie widział. Humanoidzi mieli około 2 metrów wysokości, ważyli chyba przeszło 100 kilogramów, ich skóra była żółta, a włosy bardzo jasne. Ubrani byli w obszerne kombinezony ściśnięte pasem, na którego klamrze widniał emblemat wielkiej gwiazdy. Chyba byli w rękawicach, bo nie było widać ich palców.

Carl czuł się jak sparaliżowany i kiedy jeden z humanoidów podsunął mu pudełko z pastylkami każąc jedną z nich zażyć, zrobił to bez dyskusji, a wtedy poczuł, że płynie w kierunku dziwnego pojazdu. Na pewno nie mógł go wcześniej zauważyć, jako że pojazd był przezroczysty. Ale kiedy znalazł się wewnątrz, ogarnęła go absolutna ciemność i nie widział już niczego, co znajdowało się na zewnątrz. Polecono mu siąść w fotelu, a wtedy odniósł wrażenie, że pojazd startuje. Być może pojazd zabrał też i jego furgonetkę i odstawił ją potem trochę dalej.

Carl przypomina sobie, że humanoidzi umieścili go w podłużnym pudle o wymiarach około 2 metrów na 1 metr i nałożyli mu na głowę hełm, z którego wystawało sześć przewodów. Nad pudłem rozciągnięto tych samych wymiarów przezroczystą siatkę i humanoidzi przez dłuższy czas uważnie obserwowali ją, po czym zakomunikowali mu, nie wyjaśniając niczego, że nie posiada odpowiednich cech i w związku z tym odwiozą go z powrotem na Ziemię.

106

Powiedzieli mu, że często przybywają na naszą planetę. Dzieje się to przeważnie nocą, gdyż nie są w stanie znieść blasku Słońca. Podobnie zresztą działo się z naszymi astronautami na Księżycu. Również starannie unikali oni światła słonecznego. Następnie humanoidzi poprosili go, aby dał im na pamiątkę swoją strzelbę. To tak, jak my poprosilibyśmy aborygena z Australii czy Indianina z Amazonki, by zrobił nam prezent ze swojej prymitywnej dmuchawki »2346«.

Carl oczywiście uparcie twierdzi, że nie jest taki głupi, ażeby wjechać furgonetką na tak błotnisty teren, a także nie jest w stanie zrozumieć, jak to się stało, że bez słowa zażył podaną mu przez porywaczy pigułkę, skoro nigdy nie bierze żadnych podejrzanych lekarstw ani nawet nie pije alkoholu. Odniósł wrażenie, że przebywał wewnątrz pojazdu nie dłużej jak dziesięć minut, a tymczasem upłynęły dwie i pół godziny. Stanowi to jeszcze jeden przykład ściśnięcia czasu w przestrzeni. Ale poświęćmy tu trochę miejsca innemu dziwnemu wydarzeniu, które miało miejsce dwadzieścia lat wcześniej.



Pierwszego listopada 1954 roku, około godziny 18.30 czterdziestoletnia Rosa Lotti spotkała dwie dziwne istoty wychodzące z pojazdu w kształcie talerza. Wydarzyło się to we Włoszech w prowincji Arezzo obok miejscowości Cennina. Rosa niosła właśnie do kościoła bukiet goździków, który chciała złożyć na ołtarzu Madonny Pellegrina. Gdy dochodziła do leśnej polany, zauważyła pojazd i dwóch

107

osobników o dziecięcych posturach, ale dojrzałych twarzach. Ubrani byli w hełmy i w szare kombinezony. Karzełkowie byli czymś wyraźnie poruszeni, rozmawiali ze sobą używając dziwnego, podobnego trochę do chińskiego, języka. Mówili bardzo szybko. (79)

Ich piękne i inteligentne oczy budziły sympatię. Odnosiło się wrażenie, że bezustannie uśmiechają się. Mieli wielkie wystające zęby, co budziło skojarzenie z zębami królików. Jeden, chyba najstarszy z nich, bez przerwy śmiał się i najprawdopodobniej chciał jakoś porozumieć się z Rosą. Trochę się przestraszyła, gdy wziął od niej cały bukiet, oddał jej dwa goździki, a pozostałe zaniósł do pojazdu. Powrócił zaraz niosąc dwie małe paczuszki, które wyciągnął ku niej, jakby w geście podarunku w zamian za kwiaty. Ale Rosa rzuciła się do ucieczki w kierunku lasu.

Gdy po chwili odwróciła się, stwierdziła, że latający talerz oraz dwaj humanoidzi nadal pozostają w tym samym miejscu. We wsi zaraz opowiedziała o tym zdarzeniu księdzu i karabinierom, którzy zaczęli ją wypytywać o to, co widziała. Przypomniała sobie, że średnica latającego talerza wynosiła około 6 metrów, w środku znajdowały się drzwi, a po bokach po jednym okrągłym okienku. Patrząc przez drzwi zauważyła dwa małe fotele ustawione do siebie tyłem, każdy zwrócony w kierunku okienka. Prawdopodobieństwo zaistnienia tego opisanego przez Rosę wydarzenia jest bardzo duże, a jego

108

wiarygodność utwierdza jeszcze fakt, że UFO zostało tego dnia zauważone, w tym samym miejscu i o tej samej porze, przez wiele innych osób »5048«.

Dwa lata później, jesienią 1956 roku, pewien inżynier pracujący w przedsiębiorstwie elektronicznym Cedar Rapids w Iowa zadzwonił do swojego kolegi proponując mu przesłuchanie nadzwyczajnego nagrania magnetofonowego, którego dokonał ostatniej nocy. Sprawdzał nowy radiodbiornik, który automatycznie przeszukiwał całe pasmo częstotliwości zatrzymując się tam, gdzie znalazł sygnał.

W ten właśnie sposób inżynier odkrył tajemniczy przekaz radiowy nadawany z pewnością z miejsca oddalonego od Ziemi o tysiące kilometrów. Trudny do zidentyfikowania głos, jakby wydawany przez elektronicznego robota, mówił po angielsku z dziwnym akcentem, lecz w sposób zrozumiały. Emisja trwała dwie godziny i poświęcona była różnorodnym problemom przedstawianym podobnie jak w hinduskich czy tybetańskich świętych pismach.

Po kilku dniach inżynier ponownie zadzwonił do przyjaciela informując go, że powtórnie udało mu się złapać tę samą radiostację. Głos z radia polecał mu patrzeć w niebo w kierunku północnym, a następnie przesunąć wzrok o jakieś 30 stopni od tego punktu na wschód. Spostrzegł wtedy na niebie błyszczący dysk o średnicy równej

jednej trzeciej średnicy Księżyca. Dysk wykonywał na niebie dziwne ewolucje, przemieszczając się najpierw sześć razy

109

z prawej strony na lewą, następnie w przeciwnym kierunku, jak gdyby chciał mieć pewność, że zostanie zauważony, a nie wzięty za planetę Wenus, jak to już wielokrotnie miało miejsce. Wenus można obserwować na wschodzie, a o zmroku na zachodzie, lecz nigdy nie jest widoczna na północy.

Tajemniczy obiekt, przekonany, że został zauważony, zakończył swe ewolucje, gwałtownie zwiększył prędkość i nagle zniknął na horyzoncie. Śledziły go zresztą radary w Cedar Rapids, Omaha i Davenport podziwiając jego zawrotną prędkość rzędu 5000 kilometrów na godzinę. Pojawił się nawet na ten temat oficjalny komunikat, lecz oczywiście nie wspomniano w nim, że pojazd starał się nawiązać łączność przesyłając informację w zrozumiałym dla nas języku i określając nawet własne położenie na niebie, dla uzyskania pewności bycia widzianym.

Ta historia przywodzi na myśl teorię Duncana Lunana (57), o której pisałem w mojej poprzedniej książce. Według tej teorii cywilizacje pozaziemskie mogłyby już od dawna posiadać stałą bazę na orbicie Ziemi. Przywodzi również na myśl teorię Dona Wilsona, według której kosmici mogliby już od dawna przebywać na Księżycu, czy też teorię George'a Leonarda, dla którego sam Księżyc mógłby stanowić sztuczny twór stworzony przez kosmitów jako ich baza. Trudno w to uwierzyć, ale nie jest to niemożliwe. (77)

Ludzie, którzy widzieli humanoidów, opisują ich w bardzo rozmaity sposób. Dowodzi to, że w ich

110

opowieściach dużą rolę odgrywała wyobraźnia. Niektóre z tych opisów wskazują na to, że wygląd humanoidów niewiele różni się od naszego. I trudno nie brać tego poważnie mając na uwadze to, że przybysze poruszają się na Ziemi tak samo jak my, a więc muszą bardzo nas przypominać i pochodzić z planety podobnej do naszej.

Przede wszystkim oddychają naszym powietrzem, piją naszą wodę i tolerują ziemską siłę ciężkości. Nasze przyciąganie ziemskie stanowi dowód na to, że ich wielkość musi być podobna do naszej. Jeśliby na przykład byli od nas dwukrotnie wyżsi, ich masa i ciężar byłyby ośmiokrotnie większe, a to utrudniałoby im poruszanie się. Ich wzrost zatem może się tylko nieznacznie różnić od naszego.

Zdarzały się również przepelnione wyobraźnią, niezwykle opisy humanoidów przedstawianych jako istoty o trzech oczach lub dwóch parach uszu. Zarówno ludzie jak i większość zwierząt posiada dwoje oczu zdolnych patrzeć na boki i widzieć przestrzennie oraz oceniać położenie i odległości oglądanych przedmiotów. Podobnie dwoje uszu służy do określania kierunku i odległości źródła dobiegających dźwięków. Do tych celów zupełnie zbędne byłoby posiadanie trzech oczu lub dwóch par uszu.

Humanoidzi posiadają również zdolność porozumiewania się z nami czy to przy użyciu głosu, czy też telepatii, a to dowodzi, że znają wiele języków. Jednym słowem są nam zapewne bliżsi rozwojowo

111

niż na przykład aborygeni z Australii czy Nowej Gwinei. Jest więc bardzo prawdopodobne, że pochodzą z jakiejś podobnej do naszej Ziemi planety, a nawet że są potomkami dawnych Ziemiaków, którzy z obawy przed jednym z licznych kataklizmów wielokrotnie nawiedzających w przeszłości Ziemię schronili się na innej planecie.

Inne tajemnicze zdarzenie miało miejsce 31 lipca 1968 roku około godziny 9 rano na wyspie Ile de la Réunion w pobliżu Saint-Pierre. Młody rolnik Luce Fontaine kosił trawę dla swoich królików na polanie, pośrodku akacjowego lasu. Nagle spostrzegł około 20 metrów od siebie zdumiewający obiekt wiszący w powietrzu 3 lub 4 metry nad ziemią. (79)

Pojazd był ciemnoniebieski, w kształcie talerza, miał metaliczne nogi i przezroczystą kopułę, przez którą Fontaine dostrzegł dwóch niewysokich osobników odwróconych do niego plecami. Jeden z nich odwrócił się w jego kierunku i wtedy Fontaine stwierdził, że humanoid nie może mieć więcej niż metr wzrostu. Ubrany był w hełm i kombinezon. Nagle pochylił się w stronę swojego towarzysza, a wtedy latający talerz wystartował pionowo z zawrotną prędkością w blasku oślepiającego, niebieskiego światła, podobnego do światła wytwarzanego przez łuk elektryczny. Wydzielił przy tym dużo ciepła. Fontaine sprawdził dokładnie miejsce, gdzie pojawił się latający talerz, ale nie znalazł tam żadnego śladu, co zresztą było oczywiste, gdyż pojazd znajdował się ponad ziemią. Opowiedział

112

o tym zdarzeniu dwóm policjantom, którzy zjawili się tam po tygodniu i dzięki licznikowi Geigera odkryli w miejscu, gdzie pojawił się latający talerz, osiem punktów o podwyższonej radioaktywności. Połączone punkty tworzyły idealny okrąg. Mamy więc prawo uważać, że opowieść Luce'a Fontaine'a jest prawdziwa »0069«.

Następne tajemnicze wydarzenie tego rodzaju zanotowano 7 stycznia 1970 roku około godziny 17 w Finlandii, w pobliżu wsi Imjarvi. Dwaj młodzi mężczyźni Esko Viljo i Arno Einonen jeździli po lesie na nartach. Zatrzymali się na chwilę na polanie. Po chwili usłyszeli coś w rodzaju brzęczenia i zobaczyli spadającą szybko, prosto na nich, świetlistą chmurę. (79)

Zauważyli, że z chmury wyłonił się metaliczny, okrągły obiekt o średnicy około 6 metrów. Ze środka płaskiego spodu wystawała rura, a wokół niej znajdowały się trzy półkule. Pojazd powoli zniżał lot i w końcu zatrzymał się, w odległości około 3 metrów od ziemi. Był tak blisko nich, że mogliby go dotknąć swoimi narciarskimi kijami. Wiązka światła wychodząca z rury utworzyła na śniegu świetliste koło o średnicy około jednego metra. Wokół pojawiła się mgła.

Arno miał dziwne odczucie, że ktoś złapał go wpół i ciągnął do tyłu. Cofnął się o krok i obejrzał się. Pośrodku świetlistego kręgu ujrzał istotę wysokości zaledwie jednego metra, która próbowała go przyciągnąć. Humanoid trzymał w ręce czarne pudełko

113

migoczące żółtym światłem. Miał bardzo szczupłe kończyny, bladą, niczym woskową twarz, niewielkie uszy i haczykowany nos.

Ubrany był w jasnoszary kombinezon, ciemnozielone buty z cholewami i białe rękawice do łokci. Skierował na nich strumień żółtego światła i poczuli się niczym sparaliżowani. Potem mgła skupiła się wokół pojazdu, świetlisty krąg skurczył się, a pomiędzy pojazdem a ziemią wytrysnął snop iskier. Wiązka świetlna ślizgała się jeszcze przez chwilę po powierzchni ziemi, po czym powróciła do rury. Nagle mgła zniknęła, a wraz z nią i latający talerz. Powietrze ponownie stało się przejrzyste, a na niebie nie było śladu pojazdu.

Jeszcze długo po tym wydarzeniu obaj mężczyźni mieli poważne kłopoty ze zdrowiem. Odczuwali bóle głowy, serca, pleców, rąk i nóg. Mieli bardzo niskie ciśnienie tętnicze, zaburzenia pamięci i równowagi. Powrócili na miejsce zdarzenia w towarzystwie innych osób. U wszystkich zaobserwowano potem problemy ze zdrowiem. Mogłoby to świadczyć o podwyższonym poziomie radioaktywności w tamtym miejscu. Pojawienie się i zniknięcie tego latającego talerza zauważone zostało również jeszcze przez inne osoby mieszkające w odległości około dziesięciu kilometrów od miejsca zdarzenia.

## ROZDZIAŁ VII

### ŚLAD Z MARLIENS

Najnowsze odkrycia astronomiczne upewniają nas co do istnienia w kosmosie innych cywilizacji, z których niektóre mogłyby nawet być o wiele bardziej rozwinięte od naszej. Chęć porozumienia z nimi wydaje się więc oczywista. Porozumienie takie mogłoby polegać na odbieraniu i odczytywaniu wysyłanych przez te cywilizacje komunikatów, czy też wysyłaniu im prostych informacji za pomocą naszych skromnych środków, takich jak na przykład radio czy laser.

Tak więc bardzo istotnym problemem okazało się ustalenie rodzaju środków przekazu mających największe szanse bycia zrozumiałymi zarówno dla nas, jak i dla nich. Dlatego też prowadzone są w tym kierunku bardzo zaawansowane prace badawcze i to zarówno przez niezależnych badaczy, jak i przez przedstawicieli świata oficjalnej nauki. (83)

115

Większość specjalistów z dziedziny informatyki i łączności w przestrzeni kosmicznej podobno jest zgodna co do tego, że taki komunikat musi być bardzo prostym komunikatem matematycznym, i to takim, który mógłby zostać przedstawiony za pomocą ciągu arytmetycznego, takiego jak na przykład 2, 4, 6, 8 lub geometrycznego np. 2, 4, 8, 16. Mógłby też zostać wyrażony przez ciąg liczb pierwszych, takich jak 7, 11, 13, których stosunki wyrażone ułamkiem dziesiętnym zawierają powtórzenia cyfr, gdyż to musiałoby przyciągnąć uwagę.

Taki kosmiczny komunikat mógłby zostać utworzony na wyższym stopniu przez ułamki zwykle wyrażające znane stałe matematyczne, takie jak  $22/7$  dla  $\pi$  czy  $89/55$  — dla  $\varphi$ . Te dwie stałe, znane już przed tysiącami lat przez naszych odległych przodków, wydają się być bardzo cenione przez naszych gości z kosmosu. Otrzymaliśmy już, o czym będzie mowa dalej w tej książce, komunikaty

tego rodzaju, lecz niestety przeszły one zupełnie niezauważone przez tych, których obowiązkiem było odkryć ich istnienie.

Ale jest to już bardzo delikatny temat i obawiam się, że przekroczymy niebezpieczną granicę, jaka dzieli dwa bardzo różne światy naukowe. Pierwszy - to świat oficjalnej nauki, kurczowo trzymającej się osiągnięć naukowych poprzedniego stulecia i odmawiającej uznania nowych odkryć. Z drugiej strony mamy naukę alternatywną, która nie przejmując się akademickimi przesądami, zdołała poczynić nadzwyczajne odkrycia, które z pewnością nigdy nie zostaną zaakceptowane przez oficjalną naukę. Nie znaczy to jednak, aby były one mniej znaczące.

W gruncie rzeczy, nie tak trudno jest znaleźć naukowców, którzy skłonni są ostatecznie zaakceptować teorię głoszącą istnienie innych cywilizacji we wszechświecie, ale żaden z nich nie przyznałby, że takie cywilizacje mogłyby być na tyle rozwinięte, aby móc realizować loty międzyplanetarne ani tym bardziej, że astronauta pochodzący z innego świata, mogliby na pokładach swych latających talerzy odwiedzać nas na Ziemi.

A tymczasem niemal codziennie docierają do nas zewsząd informacje, że takie pojazdy zostały dostrzeżone, a nawet że wylądowały na powierzchni Ziemi. Jeżeli chcemy pewnego dnia dowiedzieć się czegoś więcej na temat tych pojazdów, skąd i dlaczego przybywają do nas, w jaki sposób poruszają się w naszej atmosferze z tak fantastyczną prędkością, jakiej żadne urządzenie stworzone przez człowieka nie mogłoby osiągnąć nie rozpadając się przy tym natychmiast, musimy zaakceptować istnienie i osiągnięcia nauki alternatywnej, uznającej istnienie latających talerzy i starannie odnotowującej wszystkie przypadki ich pojawienia się na Ziemi.

Fakty, które przedstawię w następnych rozdziałach posuwają się w swym nieprawdopodobieństwie jeszcze dalej i obawiam się, że niektórzy z moich przyjaciół będących zwolennikami owej alternatyw-

117

nej nauki nie będą mogli ich zaakceptować, bez uprzedniego samodzielnego sprawdzenia. Jeśli chodzi o tych przedstawicieli unii racjonalistów, którzy uczynili mi zaszczyt czytając moją ostatnią książkę i omawiając ją na łamach swego czasopisma, mam szczerą nadzieję, że również i niniejsza książka nie umknie ich uwadze. Ale powróćmy do faktów.

Nocą 10 maja 1967 roku mieszkańcy małej, burgundzkiej wioski Marliens znajdującej się na południowy wschód od Dijon spostrzegli na niebie przelatujący ponad ich wsią i lądujący w niedalekiej odległości ogromny latający talerz. Nazajutrz rano jeden z tamtejszych rolników odkrył na swoim polu wielki ślad, powstały na pewno w wyniku nocnego lądowania pojazdu. Natychmiast wezwał z Genlis żandarmów, którzy przybyli po kilku godzinach w celu przeprowadzenia wywiadu. Zmierzyli wymiary odcisniętego śladu i naszkicowali go. Szkic ten opublikowały wkrótce wszystkie czasopisma urologiczne.

Ślad był bardzo osobliwego kształtu, podobny do nieregularnej, sześcioramiennej gwiazdy. W jego środku znajdowało się sześć innych odcisniętych w ziemi wklęsłości, które również mogły tworzyć drugą, ale już znacznie mniejszą gwiazdę.

Po połączeniu wszystkich wierzchołków każdej z gwiazd powstały dwa nieforemne sześciokąty. Jak to zobaczymy dalej, żandarmi zaokrąglili wszystkie ich wymiary i dlatego były one niedokładne, ale nie można tego potępiać, gdyż ślady, które mierzyli,

118

odciśnięte były w świeżo zaoranej ziemi, a oni sami nie spodziewali się, że wymiary te mogą mieć potem aż tak duże znaczenie.

W chwili, gdy ujrzałem w jakimś czasopiśmie szkic przedstawiający ten ślad, zaintrygował mnie jego dziwny kształt, ale pochłonięty innymi sprawami nie poświęciłem mu szczególnej uwagi. Dopiero niedawno, po innych odkryciach tego rodzaju, postanowiłem wprowadzić do komputera wszystkie wymiary śladu z Marliens. Stosując kolejno różne współczynniki matematyczne sprawdzałem, czy istnieje jakiś wzajemny związek pomiędzy jego wymiarami, albo jakiś związek ze współczynnikami astronomicznymi, matematycznymi lub nuklearnymi.

Wynik zaskoczył mnie. Wszystkie wymiary były dokładną wielokrotnością 25 milimetrów, czyli długo używanej przez Egipcjan jednostki długości zwanej calem. Egipski cal to  $1/12$  stopy lub  $1/18$  łokcia. Jest skądinąd bardzo prawdopodobne, że obecnie stosowany cal angielski wywodzi się od cala egipskiego. Po przeliczeniu na 25-milimetrowe cale egipskie wymiarów określonych przez żandarmów w metrach, otrzymałem serię dwudziestu czterech różnych liczb od 16 do 118. Byłoby dość nużące przedstawianie ich tutaj, ale czytelnik może je odnaleźć na rysunkach przedstawiających ślad. Odkryłem, że wszystkie te liczby były wielokrotnościami trzynastu liczb pierwszych od 7 do 79, a wzajemne stosunki pozwalały wyliczyć niektóre stałe matematyczne,

119

o czym już mówiliśmy wcześniej, a nawet pewne znane wartości funkcji trygonometrycznych. Zauważyłem, że pięć z tych liczb pierwszych, to znaczy 7, 11, 13, 37, 41 dzielone przez siebie nawzajem pozwalają otrzymać okresowe powtórzenia cyfr, podobne do tych, o których już mówiliśmy. W końcu, prawie przypadkowo odkryłem, że dokładnie tych samych trzynastu liczb pierwszych, używali przed tysiącami lat nasi przodkowie do wyliczeń cykli astronomicznych tworzących kalendarze. Na przykład cykle 364, 365, 378, 399 lub 780 dni dotyczyły kolejno Księżyca, Słońca, Saturna, Jowisza oraz Wenus i Marsa.

Taka seria wzajemnych zależności wymiarów pozostawionych na ziemi przez latający talerz nie mogła być tylko dziełem przypadku. Jest bardziej prawdopodobne, że jest ona owocem starannych wyliczeń dokonanych przez nieznaną nam konstruktorów tajemniczego pojazdu, tym bardziej, że wkrótce odkryłem zależności jeszcze bardziej zadziwiające.

Pewnego dnia, od niechcienia, wyliczyłem pole powierzchni nieregularnego sześciokąta utworzonego przez sześć wierzchołkowych punktów pozostawionego śladu. Najpierw obliczyłem pole każdego z nieregularnych trójkątów, wykorzystując dobrze znany wzór na pole trójkąta dowolnego, w zależności od jego obwodu i długości trzech boków, następnie dodałem do siebie pola trójkątów, aby otrzymać pole powierzchni całego sześciokąta.

Stwierdziłem wówczas, że jego pole wynosiło 15 792 egipskie cale kwadratowe, czyli 9,87 metra kwadratowego, co wydawało się nie mieć szczególnego znaczenia aż do chwili, kiedy zauważyłem, że jest to wartość współczynnika  $\pi$  podniesionego do potęgi drugiej. Innymi słowy, powierzchnia sześciokąta odpowiadała dokładnie powierzchni kwadratu o boku 3,1416 metra, czyli równym wartości  $\pi$  wyliczonej jako  $377 / 120$

Nie zdziwiłem się więc bardzo, gdy stwierdziłem, że powierzchnia mniejszego sześciokąta, utworzonego przez sześć wewnętrznych punktów odcisniętego śladu, równała się 2 836 cali kwadratowych, lub inaczej 1,7725 metra kwadratowego, czyli dokładnie pierwiastek kwadratowy współczynnika  $\pi$ , co można wyrazić ułamkiem  $39 / 22$ .

Od tej chwili nie możemy już mówić o zbiegach okoliczności. Jest pewne, że wymiary pozostawionego na ziemi śladu zostały dokładnie wyliczone przez nieznaną nam cywilizację, która chcąc nawiązać z nami pierwszy kontakt, pozostawiła nam prosty komunikat matematyczny. Otóż jeśli zgodzimy się z możliwością istnienia takiego komunikatu, musimy tym samym uznać istnienie śladu, potwierdzone zresztą przez żandarmów, jak również pojazdu, który go pozostawił na ziemi, a więc także i pozaziemskiej cywilizacji, która wysłała ów pojazd.

121

W każdym bądź razie, jeśli chodzi o mnie, jestem absolutnie przekonany o tym, że we wszechświecie istnieją nieznane nam cywilizacje, pojazdy międzyplanetarne, przelatujące z nieprawdopodobną prędkością przez naszą atmosferę, oraz że astronauty z innej planety przybywają do nas i próbują porozumieć się z nami. Zdaję sobie sprawę z tego, że dla wielu będę szaleńcem, co niektórzy z nich nawet napiszą, ale w moim wieku nie ma to już specjalnego znaczenia. Dla mnie najważniejsze jest przekonanie, że hipotezy wysunięte przeze mnie w tej książce, są z dużym prawdopodobieństwem prawdziwe oraz że jest konieczne, aby ktoś odważył się je opublikować, nawet gdyby miał narazić się na ataki oficjalnej nauki.

Z drugiej strony, hipotezy te nie są aż tak mało prawdopodobne, skoro zostały opublikowane w 1980 roku w lipcowym numerze amerykańskiego czasopisma „Omni”, sprzedawanego na całym świecie i szczyłającego się przeszło milionowym nakładem.

Ślad pozostawiony w Marliens nie jest jedynym, który prawdopodobnie zawiera komunikat matematyczny pochodzenia kosmicznego. Przedstawię teraz inne, które też zawierają komunikaty tego samego rodzaju. Są to ślady pozostawione w Valensole we Francji oraz w Santa Monica w Hiszpanii.

Dnia 1 lipca 1965 roku obok małego miasteczka Valensole w regionie Basses-Alpes, w odległości 20 kilometrów od Manosque miało miejsce następujące

122

zdarzenie. Rolnik Maurice Masse pracował na polu lawendy w pobliżu drogi z Valensole do Manosque. Nagle spostrzegł latający talerz stojący na czterech wspornikach pośrodku pola.

Masse zbliżył się do pojazdu. Zauważył dwóch humanoidów oglądających dokładnie kwiaty lawendy. Wyglądało to, jakby zastanawiali się, do czego ona może ludziom być przydatna. Byli bardzo podobni do ludzi, tyle że wzrost mieli ośmioletniego dziecka, a głowy co najmniej trzy razy większe niż my i wąskie usta. Masse bez obawy zbliżył się do nich chcąc spytać, co robią na jego polu. Wtedy jeden z humanoidów widząc go skierował na niego jakąś rurę i sprawił, że Masse zastygł w bezruchu. Nie stracił jednak przytomności.

Humanoidzi kontynuowali swe badania lawendy i nie zwracali na niego uwagi. Rozmawiali między sobą używając dziwnego języka i od czasu do czasu spoglądali przyjaźnie na Masse'a. Sprawilo to, że Masse nie odczuwał żadnego niepokoju i nigdy nie pomyślał nawet, że coś mogłoby mu grozić z ich strony. Po pewnym czasie humanoidzi powrócili do latającego talerza. Pojazd z ogromną prędkością wystartował pionowo i zniknął w chmurach.

Masse odzyskał zdolność poruszania się dopiero po mniej więcej kwadransie od ich startu. Podszedł do miejsca, gdzie znajdował się pojazd i odkrył głęboki ślad odcisnięty w ziemi. Ponad wszelką wątpliwość nie było go tam przed pojawieniem się latającego talerza. Masse był więc pewien, że ślad ten

123

powstał w wyniku lądowania pojazdu, który widział przed chwilą, 60 metrów od linii kolejowej łączącej Valensole z Oraison. Powiadomił o tym wydarzeniu żandarmów. Przybyli następnego dnia i rozpoczęli dochodzenie w tej sprawie. Sporządzili również szkic określający wymiary odcisniętego śladu.

Ślad był w kształcie krzyża. Wszystkie jego ramiona były tej samej, prawie czterometrowej długości. Szerokość każdego z ramion oscylowała pomiędzy 9 a 18 centymetrów. Zależało to od głębokości, na jakiej przeprowadzany był pomiar. W punkcie centralnym krzyża wydrążony był w ziemi otwór o głębokości około 40 centymetrów. Jedno z ramion skierowane było 26 stopni na wschód, dokładnie w kierunku stosu kamieni leżącego między dwoma drzewami.

Żandarmi starannie odnotowali to na swoim szkicu sporządzonym 2 lipca 1965 roku, ale ja potrzebowałem dużo czasu, aby wydobyć ten szkic z posterunku żandarmerii w Digne, gdzie opatrzone go podpisem „Lądowanie powietrznego statku niewiadomego pochodzenia”. Odnoszę wrażenie, że francuskie władze wojskowe przywiązywały wielką wagę do tej sprawy i starały się z całych sił ją zatuszować. Ale w końcu mogłem zapoznać się ze szkicem dzięki moim przyjaciółom, którym udało się go zdobyć. Zaskoczyła mnie ogromna prostota tego śladu i chyba nigdy nie zrozumieć, dlaczego tak długo ukrywano w tajemnicy jego istnienie.

Starałem się, podobnie jak to miało miejsce w przypadku śladu z Marliens, odkryć jego ukrytą tajemnicę. Zastanawiałem się na przykład nad jego długością i ewentualnymi ukrytymi związkami ze stałymi  $\pi$  i  $\varphi$ , wiedząc że im to właśnie poświęcają najwięcej uwagi nasi goście z kosmosu. Ale to nie doprowadziło mnie do żadnych wniosków. Zauważyłem wtedy, że pole powierzchni śladu wynosiło około 2268 cali kwadratowych na powierzchni ziemi i 1134 w głębi odcisku. Obie te liczby były bardzo ważne dla naszych przodków i to w różnych częściach świata.

Przeliczyłem następnie pola powierzchni na metry kwadratowe i otrzymałem



kolejno 1,414 dla śladu na powierzchni ziemi, co stanowi pierwiastek kwadratowy z liczby 2 i 0,707 na dnie odcisku, co stanowi połowę lub odwrotność tego pierwiastka. Jest to dobrze znana ciekawostka matematyczna, a więc mogłaby zostać tutaj zastosowana przez naszych pozaziemskich przybyszów, w celu przyciągnięcia naszej uwagi i nawiązania z nami kontaktu.

Ustaliłem też, że ślad o powierzchni 2268 cali kwadratowych mógłby składać się z 41 jednakowych kwadratów o powierzchni 28 cali kwadratowych każdy. Jeden z nich znajdowałby się w centrum krzyża, a każde z ramion składałoby się z dziesięciu takich kwadratów. Idąc dalej w moich rozważaniach zauważyłem, że te trzy liczby - 2268, 41, 28 - były dla naszych przodków liczbami świętymi. Pierwsza z nich wyraża stałą Niniwy wyrażoną

125

w milionach dni, druga to liczba wyrażająca długość podstawy trzech piramid egipskich - Cheopsa, Che-frena i Mykerinosa, a trzecia to ilość dni potrzebna Księżycowi do wykonania dwudziestu siedmiu obrotów wokół Ziemi.

Po dokonaniu tych odkryć byłem już pewien, że ślad z Valensole zawiera w sobie przesłanie matematyczne tego samego rodzaju, co ślad z Marliens. Pozostało mi tylko wyliczyć dokładne wymiary, jakie powinien posiadać ten odcisnięty ślad, tak by pole jego powierzchni dawało się przedstawić zarówno w postaci pierwiastka kwadratowego liczby 2, jak i jako suma powierzchni 41 jednakowych kwadratów, każdy o polu 28 cali kwadratowych. Następnie należało sprawdzić, czy te wymiary zgadzają się z wymiarami odnotowanymi przez żandarmów na miejscu zdarzenia.

Według moich wyliczeń, ślad z Valensole powinien mieć 390 cm długości i szerokości, a szerokość każdego z ramion, mierzona na poziomie powierzchni ziemi, powinna wynosić 18,571 cm. Jeżeli 2268 cali kwadratowych równa się  $14\,140\text{ cm}^2$ , to jeden cal kwadratowy odpowiada powierzchni  $6,235\text{ cm}^2$ , czyli jeden cal wynosi 2,497 cm. Wszystkie te wyniki uzyskane drogą matematycznych wyliczeń odpowiadają wymiarom odnotowanym na miejscu zdarzenia. Mogłoby to tłumaczyć, dlaczego dla francuskich władz wojskowych rysunek ukazujący ten ślad był czymś tak ważnym. Być może udało im się odszyfrować komunikat zawarty w jego wymiarach

126

lub podejrzewali istnienie takiego komunikatu, nie odczytując jednak jego znaczenia.

Jaka by nie była prawda, jedno jest pewne - nigdy nie dowiemy się, czy wymiary śladu z Valensole są tylko rezultatem splotu przedziwnych okoliczności, czy też zostały przez naszych gości z kosmosu wyliczone specjalnie jako jeszcze jeden rebus, w celu sprawdzenia, czy staliśmy się już dość inteligentni, aby go rozwiązać. Ale nawet gdyby wysunięta przeze mnie hipoteza okazała się trafna, pozostanie nam jeszcze jeden problem: co łączy ślady latających talerzy lądujących obecnie pośród pól lawendy z metodami wyliczeń stosowanymi przed tysiącami lat przez naszych przodków, którzy być może przejęli je od pozaziemskich przybyszów.

Przedstawię teraz szczegóły dotyczące lądowania latającego talerza w Sturno we Włoszech. Miało ono miejsce 29 sierpnia 1977 roku i pozostawiło ślad, któremu

uważam, że należy tu poświęcić trochę miejsca. Składał się on z trzech okręgów tworzących trójkąt równoramienny, którego podstawa miała długość 6 metrów, a ramiona po 5. Każdy z okręgów posiadał średnicę równą 21 centymetrów. W centrum każdego z nich znajdowały się trzy zagłębienia. Wyznaczając wysokość trójkąta równoramiennego otrzymano dwa trójkąty prostokątne o długościach boków 3, 4 i 5 metrów, czyli dwa święte trójkąty podobne do tych, jakie można znaleźć w konstrukcji piramid, prostokątnych kromlechów z Crucuno, czy

127

owalnych, kamiennych kręgów z Claba, Carnac i Molodovy.

Z drugiej strony, ślad posiada te same proporcje, co przekrój poprzeczny piramidy Chefrena, ale jego wymiary są trzydzieści sześć razy mniejsze. Jest więc bardzo możliwe, że również ślad ze Sturno zawiera w sobie matematyczny komunikat wysłany z kosmosu, tym bardziej że jego wymiary są dokładnymi ułamekami pewnej całości. Całość tę stanowi liczba 63. Zadziwiające jest też to, że liczba ta określa odległości istniejące pomiędzy równoległymi przelotami niezidentyfikowanych pojazdów nad terytorium Francji. A wracając do średnicy tych okręgów, to zauważyłem że jej długość równa jest długości fali wodoru atomowego. Nasi przybysze z kosmosu przyjęli to chyba za jednostkę miary długości.

## ROZDZIAŁ VIII

### ŚLAD Z SANTA MONICA

W Hiszpanii w czerwcu 1965 roku pewien urzędnik Fernando Manzano odebrał tajemniczy telefon. Manzano pasjonował się problemem latających talerzy, przeczytał na ich temat bardzo wiele książek, a nawet sam napisał kilka. W 1954 roku założył stowarzyszenie ufologiczne „Towarzystwo przyjaciół kosmosu”. Miał nadzieję, że jego działalność nie przejdzie niezauważona i że kiedyś spotka się z przybyszami z kosmosu. Otóż właśnie ten dzień nadszedł.

Zadzwoił do niego jakiś nieznajomy. Mówił z obcym akcentem. Podał mu ciąg dziwnych sylab. Fernando skwapliwie je zanotował, chociaż wydawało mu się, że nie mają one żadnego sensu. Nieznajomy mówił po hiszpańsku. Poinformował go, że podyktowane przed chwilą dane są pochodzenia pozaziemskiego. Poleciał, aby Fernando starannie je przechowywał aż do chwili, gdy dostanie instrukcję dalszego postępowania. Fernando zapro-

129

ponował nieznajomemu spotkanie, ale ten oświadczył, że na razie jest to niemożliwe. Obiecał natomiast zadzwonić jeszcze i napisać do niego w ciągu kilku następnych miesięcy. Istotnie, Fernando został dosłownie zasypany przesyłkami pocztowymi i telefonami od swojego nowego przyjaciela.

Otrzymywał zadziwiające listy przychodzące z całego świata. Kiedyś, na przykład, otrzymał list pochodzący z Australii, w którym zawarty był opis wydarzeń mających miejsce poprzedniego dnia w Madrycie. W innych znajdowały się różne

przepiękne, trójwymiarowe fotografie. Otrzymał też bardzo obszerne opisy życia i rozwoju cywilizacji na planecie Ummo. Zawarte w nich prawdy filozoficzne mogłyby z powodzeniem zostać zaakceptowane przez mieszkańców Ziemi. Na wszystkich dokumentach, bez względu na miejsce ich wysłania, widniał zawsze emblemat Ummo: trzy pionowe kreski przekreślone jedną linią poziomą. (52)

W końcu spełniły się marzenia Fernando: jakaś pozaziemska cywilizacja nawiązała z nim łączność i wyjawiając mu wszystkie swoje tajemnice, obarczyła misją rozpowszechnienia na Ziemi informacji na temat jej istnienia. To, co się następnie wydarzyło, jeszcze umocniło jego przeświadczenie, że został wybrany przez przedstawicieli tej cywilizacji do spełnienia na Ziemi specjalnej misji jako wysłanik kosmosu.

Na madryckim przedmieściu Aluche, niedaleko Santa Monica, znajduje się magazyn amunicji, strze-

130

żony przez duży oddział wojska. 6 lutego 1966 roku, około godziny 19, wojskowi zauważyli na niebie latający talerz o średnicy około 10 metrów. Na ich oczach pojazd wylądował, a następnie, prawie natychmiast, wystartował i odleciał. Na ziemi pozostały trzy prostokątne, dość głębokie ślady. Tworzyły one trójkąt równoboczny, którego boki miały długość około 1,5 metra i którego wysokość wynosiła 1,3 metra.

Łądowanie pojazdu potwierdzają relacje wielu naocznych świadków. Jeden z nich, José Jordan, który jechał samochodem w kierunku Madrytu, widział dokładnie spód pojazdu i umieszczony na nim słynny emblemat Ummo: trzy pionowe linie przecięte jedną poziomą. Ten latający talerz zaobserwowany w Aluche był dla Fernanda Manzano potwierdzeniem wiarygodności tych wszystkich listów i telefonów, które otrzymał od przyjaciół z kosmosu.

Pierwszego czerwca 1967 roku, dokładnie zaraz po zachodzie Słońca, ludzie odpoczywający pośród świerków w madryckiej dzielnicy Juan José de Valderas ujrzeli nagle dziwny spektakl. Ogromny, klasycznych kształtów latający talerz o średnicy około 40 metrów, zwieńczony błyszczącą kopułą, unosił się powoli w kierunku północno-wschodnim, ponad świerkami. Ustawił się bokiem, a potem przechylił się ukazując swój spód, a na nim umieszczony słynny znak Ummo.

Ogromny pojazd obrócił się w prawo, znowu ustawił się bokiem pokazując profil i przesunął się

131

znowu w kierunku południowego wschodu, gdzie jeszcze raz zademonstrował swą dolną część, jakby chcąc jeszcze raz pokazać znajdujący się tam emblemat. Ponad wszelką wątpliwość, wszystkie te manewry miały na celu zwrócenie uwagi na kształt i ogromne rozmiary latającego talerza, a także na tajemniczy emblemat, który, jak się to okaże, będzie miał duże znaczenie.

Następnego dnia rano wydawca madryckiej popo-ludniówki otrzymał dziwny telefon. Dzwonił jakiś nieznajomy i proponował mu pięć negatywów przedstawiających tajemniczy pojazd. Zdjęcia zostały zrobione poprzedniego wieczoru i były do odebrania we wskazanym przez nieznajomego laboratorium. Zdjęcia te

opublikowano. Przedstawiały one dysk z umieszczonym na nim emblematem. Był on dokładnie taki, jak opisywali go liczni naoczni świadkowie. Dwa miesiące później, ta sama redakcja otrzymała jeszcze dwa inne, ale już mniej ostre niż poprzednio zdjęcia, które podobnie zamieszczono.

Również tego samego dnia 1 czerwca około godziny 21 pewien młody mężczyzna jadąc samochodem w kierunku Santa Monica zauważył ten sam latający talerz. Pojazd gwałtownie zmniejszył swą wysokość kierując się w stronę restauracji La Pan-derosa. Po kilku minutach nagle wzbił się w górę, ukazał się nad drzewami i w przeciągu kilku sekund zniknął na niebie. Widziany był jeszcze raz, przez dwie inne osoby, w Santa Monica. Pewna kobieta była świadkiem tego lądowania, widząc je z okna

132

swojego mieszkania. Potwierdziła jego zaistnienie informując, że był to pojazd w kształcie dysku z umieszczonymi wokół okienkami. Wylądował na ziemi i prawie natychmiast wystartował z ogromną prędkością.

Latający talerz został również spostrzeżony przez wielu konsumentów przebywających w restauracji. Jeden z nich powrócił następnego dnia rano na miejsce, w którym pojazd wylądował i odkrył tam trzy prostokątne, dość głębokie ślady o wymiarach 30 na 15 cm. Wgniecenia te tworzyły trójkąt równoboczny o boku równym 6 metrów. W wyniku dokładniejszych pomiarów, długości boków określono na 5,98 i 5,99 metrów. Trawa pośrodku trójkąta została całkowicie spalona i pokryta czymś w rodzaju proszku aluminium czy też magnezu.

Kilka dni później pewna młoda dziewczyna znalazła w Santa Monica dwie metalowe, zaokrąglone na końcach rury. W połowie długości każdej z nich znajdował się pierścień. Rury zostały natychmiast dokładnie zbadane w laboratorium w Madrycie. Pomiarы dokonane za pomocą śruby mikrometrycznej dały w wyniku następujące wymiary. Długość każdej rury wynosiła 149,590 milimetrów, średnica 8,310 milimetrów, a średnica obejmującego je pierścienia równała się 24,931 milimetrów. Wymiary te wskazywałyby na użycie jednostki długości równej 299,179 milimetrów, odpowiadającej w przybliżeniu dawnej stopie egipskiej, wynoszącej 300 milimetrów.

133

W pobliżu miejsca, gdzie wylądował pojazd, znaleziono w krótkim czasie wiele innych takich rur. Pewien dwunastoletni chłopiec rozbił jedną z nich. Rura wypełniona była jakimś płynem, który bardzo szybko wyparował. Wewnątrz znajdowały się też dwa plastikowe paski z umieszczonym na nich wypukłym emblematem, takim samym, jaki widniał na latającym talerzu. Wykonana natychmiast analiza wykazała, że rura wykonana została z czystego w 99 procentach niklu, ze śladami krzemu, tytanu, magnezu i kobaltu.

Analiza spektralna plastikowych pasków wykazała, że wykonane są z polifluorku winylu, znanego w Ameryce pod nazwą TEDLAR i produkowanego specjalnie dla potrzeb NASA. Tworzywo to nie jest ogólnodostępne w handlu. Charakteryzuje się nadzwyczajną wytrzymałością na promienie ultrafioletowe, czynniki tak chemiczne jak i meteorologiczne, a nawet na zużycie mechaniczne i z tego właśnie powodu

stosowane jest przez NASA do pokrywania rakiet warstwą ochronną, zabezpieczającą je zarówno w atmosferze, jak i w przestrzeni kosmicznej.

Po odkryciu tajemnicy, jaką zawierał w sobie ślad z Marliens, zapragnąłem przyjrzeć się z bliska tajemniczemu śladowi z Santa Monica, jak również jeszcze dziwniejszym od niego rurom znalezionym w jego pobliżu. Przyszło mi na myśl, że jedynym powodem, dla którego pojazd wylądował, była chęć pozostawienia na ziemi śladu stanowiącego dla nas jeszcze jedną zagadkę do rozwiązania, a także

134

pozostawienie kilku rur wokół tego śladu, co z kolei miałyby nam pomóc w jej rozwiązaniu.

Rozważyłem więc rzecz następującą: jeśli jednostką miary używaną dla rur była stopa o długości 299,179 mm, to długość każdego z boków trójkąta powinna równać się dwudziestu takim stopom, czyli 5,98358 metrów, a wysokość trójkąta powinna wynosić 5,18193 metrów. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że iloczyn tych dwu liczb równy jest liczbie  $\pi$  (3,1416) podniesionej do potęgi trzeciej i wynosi 31,00649. Być może jest to tylko zbieg okoliczności, lecz biorąc pod uwagę to, iż w wymiarach śladu z Marliens we Francji doszukałem się powiązania z liczbą  $\pi$  podniesioną do potęgi drugiej oraz z pierwiastkiem kwadratowym tej liczby, zastanowiło mnie, że również i w wymiarach śladu z Santa Monica w Hiszpanii odnalazłem wartość  $\pi$  podniesioną tym razem do potęgi trzeciej. To tak, jak gdyby nasi goście z kosmosu bawili się z nami, podsuwając nam proste i łatwe do rozwiązania zagadki.

Ale to zaledwie część zagadki i to interesująca tylko tych, którzy lubują się w przeróżnych wyliczeniach. To, co wydarzyło się potem, było czymś jeszcze o wiele ciekawszym. Historia ta odbiła się szerokim echem w świecie, przez długie lata badały ją setki ekspertów, ale jak do tej pory, nie stwierdzono, czy faktycznie wydarzenie to wiąże się z działalnością jakiejś pozaziemskiej cywilizacji, czy też było owocem bardzo dobrze zorganizowanej akcji,

135

przeprowadzonej przez jakąś grupę bardzo inteligentnych Ziemiaków.

Niedługo po sensacyjnym lądowaniu w Santa Monica, w styczniu 1968 roku, niektórzy z badaczy zajmujących się problemem UFO dostali drogą pocztową całą serię dziwnych wiadomości napisanych w języku hiszpańskim lub francuskim. Wszystkie one oznakowane były emblematem Ummo. Całość tej korespondencji liczy wiele setek stron. Przytoczę tu tylko kilka fragmentów przetłumaczonych z języka hiszpańskiego:

„Chcielibyśmy wyjaśnić planecie Ziemi, skąd pochodzimy, jacy jesteśmy i jakie są cele naszej wizyty. Przybywamy z Ummo, planety znajdującej się w układzie planetarnym gwiazdy lumma, nazywanej przez was Wolf 424. Instrukcję dotyczącą przekazania tej informacji otrzymaliśmy 13 stycznia 1965 roku, według waszego chrześcijańskiego kalendarza. Naszym słońcem jest gwiazda lumma. Orbita planety Ummo jest eliptyczna. Gwiazda lumma umieszczona jest w jednym z ognisk elipsy. 4 stycznia 1953 roku odległość Ummo od lumma wynosiła według waszych ziemskich jednostek 3,68502 lat świetlnych, czyli 34,88637 bilionów waszych ziemskich kilometrów. Masa planety Ummo w przeliczeniu na wasze jednostki wynosi 5,4x

10<sup>21</sup> ton, przyśpieszenie grawitacyjne na jej powierzchni wynosi 11,88 metrów na sekundę kwadratową."

„Atmosfera Umno jest bardzo zbliżona do atmosfery ziemskiej, a mieszkańcy planety podobni są do

136

mieszkańców Ziemi, z tą tylko różnicą, że nie posiadają migdałków ani strun głosowych. Dlatego też mieszkańcy Umno nie mogą mówić, a porozumiewają się ze sobą za pomocą telepatii. Wysyłają impulsy trwające około 150 mikrosekund. Posiadają również kod umożliwiający im równoczesną rozmowę z wieloma osobami. Jednocześnie istnieje na Umno pewna ilość dojrzałych osobników, jak na przykład ci, którzy przybywają na Ziemię, mogących porozumiewać się też werbalnie."

„Doskonale zdajemy sobie sprawę z transcendentnego charakteru tej wiadomości. Jednocześnie mamy świadomość, że autorstwo podobnych deklaracji przypisuje się zwykle błaznom i psychicznie chorym. Mogą je głosić, być może, też i dziennikarze czy agenci organizacji politycznych, ezoterycznych lub religijnych w celu wykorzystywania ich do czerpania korzyści w interesie własnej grupy."

„Zdajemy sobie sprawę z tego, iż te informacje zasieją ziarno nieufności, a nasze deklaracje przyjęte zostaną z dużą rezerwą. Rozumiemy to. Nie spodziewamy się uznania naszej wiarygodności tylko na podstawie tego, co napisaliśmy, bez przedstawienia przez nas żadnego dowodu. Pewne grupy intelektualistów w Kanadzie, Austrii, Hiszpanii i Jugosławii wiedzą już o naszym istnieniu, ale nakazano im milczenie na nasz temat."

„20 marca 1950 roku według waszego kalendarza, o godzinie 5.17 czasu Greenwich, nasz statek kosmiczny o kształcie soczewki po raz pierwszy w naszej

137

historii dotknął powierzchni Ziemi. Lądowanie miało miejsce w pobliżu wioski La Javie w regionie Basses-Alpes we Francji. Jesteśmy społecznością o wiele starszą od was i osiągnęliśmy wyższy niż wy poziom cywilizacji. Nasze struktury społeczne również znacznie różnią się od waszych. Zarządza nami rada składająca się z czterech członków, wyselekcjonowanych według kryteriów obejmujących cechy psychiczne i fizyczne."

„Nasze prawa oparte są na stałych metrycznych i normach społecznych, które zależą od czasu i przestrzeni. Nie mamy najmniejszego zamiaru ingerować w ewolucję społeczną na waszej planecie. Powody tego są transcendentne, a poza tym, nasza kosmiczna moralność nie pozwala nam na jakąkolwiek interwencję wobec układów społecznych istniejących na różnych planetach, ponieważ muszą one być tworzone niezależnie od siebie i rozwijać się samodzielnie."

„Poza tym, każda jawna interwencja z naszej strony mogłaby dać początek różnym zmianom i zakłóceniom społecznym o rozmiarach trudnych do przewidzenia. Spowodowałoby to uniemożliwienie prowadzenia badań i analiz, dotyczących waszego społeczeństwa w istniejących obecnie ramach. Nasze skromne próby porozumienia się z wami, jak ta, którą niniejszym czynimy, nie będą mogły doprowadzić do wielkich przemian, gdyż zapewne tak, jak zwykle, przyjęte zostaną z dużym sceptycyzmem."

„W żadnym wypadku nie chcemy, co wyraźnie podkreślamy, abyście zrzekli się waszych wierzeń religijnych, norm społecznych, politycznych czy osiągnięć naukowych i przyjmowali nasze. Sami doskonale rozumiecie powody tej przestrogi. Przede wszystkim, informacje, które wam podajemy, są tylko informacjami opisowymi. Prezentujemy wam tylko nasze idee, nie popierając ich żadnym dowodem ani też argumentacją, która mogłaby upewnić was co do ich słuszności. Przyjęcie naszych idei, naszych pomysłów i naszych doświadczeń byłoby poważnym błędem w klimacie ideologicznym panującym obecnie na Ziemi.”

Jak można się było spodziewać, publikacja takiego komunikatu w prasie i czasopismach ufologicznych wyzwoliła szalony entuzjazm wśród wszystkich badaczy UFO. Najwięksi fanatycy byli przekonani, że nadszedł ten wielki dzień lądowania na Ziemi obcej cywilizacji. Ale oczywiście zupełnie inaczej podchodzili do tego wojskowi i naukowcy. Wojskowi sądzili, że mają do czynienia ze spiskiem politycznym stawiającym sobie za cel obalenie rządu. Naukowcy natomiast usiłowali odnaleźć w szczegółach astronomicznych zawartych w komunikacie, jakkolwiek nieprawidłowość, aby wykazać, że komunikat był tylko żartem w złym guście.

Wywiad przeprowadzony w sprawie Ummo wykazał ponad wszelką wątpliwość, że oryginał wiadomości został napisany po hiszpańsku, przy użyciu hiszpańskiej maszyny do pisania i jest autorstwa

wielu osób, pochodzących z kręgu kultury iberyjskiej. Autorzy tego komunikatu na pewno posiadają wykształcenie średnie, ale raczej nie mają wyższego, o czym świadczy pewna liczba błędów natury technicznej, zawarta w treści komunikatu. Blisko połowa zawartych w nich danych naukowych była niedokładna lub wręcz wyraźnie sprzeczna z prawami fizyki i mechaniki nieba. Z drugiej strony, jeżeli miałby to być niesmaczny żart, autorem całego przedsięwzięcia nie mógł być, zważywszy na skalę poniesionych kosztów, jeden człowiek, lecz raczej jakaś bardzo silna, tajemna organizacja lub tajne służby innego państwa, na przykład amerykańskie lub sowieckie, a cała akcja miała być próbą manipulacji masami. Zbieżne jest to z teoriami wygłoszonymi ostatnio na łamach amerykańskiego czasopisma „Omni” przez Jacquesa Vallée, o czym będzie mowa dalej.

Historia Ummo miała miejsce dokładnie w czasach, kiedy rząd amerykański wydał wiele milionów dolarów na przekupienie członków komisji Condon, aby opublikowali raport stwierdzający, że wszystkie zaobserwowane zjawiska powietrzne nie są w istocie niczym innym, jak tylko planetą Wenus lub sondami balonowymi.

Było to skądinąd głośnym skandalem i sprawiło, że opinia publiczna nabrała przekonania, że rząd amerykański, by osiągnąć swoje cele, zdolny jest absolutnie do wszystkiego, co wkrótce potwierdziła

afera Watergate i słowa przeprosin skierowane do Richarda Nixona, zanim jeszcze ustalono, czy był w nią zamieszany. Nic więc dziwnego, że logiczne wydało się przypuszczenie, że sprawa Ummo była akcją przeprowadzoną przez CIA, która już w tamtych latach miała bardzo złą opinię. Inni uważali, że była to akcja Rosjan

przeprowadzona przez nielepszy od CIA KGB. W rzeczywistości nikt nie znał ani zapewne nigdy nie pozna prawdy.

Ja osobiście długo uważałem, że całą sprawę Ummo sfabrykowali hiszpańscy dziennikarze, aby ośmieszyć klasę hiszpańskiego mieszczaństwa, z którym mieli swoje porachunki. Celem przedsięwzięcia mogło być po prostu ośmieszenie Franco i uwolnienie się w ten sposób od niego. Z tego właśnie powodu, w obu moich poprzednich książkach, nie wspominałem o sprawie Ummo. Według mnie chodziło tam o politykę, a polityka mnie nie interesuje.

Ale nie byłem już tego taki pewien wówczas, gdy odkryłem zależności istniejące pomiędzy wielkością powierzchni śladu z Santa Monica i wartością liczby  $\pi$ , jak również podobne zależności występujące w odcisku z Marliens, a także w równoramiennych trójkątach wyznaczonych przez lądowania latających talerzy, o czym będziemy mówić dalej. Z drugiej strony, dokonałem innego i to jeszcze bardziej zadziwiającego odkrycia.

Nie miałem początkowo zamiaru przytaczać w tej książce relacji przygody Betty Hill oraz historii

141

narysowanej przez nią mapy nieba. Naszkicowała ją w stanie hipnozy, której poddała się po uprowadzeniu przez latający talerz w 1961 roku. Pisałem o tym w mojej poprzedniej książce. (83) Zresztą wydawało mi się, że mapa ta, ukazująca piętnaście gwiazd znajdujących się w odległości pięćdziesięciu lat świetlnych od Słońca, przedstawia podwójną gwiazdę Zeta Reticul, co sugerowała w grudniu 1968 roku Marjorie Fish.

Inny amerykański astronom amator Charles At-terberg zaproponował inną kombinację, składającą się z piętnastu gwiazd, pasującą do mapy wykonanej przez Betty Hill. Wydaje się, że jego rozwiązanie jest w wielu aspektach lepsze od propozycji Marjorie Fish. Po pierwsze wszystkie te piętnaście gwiazd znajduje się w mniejszej niż osiemnaście lat świetlnych odległości od Słońca. Po drugie, nasze Słońce umieszczone jest w samym środku mapy, co wydaje się bardziej logiczne dla astronautów, którzy przybywali na Ziemię. Wreszcie, w pobliżu naszego Słońca znajdują się cztery gwiazdy: Barnard, Tau Ceti, Epsilon Indii i Epsilon Eridani, które, według domysłów naszych astronomów, mogłyby posiadać własne układy planetarne zamieszkiwane przez inne cywilizacje.

W końcu, ta nowa mapa nieba obejmuje gwiazdę Wolf 424, również zdolną do posiadania własnego, zamieszkanego systemu planetarnego i która, jakby przez przypadek, wydaje się być ową gwiazdą Ium-ma, wokół której krąży planeta Ummo, skąd przy-

142

był do Santa Monica latający talerz. Pierwsze pisane komunikaty pochodzące z Ummo otrzymano w styczniu 1965 roku. Marjorie Fish stworzyła swą mapę w grudniu 1968, a Charles Atterberg dopiero kilka miesięcy temu.

Byłoby więc trudno teraz sądzić, że ci, którzy w 1965 roku napisali wiadomość z Ummo, wiedzieli już wtedy, że za dziesięć lat będą istniały opinie, że Wolf 424 może posiadać własny układ planetarny, a jedna z jego planet zostanie, piętnaście lat



później, określona jako miejsce pochodzenia porywaczy, którzy uprowadzili Betty Hill i pokazali jej mapę nieba.

Jestem przekonany o istnieniu innych cywilizacji we wszechświecie, a, być może, też i w naszym układzie słonecznym i nie widzę żadnego istotnego powodu, dla którego nie mogłaby taka cywilizacja istnieć na planecie Ummo krążącej wokół gwiazdy Iumma - Wolf 424, ani też, dlaczego mieszkańcy tej planety nie mogliby od czasu do czasu przybywać do nas. Jeżeli to przypuszczenie jest trafne, to na pewno jeszcze nie raz usłyszymy o sprawie Ummo i jestem pewien, że wkrótce *poznamy* dalsze szczegóły.

## ROZDZIAŁ IX

### GEOMETRIA KOSMICZNA

Jest już obecnie niemal pewne, że miejsca wybrane na lądowania latających talerzy na terytorium Francji i Ameryki nie są tylko dziełem przypadku. Wydaje się, że zostały one starannie wybrane w celu przekazania z kosmosu komunikatu o treści matematycznej.

Pierwszymi badaczami, którzy podejrzewali istnienie matematycznej zależności pomiędzy miejscami lądowań tych obiektów, byli badacze francuscy Aimé Michel i Paul Misraki. Zauważyli oni, że wiele punktów lądowań umieścić można na jednej linii prostej. Wiadomość o tym odkryciu szybko obiegła świat. Ufolodzy przyjęli ją z entuzjazmem, ale spotkała się ona jednak z ostrym atakiem ze strony przedstawicieli ówczesnego środowiska naukowego.

Kilka lat później, po opublikowaniu w 1975 roku mojej pierwszej książki, otrzymałem list od samodzielnego badacza z Antibes, Jean-Charlesa Fu-

144

moux. Pisał w nim, że najprawdopodobniej udało mu się odkryć coś bardzo ważnego. Prosił mnie, abym sprawdził dokonane przez niego obliczenia i abym wypowiedział się na temat teorii matematycznej, którą z nich wysnuł.

Nasz przyjaciel Fumoux starannie wynotował wszystkie długości i szerokości geograficzne każdego z 78 miejsc lądowań pozaziemskich pojazdów na terytorium Francji, w tym 76 lądowań zaobserwowanych podczas wielkiej inwazji latających talerzy mającej miejsce w okresie od 24 września do 18 października 1954 roku. Fumoux naniósł te punkty na mapę Francji i wyznaczył linie łączące te punkty.

Wykreślił w ten sposób bardzo dużą ilość trójkątów i stwierdził, że wiele z nich jest równoramiennech. Policzył te równoramienne i stwierdził, że jest ich 1911. Następnie spróbował wyliczyć ilość wszystkich trójkątów wyznaczonych przez 78 punktów. Przyjmując za N ilość istniejących punktów, zastosował błędnie wzór  $N(N-1)$  czyli  $78 \times 77$ , co dało mu wynik 6006 trójkątów. W rzeczywistości powinien był zastosować wzór

$$\frac{N(N-1)(N-2)}{6}$$

6

co dałoby 76 076 trójkątów.

Fumoux postanowił następnie podzielić otrzymaną w swoich wyliczeniach ilość wszystkich trójkątów, to znaczy 6006 przez 1911, czyli ilość trójkątów równoramiennych i zauważył, że otrzymany wynik 3,142857 lub  $22 / 7$  coś mu przypomina. Właśnie

145

przeczytał moją pierwszą książkę, w której mówiłem o starożytnej liczbie  $\pi$  równej  $22 / 7$  stosowanej przez naszych przodków do wyliczeń konstrukcyjnych w budowni ze Stonehenge, w Wielkiej Piramidzie i wielu jeszcze innych starożytnych, a nawet prehistorycznych budowlach. (44).

Jako że Fumoux nie widział żadnego logicznego uzasadnienia na to, by odsetek trójkątów równoramiennych, wyznaczonych przez lądowania latających talerzy miał być odwrotnością starożytnej liczby  $\pi$  używanej przez naszych przodków, napisał do mnie chcąc znać moje zdanie. Oczywiście zauważyłem, że zastosował on błędny wzór, ale nie chcąc go urazić, nie wspomniałem mu o tym, tym bardziej że nawet przy użyciu prawidłowego wzoru, stosunek ilości wszystkich trójkątów do ilości trójkątów równoramiennych stanowił dokładną wielokrotność starożytnego czynnika  $\pi$ . A to nie wydało mi się takie normalne.

Poradziłem mu więc, aby jeszcze raz dokładnie sprawdził wszystkie dane i wprowadził je do komputera. W ten sposób otrzyma zarówno dokładną ilość trójkątów równoramiennych, jak i ilość wszystkich trójkątów. Obiecałem mu również opisać jego odkrycie na kartach mojej drugiej książki, którą właśnie kończyłem i która miała wyjść w lutym 1979 roku. Słowa dotrzymałem, a Fumoux stał się, z dnia na dzień, kimś bardzo sławnym i wielu spośród moich czytelników zwróciło się do niego z prośbą

146

o podanie bardziej szczegółowych informacji na temat jego odkrycia. (83)

Fumoux długo szukał komputera i kogoś, kto miałby dostateczną praktykę, aby dokonać tego typu wyliczeń. Najpierw udało mu się do tego nakłonić doktora Jeana-Marca Paoli z Instytutu Paoli-Calmette w Nicei, zajmującego się badaniami nad nowotworami. Następnie zainteresował się jego teorią Jean-François Gille, doktor nauk, odpowiedzialny za badania w Narodowym Centrum Badawczym w Paryżu. Doktora Gille'a zainteresowała nie tyle sama teoria Fumoux, co chęć udowodnienia jej błędności, co spodziewał się uzyskać dokonując wyliczeń na komputerze.

Gille starał się wykazać, że wyznaczając na mapie Francji losowo 76 punktów, otrzymamy dokładnie taką samą liczbę trójkątów równoramiennych jak w przypadku, gdybyśmy rozważali 76 punktów odpowiadających lądowaniom latających talerzy w 1954 roku. Potwierdziłoby to, że otrzymany odsetek trójkątów równoramiennych jest jedynie dziełem przypadku. Stosując dobrze znaną procedurę nazywaną w Stanach Zjednoczonych „random pattern”, czyli generatora liczb losowych, Gille otrzymał na swoim komputerze serię 76 przypadkowych, niezależnych od siebie punktów.

Czterokrotnie powtórzył wyliczenia, na czterech różnych seriach 76 punktów i

otrzymał kolejno następujące ilości trójkątów równoramiennych: 1621, 1637, 1613, 1631, czyli średnio było ich 1625.

147

Obliczył następnie ilość trójkątów równoramiennych biorąc pod uwagę 76 punktów wyznaczonych przez lądujące pojazdy. Komputer w Marsylii podał wynik 1877. Poprzedni wynik uzyskany w Nicei różnił się o 33 i wynosił 1844. Różnicę tę można uznać za pomijalną, gdyż używano, w obu przypadkach, różnych programów komputerowych.

Najistotniejsze było jednak to, że w obu przypadkach ilość trójkątów równoramiennych, utworzonych przez 76 punktów wyznaczonych przez Fu-moux, znacznie przewyższała średnią uzyskaną z wyników analiz czterech serii punktów przypadkowych. Ilość trójkątów równoramiennych według punktów Fumoux przewyższała wyliczenia z Marsylii o 15 procent, a wyliczenia z Nicei o 13 procent.

Jean-François Gille, który podjął się przeprowadzenia wyliczeń tylko po to, aby udowodnić niesłuszność teorii Fumoux, udowodnił tym samym, że teoria ta jest bardzo trafna. Poczuję wtedy wielki szacunek dla Gille'a, który natychmiast przyznał się do swej pomyłki i nie zataił wyników komputerowych wyliczeń będących dowodem na trafność teorii Fumoux. Gille natychmiast powiadomił mnie telegraficznie o tym odkryciu, a ja do dzisiaj przechowuję pieczołowicie ten telegram. Mam wątpliwości, czy wielu spośród jego kolegów byłoby zdolnych uczynić podobnie.

Jean-François Gille oraz dwaj przewodniczący znanych stowarzyszeń ufologicznych Jean-Charles Fumoux i Philippe Schneyder postanowili zwołać

148

w Paryżu 11 grudnia 1979 roku konferencję prasową, aby oznajmić dziennikarzom całego świata o tym niebywałym odkryciu. Światowe agencje prasowe dowiedziały się o niej dzięki informacji przekazanej przez Agence France-Presse.

Jak można się było tego spodziewać, ta sensacyjna wiadomość pojawiła się następnego dnia na łamach wszystkich paryskich gazet, włączając w to „Le Monde” i „Le Figaro”, które zwykle nie zajmują się problemem niewytłumaczalnych zjawisk ani też nie publikują informacji na temat latających talerzy. Oczywiście, pojawiły się też w niektórych gazetach ironiczne komentarze, a dziennik „Le Figaro” zamieścił ładny rysunek, zachowałem go sobie na pamiątkę i chciałbym tu pogratulować jego autorowi, przedstawiający Marsjanina na latającym trójkacie, oczywiście równoramiennym. Wszystkie gazety całej Francji wspomniały o odkryciu Jean-Charlesa Fumoux i dowodzie przeprowadzonym przez Jean-François Gille'a. I to jest dla mnie najważniejsze, a przypuszczam, że dla Gille'a i Fumoux również.

Otrzymane przez nich zaskakujące wyniki, w które i mnie było trudno uwierzyć, sprowokowały mnie do przeprowadzenia tego samego doświadczenia w Stanach Zjednoczonych. Chciałem porównać moje wyniki z wynikami uzyskanymi przez Gille'a, a jednocześnie zmieniłem trochę procedurę. Gille dokonał swoich wyliczeń wykorzystując liniowe odległości mierzone w kilometrach wzdłuż łuków

149

koła wielkiego przechodzącego przez dwa punkty na powierzchni Ziemi oraz przez

środek Ziemi, z tolerancją półtora kilometra w każdym kierunku, co dawało margines błędu równy 3 km. Moim zdaniem był on zbyt wielki i sądzę, że mógł być powodem otrzymania zbyt dużej liczby trójkątów równoramiennych.

Jeśli chodzi o moje obliczenia, postanowiłem je zrobić biorąc pod uwagę odległości kątowe mierzone na łukach koła wielkiego z dokładnością do setnych części stopnia. Założona przeze mnie tolerancja błędu wynosiła jedną setną stopnia, czyli tylko 1,111 kilometra, co było znacznie ostrzejszym wymaganiem. Postępując w ten sposób wiedziałem już na wstępie, że otrzymam o wiele mniej trójkątów równoramiennych niż Gille, lecz jeśli hipoteza Fu-moux byłaby słuszna, ilość otrzymanych przeze mnie w ten sposób trójkątów równoramiennych i tak przewyższałaby ilość takich trójkątów, utworzonych przez wybrane losowo punkty, co potwierdzałoby niejako zawarty w nich komunikat o treści matematycznej.

Postanowiłem i ja z kolei wybrać 76 punktów lądowań pozaziemskich pojazdów, tym razem na terytorium Ameryki, podobnie jak Gille i Fumoux uczynili to na terytorium Francji. Na dwóch tablicach, które zamieszczam w aneksie do tej książki, znajdują się długości i szerokości geograficzne punktów lądowań we Francji i w Ameryce. Podaję tam nazwy najbliższych im miejscowości, aby czytelnik

150

łatwo mógł je odszukać na mapie. Tablice te umożliwiają też wykonanie podobnych obliczeń tym wszystkim, którzy posiadają komputery i potrafią się nimi, w tym celu, posłużyć.

Ażeby upewnić się o wyeliminowaniu czynnika przypadkowości, postanowiłem zrobić wyliczenia dla 36, 46, 56, 66 i 76 różnych punktów we Francji i w Ameryce. Ponadto wyliczenia zostały przeprowadzone na dwóch różnych komputerach, na dwóch krańcach Ameryki - w Kalifornii i w New Jersey i prowadzili je, niezależnie od siebie, dwaj różni operatorzy, którzy nawet wzajemnie się nie znali. W ten sposób otrzymałem dwie serie wyników. Były one prawie identyczne. Wyciągnąłem z nich średnie, które omawiam poniżej.

Tym, których to interesuje, wyjaśniam, że chodziło mi o wyliczenie wymiarów kątowych, z dokładnością do setnych części stopnia, 332 200 trójkątów oraz o porównanie długości trzech boków każdego z nich, w celu sprawdzenia, czy nie ma wśród nich dwóch jednakowych. Założony margines błędu wynosił jedną setną stopnia. Do komputera wprowadzono dane w języku Fortran. Każdy bok trójkąta określało sześć cyfr, a to sprawiło, że wyliczenia obejmowały blisko sześć milionów cyfr. Po kilku minutach komputer podał wynik.

Trzydzieści sześć różnych punktów tworzyło 7140 dowolnych trójkątów. Biorąc przypadkowo wybrane punkty, otrzymałem 23 trójkąty równoramienne;

151

punkty lądowań na terytorium USA utworzyły ich 28, a na terytorium Francji 66.

Czterdzieści sześć różnych punktów tworzyło 15 180 dowolnych trójkątów. Biorąc przypadkowo wybrane punkty otrzymałem 39 trójkątów równoramiennych; punkty na terytorium USA utworzyły ich 49, a na terytorium Francji 132.

Pięćdziesiąt sześć różnych punktów utworzyło 27 720 dowolnych trójkątów. Biorąc przypadkowo wybrane punkty otrzymałem 57 trójkątów równoramiennych;

punkty na terytorium USA utworzyły ich 98, a na terytorium Francji 198.

Sześćdziesiąt sześć różnych punktów utworzyło 45 760 dowolnych trójkątów. Biorąc przypadkowo wybrane punkty otrzymałem 89 trójkątów równoramiennych; punkty na terytorium USA utworzyły ich 112, a na terytorium Francji 286.

Siedemdziesiąt sześć różnych punktów utworzyło 70 300 dowolnych trójkątów. Biorąc przypadkowo wybrane punkty otrzymałem 97 trójkątów równoramiennych; punkty na terytorium USA utworzyły ich 133, a na terytorium Francji 418.

Z wyników tych można wyciągnąć następujące wnioski. Po pierwsze, ilość trójkątów równoramiennych otrzymanych z punktów na terenie Francji zawsze znacznie przewyższa ilości takich trójkątów utworzonych przez punkty na terenie USA, ale i punkty amerykańskie tworzą więcej trójkątów równoramiennych niż dowolne, losowo wybrane punkty. W zależności od ilości rozważanych pun-

152

któw, otrzymuje się od dwóch do trzech razy więcej trójkątów równoramiennych na terytorium Francji niż USA.

Po drugie, ilość francuskich trójkątów równoramiennych zawsze jest wielokrotnością liczby dwadzieścia dwa, a więc też i  $22 / 7$ , liczby  $\pi$  używanej przez naszych przodków. Natomiast ilość amerykańskich trójkątów równoramiennych zawsze jest wielokrotnością siedmiu, a więc też i wielokrotnością  $7 / 22$  to jest liczby będącej odwrotnością dawnej liczby  $\pi$  lub też jedną czwartą pierwiastka kwadratowego czynnika  $\phi$ , czyli Złotej Liczby. Poza tym, przy obliczeniach dla 76 punktów, stosunek pomiędzy 418 francuskimi trójkątami równoramiennymi i 133 amerykańskimi, równa się dokładnie dawnej liczbie  $\pi$  i wynosi  $22 / 7$ . Jest to absolutnie zadziwiające.

Z drugiej strony, wymiary katowe trójkątów równoramiennych są często wielokrotnością 0,567 stopnia, to jest 63 kilometrów na łuku koła wielkiego, a to zgadza się doskonale z odległościami mierzonymi zwykle pomiędzy równoległymi trasami przelotów latających talerzy. Jest to też odległość dokładnie 300000 razy większa od długości fali wodoru wynoszącej 21 centymetrów i może stanowić doskonałą jednostkę długości dla kosmitów dążących do nawiązania z nami kontaktu. Dziwnym zbiegiem okoliczności, czterdzieści takich jednostek

153

stanowi 2268 setnych stopnia, czyli jednostkę miary katowej używaną do naszych obliczeń. A liczba 2268 była dla naszych przodków świętą liczbą, którą odnajdujemy w stałej Niniwy oraz w wymiarach wielu dawnych budowli na świecie.

Wreszcie, powierzchnia katowa trójkątów równoramiennych, wyrażona w stopniach kwadratowych, jest często dokładnym ułamkiem powierzchni katowej Ziemi, którą nasi przodkowie obliczyli używając swojego czynnika matematycznego  $\pi$  równego  $864 / 275$  uzyskując wynik 41 250 stopni kwadratowych. Licząc przy użyciu współczesnego, o wiele mniej praktycznego czynnika  $\pi$  otrzymamy wynik równy 41 252,961. To oczywiście, że konkluzje, które powinienem wyciągnąć z wyników otrzymanych z obu komputerów, nie będą się wszystkim podobać i na pewno ponownie ściągną na mnie gromy oficjalnej nauki. Jednocześnie jednak fakt, że amerykańskie czasopismo „Omni” w lipcowym numerze z 1980 roku dopuściło

rozważania na ten temat, utwierdził mnie jeszcze w przekonaniu, że dokonałem ważnych odkryć.

Są one tak ważne, że proszę wszystkich, którzy dysponują komputerami, aby zechcieli łaskawie samodzielnie je sprawdzić, posługując się dwiema tablicami zamieszczonymi w aneksie, wyciągając wartość średnią z wyników uzyskanych przy wielu różnych kombinacjach takiej samej liczby punktów. Prosiłby bardzo o przysłanie na mój amerykański

154

adres: 3976, Kenosha Avenue, San Diego, California, 92117 USA, informacji o otrzymanych wynikach.

W każdym bądź razie, moje obliczenia wykazały, że hipoteza Fumoux była trafna w tym względzie, że istotnie 76 francuskich punktów wyznaczonych przez lądowania latających talerzy tworzyło znacznie więcej trójkątów równoramiennych niż taka sama liczba punktów wybranych losowo, a stosunek odsetka tych trójkątów do odsetka trójkątów dowolnych, zdaje się wyrażać jakiś przekaz matematyczny, którego sekretu jak dotąd nie udało się odkryć.

Obliczenia wykonane przy użyciu czterech różnych komputerów, dwóch we Francji oraz dwóch w USA udowodniły, że ten matematyczny komunikat jest w rzeczywistości o wiele trudniejszy do odczytania niż to sądził Fumoux. Dotyczy on również, choć w nieco inny sposób, punktów wyznaczonych przez tajemnicze lądowania, których wiele miało miejsce na terenie supertajnych baz wojskowych na terenie Ameryki.

Ale też punkty utworzone przez lądowania UFO mogłyby zawierać komunikat matematyczny innego zupełnie rodzaju. Komunikat taki zawierałby wzajemne zależności utworzonych okręgów, a nie trójkątów. Zauważono bowiem, że niektóre z punktów stanowią wspólny wierzchołek dla wielu trójkątów równoramiennych i w konsekwencji mogą być środkami wielu koncentrycznych okręgów o promieniach równych długości jednakowych boków tych trójkątów.

155

Dało się również zauważyć, że daty lądowań układają się w porządek chronologiczny w miarę jak punkty postępują w przestrzeni wzdłuż okręgów, w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. To odkrycie mogłoby pomóc nam przewidzieć miejsca i daty przyszłych lądowań UFO. Wspominałem już o tym w jednej z moich poprzednich książek.(83)

Badania nad odkryciem dokonany przez Fumoux nie są jeszcze zakończone i potrwają jeszcze długo, i to zarówno we Francji, jak i w Kalifornii, gdyż konieczne jest odkrycie znaczenia tej tajemniczej zależności istniejącej pomiędzy wartością liczby  $\pi$  używanej przez naszych przodków przed tysiącami lat i miejscami lądowań latających talerzy w dzisiejszych czasach. Na pewno nie raz jeszcze usłyszymy o Fumoux i o jego odkryciu, tym bardziej że wielu matematyków pracuje nad udowodnieniem błędności jego spostrzeżeń.

Miałem okazję przypadkowo widzieć wyliczenia dokonane przez pewnego zawodowego matematyka, nieznanego mi, a więc pomnę tu nazwisko. Jego obliczenia są bardzo proste, ale niestety błędne. Utożsamił on Francję z kołem o

powierzchni 552000 kilometrów kwadratowych, a przecież tak naprawdę jej powierzchnia tworzy sześciokąt nieforemny. Następnie usiłował wyliczyć prawdopodobieństwo otrzymania trójkąta równoramiennego przez trzy losowo wybrane na powierzchni koła punkty.

156

W tym celu podzielił on powierzchnię Francji na równoległe pasy o szerokości 2 kilometrów, czyli zakładał tym samym dwa razy większą od mojej tolerancję błędów i próbował obliczyć ilość możliwych do otrzymania trójkątów równoramiennych, najpierw w obrębie jednego pasa, a następnie na całym obszarze Francji.

Rozważając trzydzieści przypadkowo wybranych punktów otrzymał 4060 trójkątów dowolnych. Znalazł wśród nich dwadzieścia dwa równoramienne, co było znaczną ilością, w porównaniu z trzydziestoma, które ja znalazłem rozważając trzydzieści sześć takich punktów. Zresztą ten wynik jest błędny, gdyż pomimo iż wyliczenia przeprowadził zawodowy matematyk sprawiający wrażenie znającego się na rzeczy, w obliczeniach zrobił co najmniej dwa błędy.

Pierwszym błędem było posługiwanie się powierzchnią koła zamiast powierzchnią wielokąta nieforemnego. Posługiwał się następnie całą powierzchnią tego koła, a powinien był brać pod uwagę o wiele mniejszą powierzchnię wielokąta nieforemnego utworzonego przez trzydzieści różnych, losowo wybranych punktów. Nie udało mu się więc wykazać błędności teorii Fumoux, gdyż, podobnie, jak przed dwoma tysiącami lat Eratostenes, popełnił dwa wzajemnie znoszące się błędy, a to sprawiło, że omal jej nie udowodnił. Ale, jak mawiają Amerykanie, nikt mu nie może teraz zarzucić, że nie próbował.

Pewien francuski specjalista informatyk o nazwisku Francis Brunerie, który odwiedził mnie w San

157

Diego, zwrócił moją uwagę na to, że gdy połączymy trójkąty utworzone przez punkty lądowań latających talerzy ze środkiem Ziemi, otrzymamy trójścian przypominający kształtem używaną w telekomunikacji antenę tubową. Takie trójściany mogłyby wysyłać w kosmos nieznaną nam energię pochodzącą z jądra Ziemi lub też otrzymywać i gromadzić w centrum Ziemi tajemnicze sygnały pochodzące z głębi kosmosu, które następnie wydobywałyby się na antypodach na powierzchnię Ziemi, tworząc niewytłumaczalne zjawiska, takie jak na przykład Trójkąt Bermudzki. (43)

Odnosnie jeszcze trójkątów równoramiennych, sądzę, że należałoby tu powiedzieć o trzech tajemniczych i nigdy nie wyjaśnionych wydarzeniach. Dnia 7 kwietnia 1938 roku statek „Ulrich” znajdował się na pełnym morzu, na południe od Irlandii. Sternik John Greely stał od pewnego czasu sam przy sterze. Załoga zaniepokojona nagłymi przechyłami statku na lewą i prawą burzę, tak jak gdyby nikogo nie było przy sterze, pobiegła do sterówki. Greely zniknął. Pozostała po nim tylko mała kupka popiołu. Został on całkowicie spalony, ale nic wokół niego nie uległo spaleni, co jest niemożliwe do wytłumaczenia.

Tego samego dnia i o tej samej godzinie George Turner jechał ciężarówką do Liverpoolu. W Upton-by-Chester nagle i nieoczekiwanie zgasł silnik, a ciężarówka

stoczyła się do rowu. Na miejsce wypadku natychmiast przybyła policja. Po otwarciu

158

drzwiczek okazało się, że ciało Turnera uległo całkowitemu spaleni. Na nietkniętym fotelu ciężarówki leżała mała kupka popiołu. Kierownica i tablica przyrządów pozostały nietknięte. Nikomu nie udało się wyjaśnić tego zdarzenia.

Również tego samego dnia o tej samej godzinie w Holandii miał miejsce następujący wypadek. Młody, osiemnastoletni chłopak Wilhelm den Bruick jechał samochodem w pobliżu Nimegue. Nagle zgasł silnik i samochód stoczył się do rowu. Gdy na miejsce wypadku przybyła policja, znalazła na siedzeniu samochodu tylko małą kupkę popiołu. Samo siedzenie natomiast nie miało żadnych śladów nadpalenia. Również i ten młody człowiek uległ całkowitemu zwęgleniu, czego powodów w żaden sposób nie można było wyjaśnić.

Jako że jeden z tych wypadków zdarzył się na pełnym morzu, drugi w Anglii, a trzeci w Holandii, nie od razu spostrzeżono, że wydarzyły się one wszystkie tego samego dnia i o tej samej godzinie. Ktoś dociekliwy pofatygował się zmierzyć na mapie dokładne odległości pomiędzy miejscami tych zdarzeń.

Odkrył, że odległość pomiędzy pierwszym i drugim punktem jest identyczna jak odległość między drugim i trzecim i wynosi 547 700 kilometrów. Odległość pomiędzy pierwszym i trzecim punktem była równa 948 700 kilometrów, co wydawało się nie posiadać żadnego specjalnego znaczenia poza tym, że punkty te tworzyły trójkąt równoramienny.

159

Znając całą tę historię, postanowiłem zmierzyć sam na mapie te odległości i zastanowić się, czy ten trójkąt równoramienny mógł być nośnikiem jakiegoś komunikatu o treści matematycznej. Odkryłem wtedy rzeczy, których istnienie absolutnie nie może być dziełem przypadku, lecz przeciwnie, musiały one zostać uprzednio dokładnie wyliczone.

Trójkąt równoramienny, utworzony przez punkty miejsc tych trzech wypadków, miał powierzchnię około 130000 kilometrów kwadratowych, jeszcze raz pojawia się liczba 13; kwadraty długości jego boków wynoszą kolejno 300 000 i 900 000. Oba kąty przy jego podstawie mają po trzydzieści stopni, a kąt utworzony przez dwa równe ramiona wynosi 120 stopni, co nie wygląda na przypadkowość. Jest więc wielce prawdopodobne, że ten ognisty trójkąt został dokładnie zaplanowany i utworzony w wyniku synchronicznego lotu trzech latających talerzy, lecących w szyku trójkątnym i utrzymujących ze sobą stałą łączność.

Pojazdy te, w tej samej chwili, skierowały na powierzchnię Ziemi trzy wiązki promieniowania, które spowodowały karbonizację trzech ofiar, nie paląc niczego, co znajdowało się wokół nich. Podobne zjawisko możemy uzyskać wykorzystując do tego celu kuchenkę mikrofalową, gdzie pieczenie rozpoczyna się od wewnątrz i można na przykład zwęglić wnętrze pieczeni nie ogrzewając nawet jej warstwy zewnętrznej. To przypomina mi inną historię, która przydarzyła mi się cztery lata temu.

160



W lipcu 1976 roku spędzałem wakacje u przyjaciół w Saint-Tropez. Moi czytelnicy mieszkający w tamtym regionie, poprosili mnie, abym dał dwa odczyty, oczywiście na temat latających talerzy, w Saint-Raphaël i w Nicei. Dziękując mi zaproponowali, że zaprowadzą mnie na górę o wysokości blisko 2000 metrów, wznoszącą się ponad Niceą, aby zobaczyć ślad pozostawiony na ziemi przez latający talerz, który wylądował tam kilka miesięcy wcześniej.

Miejscem lądowania pojazdu okazała się polana usytuowana pośrodku starego, sosnowego lasu. Wszystkie sosny były ścięte na wysokości mniej więcej jednego metra nad ziemią. Resztki pni były wypalone przez pojazd, ale w bardzo dziwny sposób, z jakim jeszcze nigdy wcześniej nie spotkałem się. Wnętrze pni było całkowicie zwęglone, natomiast kora pozostawała nietknięta. Nie mógł tego uczynić normalny pożar, który najpierw spowodowałby spalenie kory. Mogło jednak uczynić to jedno z tych intensywnych promieniowań, które zwykle spala najpierw środek, a potem warstwy zewnętrzne.

Poza tym, spalona w chwili lądowania trawa na powierzchni dokładnie zarysowującego się koła o średnicy około 20 metrów stanowiła jeszcze jedną zagadkę do wyjaśnienia. Wewnątrz koła trawa zaczynała odrastać, ale miała tylko około dziesięciu centymetrów wysokości, podczas gdy wokół kręgu wyrastała na wysokość przeszło jednego metra. Najdziwniejszą rzeczą było jednak to, że odrastająca

161

w miejscu lądowania trawa wyraźnie różniła się od tej, która rosła tam wcześniej.

Promieniowanie mogło spowodować powstanie jakiejś nowej mutacji i nowy, zupełnie niesnany w tym rejonie gatunek wyrósł wewnątrz wypalonego koła. Ale to nie trawa interesuje nas tu najbardziej, lecz zwęglone wnętrza pni drzew. Przypominają one przypadek trzech, całkowicie zwęglonych 7 kwietnia 1938 roku, mężczyzn, wokół których nic nie uległo spaleni.

Jestem obecnie przekonany, że ci trzej niewinni mężczyźni stali się ofiarami promieniowania wytworzonego przez latający talerz, podobnie jak czterdzieści lat później stało się to z pniami sosen na górze wznoszącej się ponad Niceą.

Jest to jeszcze jedna z tych tajemnic, których na pewno nie będę w stanie nigdy wyjaśnić, podobnie jak komunikatów matematycznych zawartych w śladach z Marliens, Valensole, Sturno czy Santa Monica.

## **ROZDZIAŁ X**

### **POCHODZENIE UFO**

Uważam, że z tajemnicą latających talerzy wiążą się dwa istotne problemy, których jak dotąd nie udało się rozwiązać.

Pierwszym jest sprawa pochodzenia tych pojazdów. Czy latające talerze pochodzą z jakiejś planety znajdującej się na orbicie jednej z najbliższych Ziemi gwiazd, które

podejrzewa się o posiadanie systemu planetarnego z racji ich widocznych oscylacji, podobnych do drgań naszego Słońca i spowodowanych, jak wiadomo, krążeniem Jowisza i Saturna po orbitach eliptycznych. A może przybywają z ogromnego statku kosmicznego, umieszczonego na stałe na orbicie okołoziemskiej lub wokół Słońca przez mieszkańców jednej z tych nieznanymi nam planet. Może w końcu pochodzą z jakiejś innej planety naszego układu słonecznego lub z któregoś z jej satelitów? Nie spodziewam się tutaj rozstrzygnąć tego problemu, lecz postaram się przynajmniej ustalić pewne fakty i wyciągnąć wszystkie możliwe wnioski.

163

Drugi problem, to pytanie czy te przybywające do nas pozaziemskie cywilizacje odwiedzały nas już w przeszłości. Wszystkie dotąd odnalezione i przetłumaczone dawne dokumenty zdają się w sumie wskazywać na to, że astronauta przybywający z kosmosu odwiedzali naszych przodków, a nawet że mogli być oni twórcami pierwszych cywilizacji ludzkich.

Niektóre starożytne cywilizacje uważały, że ich przodkowie przybyli z Wenus, Marsa, Jowisza, Saturna, Syriusza lub Plejad. W ostatnich latach wysunięto na ten temat wiele interesujących hipotez, na przykład hipoteza Betty Hill czy też inna, autorstwa Duncana Lunana, głosząca, że astronauta przybywać mogą na orbitę wokółziemską z gwiazdy Epsilon Bootis, albo jeszcze inna, wysnuta przez dwóch amerykańskich astronomów, którzy otrzymali tajemniczą wiadomość pochodzącą z gwiazdy Tau Ceti, w konstelacji Wieloryba.

Poza tym, zarówno dwunastu amerykańskich astronautów, którzy wylądowali na Księżycu, jak i czternastu innych, krążących tylko wokół niego, widziało latające talerze, a nawet otrzymało i zarejestrowało tajemnicze sygnały, lecz jak do tej pory nikomu jeszcze nie udało się ich odczytać. Jest więc pewne, że na Księżycu istnieje co najmniej jedna baza UFO, lecz astronautom wolno było o tym mówić tylko z pracownikami NASA.

Niektórzy nawet uważają, że taki był prawdziwy powód zaprzestania rozwoju amerykańskiego pro-

164

gramu badań księżycowych, który nagle, bez podania przyczyny, został przerwany, pomimo że było jeszcze przygotowanych wiele statków załogowych Apollo i wiele gotowych do wystrzelenia rakiet nośnych Saturn. Ta zaskakująca decyzja została podjęta w celu wyeliminowania ryzyka, jakie mogło nieść nieprzyjazne spotkanie z nieznanym przeciwnikiem, który jako niewątpliwie przewyższający nas pod względem technicznym, mógł unicestwić zarówno statek Apollo, jak i jego załogę.

Już w obu moich poprzednich książkach wspominałem o, nie budzącej żadnych wątpliwości, obecności pozaziemskich astronautów na Księżycu, lecz zrobiłem to tylko wzmiankowo, gdyż jako pracownikowi NASA nie wolno mi było rozpowszechniać jej tajemnic. Dwaj inni amerykańscy autorzy, nie mając żadnych zahamowań w tym zakresie, posunęli się o wiele dalej w ujawnieniu faktów i w swoich hipotezach.

Don Wilson wspominał już 5 lat temu w opublikowanej po angielsku pasjonującej książce, przetłumaczonej też na francuski w ubiegłym roku (90), że jest pewne, iż na

Księżycu znajdują się bazy cywilizacji pozaziemskich oraz że radzieckie sondy orbitalne sfotografowały równe, prostokątne budowle oraz spiczaste, podobne do egipskich, piramidy, których pochodzenie z całą pewnością nie mogło być naturalne.

W innej, jeszcze bardziej pasjonującej książce, opublikowanej przed 4 laty po angielsku i prze-

165

tłumaczonej 2 lata temu na język francuski (77), George Leonard przedstawił swe odkrycie, którego dokonał analizując opublikowane przez NASA zdjęcia przedstawiające powierzchnię Księżyca. Odkrył mianowicie, że na dwóch następujących po sobie zdjęciach, widoczne tam ogromne figury geometryczne i obiekty nie występują w tych samych miejscach, co sugerowałoby, że obiekty te przemieszczają się. Autor wywnioskował więc, że mogłyby to być potężne buldożery budujące bazy astro-nautyczne przeznaczone do celów badawczych lub nawet przygotowane do dokonania inwazji na Ziemię.

Leonard odkrył na przykład, że wewnątrz krateru Lubinickiego o średnicy około 30 kilometrów, znajdującego się na Morzu Chmur po widocznej stronie Księżyca, znajdują się dziwne formy geometryczne, takie jak dziewięciokąt foremny, w którego sąsiedztwie z jednej strony znajduje się dziewięć małych kół ustawionych w kwadrat, a z drugiej trzy identyczne koła ułożone wzdłuż krzywej. Przekonanie, że tak doskonałe formy geometryczne mogą być dziełem natury, wydaje się śmieszne, gdyż za bardzo przypominają one budowle, które i my wznosimy na powierzchni Ziemi, na przykład Pentagon, czy też zbiorniki na paliwo. Na pewno z tego powodu NASA o nich nigdy nie wspominała, a nawet wydawała się ich nie zauważać.

Najbardziej prawdopodobna obecnie hipoteza dotycząca pochodzenia UFO głosi, że może ono do

166

nas przybywać z Tytana, czyli największego z satelitów Saturna. Uważa tak wielu radzieckich astronomów na przykład Siergiej Bozich czy Władimir Azaza. Dnia 20 września 1977 roku w Związku Radzieckim miała miejsce prawdziwa inwazja latających talerzy na miasto Pietrozawodsk, a w kilka dni później na Piatigorsk i Niżni. Radzieccy astronomowie zauważyli, że wszystkie pojazdy odlatują w kierunku Saturna.

W sumie, na przestrzeni ostatnich trzech lat, przeszło dwieście takich pojazdów przeleciało nad radzieckimi miastami, po czym udało się w tym kierunku. Jako że z wielu powodów, których teraz nie będziemy przytaczać, życie na Saturnie wydaje się być niemożliwe, jedynym miejscem, skąd mogłyby przybywać te latające talerze, mógłby być satelita tej planety Tytan, gdyż wydaje się posiadać zarówno atmosferę, jak i wystarczająco duże rozmiary.

Godnym uwagi zbiegiem okoliczności jest fakt, że kiedy amerykańska sonda kosmiczna Pioneer 11 zbliżyła się 2 września 1976 roku do Saturna, udało jej się przekazać wspaniałe zdjęcia ukazujące tę planetę oraz wszystkie jej satelity z wyjątkiem Tytana, gdyż jak tylko zbliżyła się do niego, bardzo silne wyładowania zakłóciły transmisję obrazu, jak gdyby mieszkańcy tego satelity chcieli uniemożliwić sfotografowanie ich miast i baz kosmicznych.

Jest więc bardzo możliwe, że satelita Tytan zamieszkiwany jest przez jakąś podobną do naszej cywilizację, będącą jednak na wiele wyższym stopniu

167

rozwoju i potrafiącą natychmiast rozpoznać przybywającą z Ziemi rakietę międzyplanetarną. Biorąc jednak pod uwagę, że NASA nigdy nie ujawniła tego, co naprawdę wydarzyło się na Księżycu, należy uznać, że równie mogła zataić obraz telewizyjny ukazujący Tytana, przekazany przez sondę Pioneer 11. Jest bardzo prawdopodobne, że obraz dotarł na Ziemię, lecz NASA zachowała to w tajemnicy na własny użytek.

Satelita Tytan ma średnicę nieznacznie większą niż Mars, równą 5600 kilometrów. Wszystko wskazuje na to, że posiada wodę i identyczną jak nasza atmosferę, a także twarde grunty zawierające izotopy wodoru i helu, mogące służyć jako paliwo. Znajduje się więc tam wszystko, co jest niezbędne, aby satelita ten mógł stanowić bazę wypadową dla jakiejś cywilizacji pochodzącej z odleglejszej części kosmosu. Zresztą wielu znanych mi naukowców z NASA uważa, że właśnie Tytan mógłby z powodzeniem być właśnie tym miejscem, z którego wylatują wszystkie widziane współcześnie latające talerze, a być może i te, które widywali przed tysiącami lat nasi przodkowie.

Tytan znajduje się w odległości 1,2 miliona kilometrów od Saturna i 1200 milionów kilometrów od Ziemi. Światło przemierzyłoby dzielącą go od nas odległość w czasie nieco dłuższym niż godzina. Statkowi międzyplanetarnemu posiadającemu 300 razy mniejszą prędkość, czyli tylko 1000 kilometrów na sekundę, zajęłoby to tylko dwa tygodnie. Podróż

168

taka wydaje się całkiem możliwa dla jakiejś znacznie lepiej od nas rozwiniętej cywilizacji.

Poza tym, radzieccy astronomowie odebrali sygnały radiowe, które też zdawały się przychodzić z kierunku Saturna. Były one szczególnie silne w chwili znajdowania się tam latających talerzy, co mogłoby wskazywać na to, że wysyłane były specjalnie do nich, a w konsekwencji były skierowane na Ziemię. Sygnały te mogły być emitowane przez jakiś rodzaj radiolatarni i umożliwiałyby wówczas pojazdom automatyczny powrót do ich baz, bez konieczności stosowania jakiegokolwiek systemu nawigacji. Jest zresztą też możliwe, że astronauta ci zainstalowali podobną radiolatarnię też i na Ziemi, na przykład w pasie równikowym, skąd Saturn zawsze jest widoczny. Umożliwiłoby im to łatwy powrót na Ziemię w każdej chwili i to bez systemu nawigacyjnego.

Aby nie zboczyć z trasy wyznaczonej przez radiolatarnię, wystarczyłoby, aby ci astronauta posiadali antenę składającą się z czterech umieszczonych obok siebie elementów, porównujących stale otrzymane sygnały. Ta prosta metoda stosowana jest powszechnie do śledzenia wysyłanych przez nas sond międzyplanetarnych, aby zawsze wiedzieć, gdzie one się znajdują. Dzięki podobnej metodzie radzieccy astronomowie z łatwością określają kierunek dochodzących do nich sygnałów radiowych, lecz o wiele trudniej jest im oznaczyć odległość źródła tych sygnałów.

169

Używają oni do tego techniki zwanej triangulacją, polegającej na tym, że sygnały pochodzące z Saturna odbiera jednocześnie wiele, możliwie jak najbardziej od siebie

oddalonych, stacji na powierzchni Ziemi, na przykład na Syberii i Antarktydzie lub sygnały odbierane są sukcesywnie przez tę samą stację w odstępach sześciomiesięcznych, to znaczy z dwóch przeciwnych punktów orbity ziemskiej. W ten sposób otrzymano bardzo spiczasty trójkąt, którego znana podstawa oraz kąt na szczycie pozwalają obliczyć jego wysokość będącą jednocześnie odległością źródła tych sygnałów.

Drugi z problemów zawarty jest w pytaniu, czy astronauty z innej planety lądowali na Ziemi już w przeszłości. Uważam, że problem ten jest bardzo złożony i w obu moich poprzednich książkach starałem się już go rozwiązać, niestety bezskutecznie. Zresztą ze stu innych autorów podejmowało już takie próby i czasami dochodzili oni do bardzo interesujących wniosków i to stosując zupełnie różne metody badań.

Na pierwszy rzut oka problem wydaje się prosty. Aby udowodnić, że astronauty przybywali już na Ziemię w jakiegokolwiek dawnej epoce, wystarczyłoby odnaleźć jakikolwiek przedmiot z danej epoki, taki jak na przykład rower, kalkulator, czy też maszynę do pisania i udowodnić, że ludzie z tamtych czasów na pewno nie byliby zdolni do stworzenia czegoś podobnego samodzielnie. I tu właśnie problem zaczyna się komplikować. Odnaleziono bo-

170

wiem na dnie Morza Egejskiego bardzo stare urządzenie służące do wyliczeń astronomicznych, ale, jak do tej pory, nie udało się ani dokładnie określić daty jego powstania, ani też udowodnić, że ludzie żyjący w tamtych czasach nie byliby zdolni skonstruować je samodzielnie.

Sprawa wygląda podobnie w przypadku rozsianych po całym świecie gigantycznych budowli, takich jak w Baalbek, Cuzco, Tihuanaco lub Bimini, a także ogromnej piramidy odkrytej niedawno na dnie morza u wybrzeży Florydy. Ta wielka, około 300-metrowej szerokości piramida powstała co najmniej 12000 lat temu, jeszcze przed ostatnim przyborem oceanów, przy końcu ostatniej epoki lodowcowej. Poznanie dokładnej daty skonstruowania tych budowli jest więc równie trudne, jak stwierdzenie, czy ówczesni ludzie byliby zdolni zbudować je samodzielnie, nie korzystając z żadnej pomocy przybyszów z kosmosu. (83)

Dlatego też starałem się zastosować inną metodę poszukiwań. Rozpocząłem je starając się najpierw, jak najdokładniej, określić stopień naukowych osiągnięć naszych przodków w dziedzinie astronomii, matematyki, geodezji, metalurgii i też w dziedzinie fizyki nuklearnej, na co posiadamy rozliczne dowody. Następnie próbowałem się utożsamić z bardzo inteligentnym, lecz niewykształconym badaczem żyjącym w ówczesnych czasach i ocenić, czy samodzielnie, nie posiadając teleskopu, mikroskopu czy też kalkulatora, mógłbym bez żadnej zewnętrznej

171

pomocy, boskiej czy kosmicznej, co zresztą jest dokładnie tym samym, zdobyć tak rozległą wiedzę naukową.

Konkluzja tych przemyśleń, przynajmniej jeśli chodzi o mnie, jest absolutnie jednoznaczna. Najbardziej nawet inteligentny badacz nie mógłby posiadać tych wiadomości samodzielnie. Oczywiście, nie przedstawię tutaj wszystkich tego dowodów, bo uczyniłem to już w moich poprzednich książkach. Streszczę je tylko

po krótko i przedstawię dowody, które nasunęły mi się już po publikacji poprzednich książek.

Nasi przodkowie znali co najmniej pięćdziesiąt różnych cykli astronomicznych, a niektóre z nich odnoszą się do planet Urana, Neptuna i Plutona, a także podwójnej gwiazdy Syriusza, które nie są widoczne gołym okiem. Zaokrąglili długości wszystkich cykli astronomicznych do liczb całkowitych przedstawiających dni, co zawsze było dokładną wielokrotnością około dwudziestu liczb pierwszych, tak że zawsze możliwe było utworzenie kalendarza, w którym ilość dni była dokładną wielokrotnością wielu z tych cykli.

Przedstawię tutaj prosty przykład - kalendarz o ilości dni 5460 wyrażał, liczbą całkowitą, ilość 7-dniowych tygodni, 28-dniowych miesięcy, lat składających się z 364 dni oraz cykle Marsa o długości 780 dni. Podobnie, kalendarz obejmujący 14 040 dni był dokładną wielokrotnością 117-dniowych cykli Merkurego, 585-dniowych Wenus i 780-dniowych

172

Marsa. Wielki kalendarz obejmując 98 280 dni uzgadniał oba poprzednie z 378-dniowymi cyklami Marsa i 819-dniowymi Jowisza.

Jest oczywiste, że taki obejmujący 270 lat kalendarz, który został odnaleziony w zabytkach kultury Majów, nie mógłby zostać stworzony bez żadnej zewnętrznej pomocy, samodzielnie, przez człowieka, który nie był w stanie nawet zobaczyć planety Uran. A jednocześnie, ten kalendarz wydaje się być tylko dziecinną igraszką w porównaniu z innymi, niedawno odnalezionymi kalendarzami - hinduskim, obejmującym 308,448 milionów lat i Majów, obejmującym 403 miliony lat. Oba one zgodne są z dokładnymi liczbami przedstawiającymi cykle astronomiczne na przestrzeni długiego okresu czasu. Jestem w związku z tym przekonany, że nasi przodkowie nie mogli sami dokonać podobnych wyliczeń nie korzystając z niczyjej pomocy. (83)

W dziedzinie matematyki nie znali pojęcia ułamka dziesiętnego, ale biorąc pod uwagę to, że nie mieli komputerów, nie było to im potrzebne. Posiadali natomiast doskonały system ułamków, pozwalający im nawet na swoiste rozwiązanie problemu kwadratury koła, co niemożliwe jest dla nas przy użyciu stosowanego przez nas współczynnika  $\pi$ , gdyż wyraża się on ułamkiem dziesiętnym nieskończonym. Używany przez nich współczynnik  $\pi$  równy  $22 / 7$  lub  $864 / 275$  pozwalał im na wykreślenie koła, zakładając że

173

znany był tylko jego obwód czy też sama powierzchnia, tak jak w przypadku kwadratu.

Wyznaczyli współczynnik  $\phi$ , zwany Złotą Liczbą, jako  $89 / 55$ . Umożliwił on im wykreślanie pięciokątów foremnych, a jego pierwiastek kwadratowy wynoszący  $14 / 11$  równy był liczbie 4 podzielonej przez  $\pi$ , a to dawało możliwości jeszcze innych kombinacji. Jest również prawdopodobne, że nasi przodkowie znali pojęcie logarytmów, gdyż znany był im ułamek  $87 / 32$  odpowiadający wartości naszemu współczynnikowi, będącemu podstawą logarytmów naturalnych. Wydaje się też, że w Theotihuacan używali jednostki długości równej 1,058 metra, co bardzo przypomina

wartość pierwiastka dwunastego stopnia z liczby 2, ale równie dobrze mogłoby to zostać wyrażone ułamkiem  $200 / 189$  co również odkryto w Theotihuacan.

W dziedzinie fizyki nuklearnej, nasi przodkowie znali słynny szereg  $2 + 8 + 20 + 50 + 82 + 126 = 288$  przedstawiający ilość protonów lub neutronów potrzebnych do zapewnienia równowagi jądrowej. Nieobcy był im również szereg  $2 + 8 + 18 + 32 + 50 + 72 + 98 = 280$  przedstawiający ilość elektronów potrzebnych do zapewnienia równowagi atomowej. Znali wreszcie święte liczby, takie jak 2268, 2592 i 36288 będące wielokrotnościami poprzednich liczb i używane powszechnie we współczesnej fizyce jądrowej. (83)

174

Jeśli chodzi o osiągnięcia w dziedzinie geodezji, należy przyznać, że nasi przodkowie znali nie tylko obwód Ziemi, ale również jej powierzchnię wynoszącą 508,032 bilionów metrów kwadratowych, a także określili jej objętość na 1088,640 miliardów metrów sześciennych, co było już rzeczą bardziej złożoną, gdyż logicznie rzecz biorąc, nie mogli być w stanie dokonywać operacji rachunkowych na liczbach piętnasto- i dwudziestodwucyfrowych. Jednakowoż obie te liczby były im znane i często można je odnaleźć w dokonywanych przez nich obliczeniach, na przykład w wyliczeniach powierzchni tarasu świątyni w Jerozolimie. Powierzchnia ta wynosi 254016 metrów kwadratowych. Stanowi to dowód na to, iż to ktoś z innej planety przybył, aby przekazać naszym przodkom owe liczby.

Wydaje mi się, że bezcelowe jest przedstawianie dalszych dowodów, gdyż jeśli do tej pory nie udało mi się przekonać czytelnika o tym, że nasi przodkowie z pewnością odwiedzani byli przez pozaziemskich nauczycieli, uważam, że już nic nie jest w stanie tego dokonać. Jeśli chodzi o mnie, jestem głęboko przekonany, że takie wizyty miały miejsce i dlatego staram się, za pomocą moich książek, artykułów i telewizyjnych wywiadów, przekonać o tym innych.

Również i nasz dobry znajomy Jean Sendy, którego od niedawna nie ma już wśród nas, dokonał sensacyjnych odkryć w tej dziedzinie. Całe swe życie poświęcił badaniom nad osobliwościami występującymi w nauce lub religii, a znając dogłębnie Biblię,

175

nawet w hebrajskim oryginale, pewnego dnia dokonał odkrycia, że starożytni Hebrajczycy używali dwóch jednostek czasu - „rega” i „helek”. Jednostki te są zupełnie nieznane archeologom i historykom, pomimo iż wielu z nich zna bardzo dobrze Biblię. (51)

Według rabina Deutscha, godzina składała się z 1080 rega, a każde rega z 76 helek. Opisał to w, wydanej w 1961 roku w Paryżu przez fundację Sefer, książce pod tytułem „Przewodnik po religii izraelskiej”. Pierwsza z tych liczb 1080, nie powinna wzbudzić naszego zdziwienia, jako że jest trzykrotnością liczby 360, czyli świętej liczby używanej najczęściej przez Hebrajczyków, Egipcjan i Sumerów, jak również po drugiej stronie Oceanu Atlantyckiego przez Majów.

Natomiast liczba 76 będąca przypadkowo tą samą liczbą, która określa ilość lądowań latających talerzy we Francji w 1954 roku, jest o wiele trudniejsza do wyjaśnienia, gdyż Hebrajczycy nigdy jej nie używali. Na przykład część „Księgi

Henocho" poświęcona astronomii, bazuje na liczbach 7, 13, 91 i 364, a nie zawiera wcale liczby 19, też będącej liczbą astronomiczną. Część ta jest tym bardziej pasjonująca, że wiemy, iż napisano ją przed kilkoma tysiącami lat.

Jest więc bardzo prawdopodobne, że Hebrajczycy odkryli tę liczbę dopiero, gdy popadli w niewolę w Egipcie, w Niniwie czy też w Babilonie, gdzie tamtejszym astronomom była znana i powszechnie

176

przez nich używana. Astronomowie ci znali na przykład cykl o długości 6802 dni, który odpowiadał maksymalnym przesunięciom wschodu Księżyca w ciągu 18-letniego okresu ekliptycznego. Znali również cykl o długości 6955 dni obejmujący jednocześnie 19 lat słonecznych i 20 księżycowych.

Astronomom tym nieobcy był również cykl o długości 27 759 dni, obejmujący 76 lat słonecznych lub 940 miesięcy księżycowych. Zastosowali go przy konstruowaniu urządzenia z Rhodos, służącego do wyliczeń astronomicznych. Problem ten przedstawiłem już w jednej z moich poprzednich książek. Starożytni astronomowie znali wreszcie okresy powrotów ciał niebieskich do tych samych punktów. Dla Jowisza było to 4332 dni, a dla Urana, który z racji czystego nieba i lepszej widoczności za czasów naszych przodków możliwy był do obserwacji gołym okiem, 30 685 dni. Wszystkie przytoczone tu liczby są dokładną wielokrotnością 19. Mogłoby to zatem tłumaczyć obecność tej liczby w Biblii. (83)

W każdym bądź razie faktem jest, że Hebrajczycy używali do mierzenia czasu nieprawdopodobnej dla

nas jednostki równej  $10 / 228$  sekundy. A więc starożytnym astronomom musiało udać się wyliczyć prędkość światła wynoszącą 296400 kilometrów na sekundę, odległość dzielącą Ziemię i Księżyc równą 390 000 kilometrów oraz odległość od Słońca równą 148 200 000 kilometrów, gdyż tylko w tym przypadku mogli wyznaczyć ilość czasu potrzebną światłu

177

na przebycie drogi na Ziemię, co określało dokładnie 30 helek oraz czas potrzebny światłu na przebycie dystansu dzielącego Ziemię od Słońca określony jako 150 rega. Gdyby okazało się, że te wyliczenia nie były dokonywane w taki sposób, byłyby to naprawdę przedziwne zbiegi okoliczności.

Jeden helek odpowiadał ilości czasu potrzebnej światłu na przebycie odległości 13 milionów metrów, co z kolei jest następnym dziwnym zbiegiem okoliczności, gdyż liczba 13 stanowiła dla naszych przodków świętą liczbę, a dowody na to możemy odnaleźć zarówno w hebrajskiej „Księdze Heno-cha” jak i w „Kodeksie Majów”. Dodatkowo, 13 milionów metrów to dokładnie 46,800 milionów mykeńskich stóp lub 20,475 milionów łokci hebrajskich, jednostki uważanej za świętą. Zgodnie z tym, co twierdził Jean Sedy, będący ekspertem w tej dziedzinie, zależności te mogłyby świadczyć o tym, że nasi odlegli, żyjący przed milionami lat przodkowie znali już prędkość światła i posiadali system metryczny pozwalający na wyznaczenie własnych jednostek czasu i przestrzeni, w oparciu o prędkość światła.

Jest rzeczą naprawdę zastanawiającą, w jaki sposób naszym przodkom udało się wyliczyć odległość Ziemi od Księżyca, jako że my poznaliśmy tę odległość



dokładnie dopiero 10 stycznia 1946 roku. Tego pamiętnego dnia amerykańscy inżynierowie postanowili skierować antenę radaru na Księżyc wschodzący właśnie na wschodzie o godzinie 11.58.

178

Dokładnie po 2,5628 sekundach odebrali echo, które wskazało im, że w tym momencie Księżyc znajdował się w odległości 384400 kilometrów od Ziemi. Powtarzali to doświadczenie przez jedenaście minut, czyli tak długo jak Księżyc pozostawał w zasięgu fal ich radaru.

Marynarce amerykańskiej udało się następnie wysłać sygnały radarowe z Maryland i po odbiciu od powierzchni Księżyca, odebrać je na Hawajach. To właśnie to doświadczenie dało początek idei stworzenia satelitów komunikacyjnych, które w obecnej dobie umożliwiają nam uzyskiwanie połączeń telefonicznych z całą kulą ziemską, a także odbiór programów telewizyjnych. Ale to wcale nam nie tłumaczy, w jaki sposób naszym przodkom i to przy użyciu środków, jakimi wówczas dysponowali, udało się wyznaczyć dokładną odległość pomiędzy Ziemią a Księżycem.

Inną zagadką astronomiczną jest obejmujący 308,448 milionów lat hinduski kalendarz Manuata-ra, będący na pewno najstarszym znanym obecnie kalendarzem. Prawdopodobnie odnosi się on do czasów bardzo odległych, jeszcze przed pojawieniem się w naszym układzie słonecznym planety Wenus. Ziemia była wówczas nieco bardziej oddalona od Słońca, a długość roku słonecznego wynosiła wtedy 367,647 dni. Gdyby tak było istotnie, kalendarz Manuata-ry obejmowałby ogromny okres czasu, aż 113 400 milionów dni, czyli dokładnie pięćdziesiąt razy więcej niż okres sumeryjskiej stałej Niniwy.

179

Również i to kojarzy się ze słynną świętą liczbą 1134, zawartą również w wymiarach śladu z Valensole we Francji. Nie powinno to wcale zdziwić tych wszystkich, którzy od dawna wiedzą, że nasi przodkowie będąc nadzwyczajnymi astronomami i matematykami, na pewno nie byli w stanie osiągnąć takiej wiedzy samodzielnie, a z pewnością otrzymali ją od swych gości z kosmosu zwanych Elohim i Nephilim.

Jeżeli pofatygowalibyśmy się i przemnożyli powierzchnię i objętość Ziemi przez 17, stwierdzilibyśmy, że otrzymaliśmy dokładne wielokrotności okresu czasu objętego kalendarzem Manuata-ry. Świadczyć to może o tym, iż kalendarz ten został bardzo dawno wyliczony przez ludzi bezbłędnie znających dokładne wymiary Ziemi oraz związki istniejące pomiędzy czasem i przestrzenią. Byłoby naprawdę zdumiewające, gdyby ci ludzie potrafili zrobić to zupełnie sami. Musieli więc, z pewnością, korzystać z pomocy bogów czy też astronautów, którzy przybyli, by ich tego nauczyć.

## **ROZDZIAŁ XI**

### **NIEPOKOJĄCA TEORIA**

Dwaj najwybitniejsi amerykańscy specjaliści w dziedzinie badań nad zjawiskami

UFO wielokrotnie zmieniali przekonania, na przestrzeni wielu lat, nie przejmując się zupełnie zdaniem innych na swój temat. Działa to tylko na ich korzyść, gdyż dowodzi, iż zawsze pisali to, co w danym momencie myśleli.

Amerykańskie siły powietrzne zaproponowały Allanowi Hynkowi, słynnemu już astronomowi z Uniwersytetu Northwestern Evanston w stanie Illinois, pracę nad słynnym programem Blue Book, poprzedzającym równie sławny program Condon. Blue Book był programem, który nastąpił po programie Richardsona. Allan Hynek bardzo szybko zorientował się, że celem tego programu nie było prowadzenie poważnych badań nad niewytłumaczalnymi zjawiskami powietrznymi, lecz przeciwnie - zapewnienie opinii publicznej o całkowitej wytłumaczalności tych zjawisk. Rozgoryczony takim postawieniem sprawy, podał się do dymisji. (25)

181

Rozpoczął wtedy badania na własną rękę; powołał stowarzyszenie badaczy UFO i opublikował wiele powszechnie znanych książek. Stał się bardzo szybko autorytetem w tej dziedzinie i w przypadku zaistnienia jakiegokolwiek nowego wydarzenia proszono go o konsultacje. Stał się słynny na całym świecie, prowadził wiele wykładów i często udzielał wywiadów telewizyjnych. Początkowo Hynek nie wierzył w istnienie latających talerzy, lecz gdy stwierdził, że się mylił, bez chwili wahania zmienił zdanie. (70)

Jacques Vallée, dzisiaj podobnie jak i ja Amerykanin pochodzenia francuskiego, pracował w tamtych czasach jako astronom w Obserwatorium w Paryżu. Praca jego polegała na prowadzeniu obserwacji, coraz to liczniejszych, radzieckich i amerykańskich sztucznych satelitów. Pewnego dnia w 1961 roku Jacques Vallée i jego współpracownicy ujrzeli przez teleskop nieznane obiekty latające, nie będące z całą pewnością satelitami pochodzenia ziemskiego. Upewniał ich o tym fakt, że krążyły one w przeciwnym kierunku, a w tamtych czasach nikt na Ziemi nie dysponował tak silną rakieta, która byłaby zdolna umieścić na orbicie satelitę o ruchu wstecznym. (5)

Pojawienie się na niebie tych nieznanymi obiektów zarejestrowano na taśmie magnetycznej, ale gdy po kilku dniach Vallée chciał ją zobaczyć, zwierzchnik poinformował go, że taśmy zostały zniszczone, gdyż z pewnością były wynikiem jakiegoś błędu, a co za tym idzie, były absolutnie nieprzydatne dla celów

182

naukowych. I właśnie wtedy, głęboko rozczarowany Vallée opuścił obserwatorium i udał się do Anglii, by w Northwestern University kontynuować swe badania. Tam spotkał Allana Hynka i wkrótce zaprzyjaźnił się z nim. (18)

I tak zaczęła się długa współpraca pomiędzy dwoma ludźmi usiłującymi wyjaśnić tajemnicę latających talerzy i nie godzącymi się na to, by ktokolwiek przeszkadzał im w ich poszukiwaniach prawdy. Obaj byli wówczas przekonani o istnieniu latających talerzy oraz o ich pozaziemskim pochodzeniu. Ale też obaj ci błyskotliwi uczeni, jeszcze raz, zmienili swe przekonania w tej dziedzinie i zaproponowali nową teorię. (52)

W przełożonej ostatnio na język francuski książce (89) oraz w wywiadzie udzielonym czasopismu „Omni”, Jacques Vallée zaproponował zupełnie nowe

wyjaśnienie zjawiska latających talerzy. Wyjaśnienie to jest o wiele trudniejsze do zaakceptowania niż wszystkie poprzednie, ale, niestety, mogłoby okazać się słuszne. Od jakiegoś czasu niektórzy niezależni badacze liczą się z ewentualnością ziemskiego pochodzenia latających talerzy. Na pewno nie są one wytworem ani Rosjan, ani Amerykanów, gdyż zbyt dobrze oba te państwa wzajemnie obserwują swe działania, aby mogły pozwolić sobie na podobne żarty. (80)

Biorąc pod uwagę fakt, że dno oceanów nie zostało nigdy dokładnie zbadane, a kontynenty zbadano tylko częściowo, trzeba przyznać, że istot-

183

nie na Ziemi mogłaby istnieć bardzo silna, sekretna społeczność dysponująca ogromnymi środkami finansowymi. Mogłaby ona dysponować podziemnymi lub podmorskimi bazami, gdzie mogłyby zostać skonstruowane i skąd mogłyby zostać wysłane tajemnicze pojazdy w kształcie latających talerzy. Mogłyby one posiadać napęd działający w oparciu o pole, które odkrył Brown i którego fantastyczną moc wykazał wraz z Einsteinem podczas doświadczenia z Filadelfii.

Proszę się nie uśmiechać. Taka hipoteza jest jak najbardziej prawdopodobna. Wielu niezależnych badaczy zaczęło nawet dokładnie badać ten problem i nawet ja sam zastanawiałem się, czy nie powinienem również tym się zająć, chociażby po to, aby starać się udowodnić jej niesłuszność. Teoria ta tłumaczyłaby oczywiście większość tajemnic dotyczących latających talerzy, a także tłumaczyłaby również wiele innych zagadek nie mających, z pozoru, żadnych związków z pojazdami o niewytłumaczalnym dotąd pochodzeniu.

Jacques Vallée nabrał przekonania, iż istnienie zjawiska UFO można by przypisać szeroko zakrojonej akcji, mającej na celu manipulację masami i prowadzonej za pośrednictwem licznych środowisk towarzystw ufologicznych, których twórcy utrzymują, że nawiązali kontakt z cywilizacjami pozaziemskimi. Rozpoczął wówczas wnikliwą obserwację tych stowarzyszeń, udając że wierzy w ich dziwaczne teorie. Chciał w ten sposób sprawdzić, czy wysnuta

184

przez niego hipoteza mogłaby okazać się trafna oraz czy wszystkie te stowarzyszenia mogłyby, nie wiedząc o tym, wywodzić się z jednego i tego samego źródła.

Oczywiście rozpoczął swe badania od Kalifornii, w której obaj mieszkamy i która, o czym każdy wie, jest ziemskim rajem dla wszelkich kultów, sekt i różnego rodzaju, najbardziej nieprawdopodobnych, religii. Po przeprowadzeniu wnikliwego wywiadu, który zaprowadził go w poszukiwaniu Mel-chizedecha aż do tuneli paryskiego metra, nabrał głębokiego przekonania, że wszystkie tajemne sekty oraz ci wszyscy, którzy utrzymywali z nimi jakieś kontakty, wydają się być manipulowani przez jedną i tę samą, centralną, bardzo bogatą i silną organizację, której celem jest zniszczenie istniejącej zachodniej kultury i zastąpienie jej czymś w rodzaju dyktatury religijnej lub militarnej. (89)

W nawiązaniu do problemu religii, Jacques Vallée opowiada, jak w 1967 roku będąc w departamencie fizyki uniwersytetu w Colorado był na obiedzie z profesorem Condonem i członkami jego komisji do spraw badań nad zjawiskiem UFO. Komisja ta otrzymała właśnie od lotnictwa USA pół miliona dolarów na prowadzenie badań

mających na celu sprawdzenie, czy latające talerze istnieją naprawdę i czy nie stanowią jakiegoś zagrożenia dla bezpieczeństwa narodowego.

Na twierdzenie Vallée, że problem ten powinien zostać rozwiązany przez świat nauki, Condon od-

185

powiedział, że nie jest to takie oczywiste, gdyż zjawisko to mogłoby być z powodzeniem porównywalne z fenomenem istnienia Boga, czyli przekraczać granice nauki. Jak więc widać, badania naukowe nad tajemnicą UFO znajdowały się we właściwych rękach, a CIA lub też amerykańskie siły powietrzne wybierając Condon dokonały właściwego wyboru.

A powracając do problemu pozaziemskich cywilizacji, muszę przyznać, że dla mnie istnienie owych „nawiedzonych” jest równie tajemnicze jak problem latających talerzy. Nie chcąc tu przytaczać żadnego nazwiska powiem tylko, że uważam, iż wielu samozwańczych nawiedzonych jest jedynie oszustami bazującymi na naiwności ludzkiej. Znajdują w tym sposób na łatwe życie, na koszt tych wszystkich, którzy im wierzą.

Jeden z takich szarlatanów, działający obecnie na terenie Francji, postanowił kiedyś dać odczyt w San Francisco. Wiedział, że Kalifornia jest najbogatszym miejscem na ziemi. Przedstawił swoją nową kosmiczną religię i był wielce zaskoczony, że nie odniósł żadnego sukcesu.

Ja sam znam wielu proroków tego typu, zarówno mężczyzn jak i kobiety, i sam nie rozumiem, dlaczego opanowali oni okolice San Diego. Jedynym wytłumaczeniem, jakie przychodzi mi do głowy, jest to, że w odległości około stu kilometrów od San Diego znajduje się wielka Pustynia Kalifornijska, a prawdziwy prorok powinien najpierw udać się na

186

pustynię, żeby trochę pomedytować. Istnieją jednakże prorocy, których dobrej woli nie sposób podważyć i których wyznania są nieraz nawet niepokojące. (83)

Bardzo często spotykałem szarych, niewykształconych ludzi, którzy znali i rozumieli zadziwiające rzeczy, których normalnie nie powinni ani znać, ani rozumieć. Czasami odnoszę wrażenie, że jakaś przewyższająca nas istota płata figle całej ludzkości i często, szczególnie odkąd mieszkam w Kalifornii, myślę o tym, że i ja mógłbym paść ofiarą lub zostać wybrańcem w tej dziwnej grze. Bowiem od chwili, gdy zamieszkałem w San Diego, moje życie uległo radykalnej zmianie. (44)

Pomimo otrzymanego wykształcenia w zakresie nauk ścisłych, moje wiadomości w dziedzinie radaru i radiokomunikacji były raczej mierne. A jednak, niewątpliwie dzięki pomocy tajemniczej siły, bardzo szybko stałem się jednym z najlepszych amerykańskich specjalistów w tej niezwykle złożonej dziedzinie nauki. A dwadzieścia lat później, z racji zaniechania przez NASA kontynuowania większości programów przestrzeni kosmicznej i odłożenia ich na jakiś czas, zostałem zmuszony do odejścia na emeryturę wcześniej niż to planowałem, a gdy zastanawiałem się nad przyszłą pracą, stało się znowu coś dziwnego.

Pomimo iż nigdy nie interesowałem się ani dawnymi cywilizacjami żyjącymi przed tysiącami lat na Ziemi, ani też cywilizacjami pozaziemskimi, mogącymi istnieć we

szych czasów, zrozumiałem nagle, że pomiędzy tymi pasjonującymi zagadnieniami, które do tej pory nie zajmowały mnie, istnieć musi jakieś powiązanie. Zrozumiałem wówczas, że pierwsze ludzkie cywilizacje przybyły z kosmosu, z innej planety. Wkrótce byłem przekonany, że uda mi się to udowodnić. Stanowiło to genezę moich dwóch już opublikowanych książek.

Jestem więc głęboko przekonany, że istnieć muszą ci, którzy nawiązali z nimi kontakt, a więc naszym obowiązkiem jest zdemaskować tych wszystkich, którzy się pod nich podszywają. Istnieją nawiedzeni, których misja i moc są niepodważalne. Nie ulega wątpliwości, że byli nimi Mojżesz, Jezus, Mahomet, Joanna d'Arc czy Joseph Smith w sferze religii, jak również Edgar Cayce, Bligh Bond, Scott Elliot i Stefan Ossowiecki na płaszczyźnie psychicznej.

Ale istnieją też przypadki bardzo wątpliwe. Trudno jest wtedy wydać jednoznaczną opinię na ich temat. Dotyczy to, na przykład, tych wszystkich, którzy piszą automatycznie, bez udziału świadomości. Po ukazaniu się w Ameryce w 1978 roku mojej pierwszej książki, przez wiele miesięcy otrzymywałem codziennie z Lakeside obok San Diego koperty zawierające wiele stron napisanych na maszynie przez anonimową korespondentkę, pod dyktando jej duchowego przewodnika Hilariona, będącego dowódcą eskadry latających talerzy patrolujących od kilku lat przestrzeń powietrzną ponad Kalifornią.

188

Według mojej korespondentki, zostałem wybrany przez Hilariona na strażnika jego przesłania skierowanego do Ziemi. Bardzo chciała się ze mną spotkać, na co w końcu zgodziłem się mając nadzieję, że w ten sposób uwolnię się zarówno od niej, jak i od zalewającego mnie potoku wieści pochodzących z kosmosu. Muszę przyznać, że kosztowało mnie dużo zdrowia, aby się od niej uwolnić. Wytłumaczyłem, że czuję się niegodny przyjęcia takiego zaszczytu. Ale na dnie serca pozostała wątpliwość, gdyż ta kobieta przecież mogła wcale nie być szalona, chociaż takie właśnie sprawiała wrażenie. Może naprawdę obce cywilizacje nawiązały z nią kontakt.

Inny, nieznany mi korespondent z Paryża przysłał mi taśmę magnetofonową, na której zawarta była opowieść, w jaki sposób nawiązał on kontakt z głównodowodzącym eskadry latających talerzy, który wyjaśnił mu powód swego przybycia na Ziemię i jednocześnie polecił mu, aby skontaktował się ze mną. Odpowiedziałem mu uprzejmie, że bardzo mi to pochwaliło, lecz czuję się tego niegodny. I na tym korespondencja zakończyła się.

Po moich wielokrotnych wystąpieniach przed kamerami telewizji amerykańskiej, podobne przypadki zdarzały się wielokrotnie i moi znajomi zaczęli się już zastanawiać, czy przypadkiem nie staram się stworzyć jakiejś nowej, kosmicznej religii, gdzie naturalnie zarezerwowałbym dla siebie rolę proroka, czy na przykład guru. Niestety, nie czuję żadnego powołania do tego typu przedsięwzięcia.

189

A nawiązując do przedziwnych historii ludzi nawiedzonych, sądzę że nadszedł już czas, abym opowiedział jedną z nich i to taką, która przekracza granice wszelkiego

prawdopodobieństwa. Początkowo i ja uznałem ją za opowieść szaleńca. Ale teraz, po głębokich przemyśleniach, ogarnęły mnie wątpliwości. Zgodziłem się nawet przetłumaczyć na francuski amerykańską książkę autorstwa Margaret Williams, głównego świadka tej historii.

Wiosną 1957 roku społeczeństwo amerykańskie żyło problemem reinkarnacji, roznieconym przez Brideya Murphy'ego. Dwoje Kalifornijczyków, Merl i Margaret Williams, stało się pasjonatami tego zagadnienia, stając się jednocześnie fanatykami hipnozy i cofania się w czasie. Poznali dzięki temu dwóch słynnych hipnotyzerów Emila Franchella i Lee Gladdena. Gladden demonstrował często swe talenty hipnotyzerskie na dziewiętnastoletniej studentce Robin Greenwood. Wydawało się, że dziewczyna nawiązała kontakt z jakąś pozaziemską cywilizacją.

Wieczorem 14 kwietnia 1957 roku u Lee Gladdena w Riverside na wschód od Los Angeles spotkała się grupa przyjaciół. Byli tam Merl i Margaret Williams, Robin Greenwood, Lee Gladden wraz z żoną Vivianne oraz wielu innych gości. Celem spotkania było wprowadzenie Robin Greenwood w stan hipnozy, sprawienie, aby sięgnęła pamięcią jak najdalej w swą przeszłość i sprawdzenie, czy przypomina ona sobie inne, wcześniejsze wcielenia.

190

Robin, zaraz po zaśnięciu, zaczęła opowiadać o swym dzieciństwie, potem o narodzeniu, a następnie o czasie spędzonym w łonie swej matki, gdzie skulona i z głową spoczywającą na kolanach, doskonale się czuła. Lee polecił jej wówczas cofnąć się pamięcią jeszcze dalej. Robin wyprostowała się w fotelu i kontynuowała opowieść. Miała piętnaście lat, nie wiedziała czy jest chłopcem, czy dziewczynką, nie nosiła ubrań i znajdowała się u stóp jakichś gór. Zabrzmiało to dość dziwnie.

Gdy Lee spytał ją, jak miała na imię, Robin odparła, że nie miała imienia, jedyne, co posiadała, to były dłonie. Wówczas Lee spytał, czy miała dwie dłonie. Okazało się, że miała ich osiem. Obecni na seansie oniemieli. Lee spytał, do czego przytwierdzone były owe dłonie. Robin wyjaśniła, że każda przyczepiona była do ramienia, które wyrastało z ciała centralnego, będącego w kształcie kopuły. W sumie, był to dziwny stwór w kształcie rozgwiazdy, posiadający centralną kopułę, osiem ramion i osiem dłoni.

Stwór widział to, co działo się wokół dzięki owej wrażliwej na światło kopule. Jako że ta dziwna istota nie posiadała żadnego imienia, Lee zaproponował jej, ciągle za pośrednictwem Robin, nazwę „Hands”. Monstrum sprawiło wrażenie bardzo zadowolonego. Imię to będzie używane w dalszej części tej opowieści. Posłużyło też ono później za tytuł amerykańskiej książki, opublikowanej przez Margaret Williams. (61)

191

Dowiedziano się wówczas, że Hands było wegetarianinem i odżywiało się jedynie roślinami, kładąc się na nich i pochłaniając powoli dolną część swą kopuły. Mogło dość szybko poruszać się w różnych kierunkach, używając do tego swych ośmiu rąk. Wokół niego było wiele podobnych istot, które szukały pożywienia na śniegu. W jego świecie istniała tylko ziemia, śnieg, lód i woda, w której żyły wielkie ryby. Hands nie mogło do niej wchodzić, gdyż ryby posiadające oczy, atakowały je

zawsze, gdy próbowało to uczynić.

Obecni na seansie hipnotycznym poczuli się mocno zawiedzeni. Przybyli, by poznać poprzednie wcielenie Robin. Wyobrażali sobie, że być może była w przeszłości Kleopatram lub Messaliną. Ostatecznie pogodziliby się też z faktem, że była dziewczką służebną w angielskiej oberży, w czasach średniowiecza, ale nie bezgłowym, ośmiorekim monstrem. Poprosili więc Lee, aby przerwał to prowadzące donikąd doświadczenie. Podczas następnego seansu nadal wypytywano Robin i okazało się, że Hands wciąż było wśród nich i opowiadało im, tym razem o wiele bardziej interesujące rzeczy. Dotyczyły one kontaktów Hands z jakąś cywilizacją złożoną z osobników podobnych z wyglądu do ludzi, a przynajmniej posiadających głowę, dwie ręce i dwie nogi. Hands poinformowało, że jego planeta posiadała trzy słońca i trzynaście księżyców. Lee uznał wówczas, że wprowadzając Robin w stan hipnozy, musiał popełnić jakiś błąd. Wszak taka planeta nie

192

mogła znajdować się w naszym układzie słonecznym. Było więc oczywiste, że Lee zamiast sprawić cofnięcie się w czasie, spowodował przemieszczenie się w przestrzeni i nagle skojarzył sobie to wszystko, co przeczytał na temat dziwnych relacji dotyczących czasu i przestrzeni.

Ale skoro pogrążona w śnie hipnotycznym Robin przebywała teraz na innej planecie, w nieznanym systemie planetarnym, należało to wykorzystać i postarać się wydobyć z niej jak najwięcej informacji. Świadczenie tego doświadczenia dowiedzieli się więc o istnieniu planety Cenos, zamieszkiwanej przez istoty podobne do nas. Istoty te znały naszą Ziemię. Wielokrotnie w dawnych czasach przybywały na nią i nawet w wielu miejscach wzniosły różne budowle. W ciągu siedmiu lat przeprowadzono w sumie czterdzieści osiem seansów i dzięki nim dowiedziano się o wielu interesujących rzeczach. Długo by można było o nich opowiadać, lecz nie mieszczą się one w temacie niniejszej książki.

Przyznaję, że przypadek Robin Greenwood, podobnie jak i inne przypadki cofania się w czasie pod wpływem hipnozy, jest dla naukowców czymś niezmiernie trudnym do zaakceptowania. Dotyczy to również i mnie, gdyż pomimo iż jestem w posiadaniu kopii taśmy magnetowidowej nagranej podczas jednego z seansów, do tej pory jeszcze nie wiem, czy należy w to wszystko wierzyć, czy też nie. Muszę jednak przyznać, że historia jest niezmiernie frapująca. Słuchając nagrania odnosi się wrażenie, że

193

istotnie mamy do czynienia z istotą innego gatunku i z inną cywilizacją, pochodzącą z drugiego krańca wszechświata, która porozumiewa się z nami za pośrednictwem Robin przemawiającej dziwnym, zupełnie niepodobnym do swojego, głosem.

A gdyby historia Hands była, wbrew wszelkim pozorom, prawdziwa, podobnie jak i wszystkie inne przedstawione tu historie dotyczące pozaziemskich kontaktów? Czy konsekwentne ignorowanie ich w imieniu nauki i racjonalizmu nie byłoby z naszej strony głupotą? Przecież jedynym pretekstem takiego stanowiska jest to, iż wydaje się nam ona nieprawdopodobna. Czy nie postawiłoby to nas na równi z kapłanami oficjalnej nauki, którzy niegdyś przekonani byli, że to Słońce krąży wokół Ziemi i

jeszcze nie tak dawno uważali, że niemożliwe są loty samolotów, a tym bardziej przekroczenie bariery dźwięku lub bariery cieplnej czy też byli przekonani, że człowiekowi nigdy nie uda się pokonać przyciągania ziemskiego ani też wyruszyć na podbój kosmosu?

A jednak to wszystko nastąpiło, jak również jeszcze wiele innych rzeczy, które oficjalna nauka uparcie ignoruje. Dotyczy to na przykład jednolitej teorii pola, stworzonej przez Townsenda Browna i Alberta Einsteina, w której niewątpliwie kryje się tajemnica zasady działania latających talerzy, do dziś nie uznawanych przez naszych uczonych racjonalistów. A dlaczegożby nie mogły istnieć we wszechświecie istoty równie inteligentne jak my, lecz

194

wyglądające zupełnie inaczej? Nieobcy jest nam przecież przypadek delfinów przejawiających znacznie więcej inteligencji niż wielu spośród nas. Być może pokrewne im istoty żyją gdzieś na jakiejś planecie całkowicie pokrytej wodą. Przed kilkoma milionami lat powierzchnia Ziemi tak właśnie musiała wyglądać.

## **ROZDZIAŁ XII**

### **KOSMICZNE WATERGATE**

Jedną z najpoważniejszych przeszkód, na jakie napotykają badania w dziedzinie UFO, stanowi w większości państw zachodnich wprowadzona przez ich rządy cenzura. Oficjalne czynniki starają się stworzyć pozory, że szukają rozsądnego wytłumaczenia zgłoszonych im setek przypadków zaobserwowania UFO, lecz w rzeczywistości starają się działać tak, aby wszelki słuch o nich prędko zaginął i jako że po latach sprawy te nie budzą już żadnych emocji, są one pozostawiane bez wyjaśnień.

Na przykład we Francji, według ustawy z dnia 3 stycznia 1979 roku i dekretu z 3 grudnia tego samego roku, sporządzone przez żandarmerię protokoły dotyczące UFO mogą zostać ujawnione osobom trzecim, dopiero po upływie sześćdziesięciu lat, dopiero wówczas gdy nie mogą już zakłócić nikogo życia prywatnego, co oczywiście zawsze jest przypadkowe, bo wystarczy, że żyje jeszcze choć jeden świadek, a istnieje wówczas osoba zainteresowana.

196

Gdyby na przykład jakaś pozaziemska cywilizacja wylądowała w ulubionych miastach Julesa Ro-maina, Ambert lub Issoire, musielibyśmy czekać aż sześćdziesiąt lat, aby się o tym dowiedzieć, chyba że nasi goście z kosmosu sami by nas o tym poinformowali, nie prosząc żandarmów o pozwolenie. Proszę nie uważać tego za żart. Mam tu w Kalifornii przed sobą kopię listu z dnia 6 marca 1980 roku, wysłanego do jednego z moich przyjaciół. Nadawcą był dyrektor do spraw żandarmerii i wojskowego wymiaru sprawiedliwości. Urząd ten mieści się w Paryżu, przy ulicy Saint-Didier 35. W liście wyjaśniono, że na uzyskanie informacji, o które mój przyjaciel nierozważnie poprosił, będzie musiał poczekać sześćdziesiąt lat.

Muszę zresztą przyznać, że w Stanach Zjednoczonych sytuacja wcale nie przedstawia się lepiej. Jeden z moich dawnych kolegów, z którym współpracowałem



w dziedzinie badań kosmicznych, William Spaulding, musiał wytoczyć proces CIA, aby zmusić ją do udostępnienia mu 935 stron dokumentów dotyczących tematu UFO. Dokumenty te uznane były kiedyś za TOP SECRET, aie wtedy gdy William Spaulding starał się o wgląd do nich, były już pozbawione tego miana, trudno jest więc zrozumieć opory CIA.

W końcu Spaulding otrzymał większość dokumentów, o które prosił, lecz CIA nadal stanowczo odmawia przekazania mu 57 stron. Tłumaczy to interesem obrony narodowej, choć dokumenty te

197

liczą sobie blisko trzydzieści lat, a poza tym CIA zawsze utrzymywała, że nigdy nie zajmowała się problemem UFO. Dowodzi to jej kłamstw i Spaulding złapał ją na gorącym uczynku, lecz to z pewnością nie zakłóci jej spokoju, gdyż nieraz dopuszczała się czynków o wiele gorszych niż ten.

Teraz jest więc pewne, że CIA zajmowała się zjawiskiem latających talerzy już od chwili pojawienia się ich, to jest od 1947 roku. W 1952 roku powołała zespół ekspertów, którego zadaniem było studiowanie raportów dotyczących latających talerzy pojawiających się, w tamtym roku, nad Waszyngtonem. W 1958 roku amerykański badacz Leon Davidson starał się uzyskać od CIA informacje na temat tych słynnych raportów. Poinformowano go wówczas, że raporty takie nie istnieją i że CIA w ogóle nie rozumie, o czym on mówi.

Spauldingowi udało się teraz wydobyć i te dokumenty, a tym samym udowodnić ich istnienie. Udowodnił on również, że w 1968 roku CIA wystosowała specjalne instrukcje do dwudziestu dwóch amerykańskich ambasad, chąc dowiedzieć się, czy inne kraje również interesują się problemem UFO. Cztery spośród nich dały odpowiedź potwierdzającą. Spaulding odkrył, że CIA była w posiadaniu, liczących ponad dwieście stron, dokumentów na temat sześćdziesięciu przypadków zaobserwowania latających talerzy na obszarze innych krajów.

Dzięki innym odtajnionym dokumentom Spaulding dowiedział się, że problemem UFO zajmowała

198

się intensywnie też inna instytucja państwowa. Była nią DIA, czyli Défense Intelligence Agency, która stworzyła nawet własne archiwa zawierające dokumenty dotyczące tego problemu. Jest mi wiadome, że Spaulding opublikował obszerny raport na temat, liczących 935 stron, dokumentów wydartych siłą CIA, lecz raport ten zaginął. Szukałem go na prośbę mych francuskich przyjaciół, lecz nigdy nie udało mi się zdobyć ani jednego egzemplarza. Przypuszczam, że w chwili obecnej nie ma już po nim żadnego śladu i nawet nie wiem, czy jego autor William Spaulding nadal żyje.

Jednemu z moich przyjaciół z Nowego Jorku udało się przeczytać ten raport i stąd wiem, że dotyczył on, w szczególności, pojazdów UFO pojawiających się ponad bazami lotniczymi i urządzeniami atomowymi. Opisywał on, na przykład, widziany przez setki osób ogromny, opasany rzędem oświetlonych iluminatorów latający talerz o średnicy 30 metrów, który pojawił się w listopadzie 1975 roku ponad elektrownią atomową SAC (Strategie Air Command). Dokumenty te dotyczyły również inwazji

UFO na pięć amerykańskich baz lotniczych w okresie od 29 października do 11 listopada 1975 roku, o czym będziemy mówić dalej.

Cenzura utajniła wiele wydarzeń. Astronauta Gordon Cooper wyjawiał, że pewnego dnia pojazd UFO wylądował na pasie startowym bazy lotniczej Edwards w Kalifornii. Prowadzone są tam najbardziej tajne prace. Na przykład ostatnio dotyczą one

199

wahadłowca kosmicznego, któremu przydarza się chyba najwięcej przykrych niespodzianek. Pomysłodawcą tego genialnego projektu był Werner von Braun. Los sprawił, że zniknął on nagle w momencie, kiedy miały rozpocząć się pierwsze próby i nadal nieobecny, nie może pokierować końcowymi pracami inżynierów. Z pewnością wyjdzie to na korzyść francuskiej rakiecie Ariane. (83)

Latem 1952 roku, podczas dwóch kolejnych weekendów, niezidentyfikowane pojazdy pojawiły się na wszystkich ekranach radarów i przelatywały ponad zabronionym dla ruchu lotniczego obszarem Waszyngtonu. Aby je przechwycić wysłano myśliwce odrzutowe, lecz w efekcie to one były ścigane przez latające talerze i zmuszone do powrotu do baz z pustymi zbiornikami. Jest oczywiste, że informowanie amerykańskiej opinii publicznej o tym wydarzeniu było w owych czasach niemożliwe.

Ostatecznie można nie wierzyć w informacje na temat UFO, dostarczone przez ludzi niewykształconych lub nie znających naszych aktualnych możliwości w dziedzinie aeronautyki. Nie sposób jednak podważyć wiarygodności raportów składanych przez zawodowców, czyli pilotów,uczonych, inżynierów, fachowców obsługujących radary. Należy podkreślić, że wszystkie te raporty są w wielu punktach zbieżne.

Za dnia UFO widoczne są jako okrągłe, metaliczne obiekty zwieńczone kopułą. Widziane z profilu przypominają kształtem soczewkę. Mogą poruszać

200

się z ogromną prędkością rzędu 40 000 kilometrów na godzinę, mogą nagle zatrzymać się lub godzinami, a nawet dniami pozostawać w locie stacjonarym nad jakimś miejscem.

Nocą widzi się je przeważnie jako bardzo jasne światło. Mogą nagle wyłączyć swe światła i tym samym zniknąć z pola widzenia, pozostając jednocześnie ciągle widoczne na ekranach radarów. Mogą również, i to zarówno w dzień, jak i w nocy, pozostawać niewidzialne dla radarów. Stosują do tego na pewno technikę podobną do używanej przez nas od niedawna, którą doskonale znam, jako że brałem udział w jej wynalezieniu, ale której nie opiszę, gdyż oczywiście stanowi ona TOP SECRET. Reasumując, należy przyznać, że latające talerze przeciwstawiają się wszystkim prawom klasycznej fizyki. I to z pewnością jest powodem, dla którego nauka odmawia uznania ich istnienia, gdyż nie jest w stanie tego zjawiska wytłumaczyć.

Najzabawniejszy jest jednak fakt, że te same amerykańskie władze cywilne czy też wojskowe, które utrzymują, że UFO nie istnieje, uważają jednocześnie, że stanowi ono zagrożenie dla bezpieczeństwa kraju i zabraniają swym pracownikom publicznych dyskusji na ten temat. W 1953 roku Pentagon wydał rozporządzenie, we-

dług którego każdy, kto rozpowszechniałby materiały zawarte w oficjalnych raportach na temat UFO, skazany ma być na dziesięć lat pozbawienia wolności. Z tego co wiem, rozporządzenie to nadal

201

jest w mocy, lecz dotychczas nie zastosowano go wobec nikogo.

Z drugiej strony, niektórzy badacze, jak na przykład Allan Hynek, są przekonani, że służby państwowe wiedzą na temat UFO o wiele więcej niż przyznają. Badacze ci określają taką postawę rządu amerykańskiego mianem kosmicznego Watergate. Przed wyborami prezydent Carter, który na własne oczy widział UFO, obiecał, że gdy zostanie prezydentem, ujawni wszystkie informacje na ich temat, ale po wyborach na pewno został przywołany do porządku i nic od tej pory nie opublikowano. A jednocześnie CIA jest w posiadaniu doskonałych dowodów na istnienie UFO dzięki nieprawdopodobnej przygodzie, która spotkała jej agentów, co postaram się pokrótce streścić.

W roku 1959 CIA wysłała dwóch tajnych agentów do Maine, do pewnej kobiety, która twierdziła, że nawiązała kontakt z dowódcą latającego talerza. Gdy agenci przybyli do niej, wprowadziła się w trans na ich oczach i nawiązała kontakt z UFO, pisząc automatycznie to wszystko, co dyktował jej dowódca pojazdu. Obaj agenci zadawali bardzo szczegółowe pytania z dziedziny techniki, a ona otrzymywała na nie bardzo sensowne odpowiedzi.

Napisała również, że dowódca chciałby wejść w bezpośredni kontakt z jednym z agentów, a wtedy jeden z nich również wszedł w trans i sam zaczął zapisywać wiadomości od dowódcy. Gdy obaj agenci powrócili do Waszyngtonu i opowiedzieli swym

202

szefom o tej przygodzie, omal nie zostali uwięzieni. Ale potem zmieniono decyzję i postanowiono zorganizować w siedzibie CIA seans z udziałem sześciu świadków.

Agent, który wprowadził się w trans w Maine, uczynił to ponownie i znowu udało mu się nawiązać kontakt z dowódcą latającego talerza. Obecni przy tym świadkowie, posiadający o wiele więcej niż on informacji na temat UFO, rozpoczęli zadawanie bardzo szczegółowych pytań dotyczących pochodzenia pojazdu i powodów jego obecności na Ziemi. Otrzymali na nie satysfakcjonujące ich odpowiedzi, takie których ich agent sam nie byłby w stanie wymyślić.

Następnie, gdy dyrektorzy CIA zażądali namacalnego dowodu, dowódca pojazdu polecił, aby wyjrzeni przez okno. Ujrzeni wówczas wspomniały, o najbardziej typowych kształtach latający talerz z umieszczonymi naokoło bulajami i zwieńczony kopułą. Przez chwilę pojazd pozostawał nieruchomo przed oknem, po czym w oka mgnieniu zniknął, nie pojawiając się nawet na ekranie radaru National Airport, znajdującego się w Waszyngtonie obok siedziby CIA. A więc szefowie tej szacownej instytucji nie dowiedzą się nigdy czy śnili, czy też na własne oczy widzieli latający talerz.

Jednocześnie rząd amerykański, już od samego początku, liczył się z ewentualnością pozaziemskiego charakteru latających talerzy oraz ogromnego zagrożenia dla bezpieczeństwa kontynentu amerykańskiego, a nawet dla całego globu ziemskiego,

jakie mogłyby one stanowić, ale nadal stanowczo neguje ich istnienie. Z tego właśnie powodu od przeszło trzydziestu lat rząd karmi nas kłamstwami, chcąc tym samym uniknąć paniki, do której mogłoby dojść, gdyby naród poznał prawdę. Jednocześnie gromadzone są tajne dokumenty zawierające wszystkie informacje na temat tych tajemniczych pojazdów. Ażeby to zrozumieć, musimy się cofnąć o blisko trzydzieści lat.

Dnia 19 lipca 1952 roku przed północą, gdy zdawało się, że nic nie zagraża bezpieczeństwu Waszyngtonu, na niebie pojawiła się nagle eskadra latających talerzy. W ciągu wielu godzin tajemnicze pojazdy krążyły na niskiej wysokości i z niewielką prędkością ponad Białym Domem, Pentagonem i siedzibą CIA. Natychmiast wysłano myśliwce. Początkowo na cel naprowadzały ich radary znajdujące się na ziemi, potem gdy myśliwce wystarczająco zbliżyły się do tajemniczych pojazdów - radary pokładowe. Nagle ścigane pojazdy odleciały z zawrotną prędkością, oszacowaną przez pilotów na jakieś przeszło 20 000 kilometrów na godzinę.

Jak można to sobie wyobrazić, w stolicy Ameryki wybuchła totalna panika i to zarówno wśród cywili jak i wśród wojskowych. Najbliższy tydzień upłynął tam na supertajnych zebraniach zwoływanych w celu podjęcia decyzji odnośnie działań, jakie należałoby podjąć w tej sytuacji. W tydzień później, 26 lipca około godziny 22.30 latające talerze ponownie pojawiły się nad Waszyngtonem. W pościg za nimi

204

ponownie ruszyły myśliwce, i to zarówno z bazy w Waszyngtonie, jak i ze znajdującej się po przeciwnej stronie rzeki Potomac bazy Langley.

Ale tym razem latające talerze nie zniknęły z chwilą pojawienia się myśliwców. Zaczęły natomiast igrzać z nimi, wyczyniając przedziwne akrobacje, błyskając różnokolorowymi i pulsującymi światłami, gasnącymi od czasu do czasu, w chwili gdy jakiś myśliwiec zbliżał się do nich. Ale nawet wtedy pilot myśliwca widział na ekranie swojego radaru niewidoczne w ciemnościach pojazdy. W końcu, z powodu braku paliwa, myśliwce musiały powrócić do bazy i tak wspaniały pokaz lotniczy dobiegł końca.

Przez wiele następnych dni dodzwonienie się do Waszyngtonu było całkowicie niemożliwe. Od rana do nocy wszystkie linie były stale zajęte. Starano dowiedzieć się, co właściwie się wydarzyło oraz jakie są zamierzenia rządu. To właśnie wtedy wydano instrukcję nakazującą absolutne milczenie w sprawach dotyczących UFO oraz rozpoczęto największą w historii kampanię kłamstw i kamuflażu, nazwaną później aferą kosmicznego Watergate.

CIA powołała najpierw komisję Robertsona. W jej skład weszło pięciu znanych naukowców, pracujących już wcześniej dla potrzeb rządu i gotowych wypełniać wszelkie jego polecenia. W ciągu pięciu dni poświęcili oni dwanaście godzin na różne zebrania, obejrżeli projekcje filmów ukazujące lecące pojazdy i przeczytali kilka raportów, ale najwięcej czasu spędzili na zapoznawaniu się z instrukcją CIA

205

oraz jej sugestiami na temat wniosków, które według niej powinny znaleźć się w ich protokołach.

Jak można się było spodziewać, raport komisji był dokładnie taki, jakiego życzyła sobie CIA. Zjawiska obserwowane w powietrzu nie przedstawiały żadnego zagrożenia państwowego, lecz raporty dotyczące tych zjawisk mogłyby zakłócić porządek publiczny lub też funkcjonowanie służb państwowych, jak to już miało miejsce w Waszyngtonie, gdzie miliony jednoczesnych połączeń telefonicznych omal nie doprowadziły do zablokowania wszystkich rządowych, cywilnych i wojskowych sieci łączności, a w konsekwencji do sparaliżowania działalności rządu, co mogłoby doprowadzić do wystawienia narodu na pastwę ataku psychologicznego i wrogą propagandę nieprzyjaciela.

Mówiąc inaczej, latające talerze nie stanowiły żadnego bezpośredniego zagrożenia, ale panika, którą mogły one wywołać, zagrażała bezpieczeństwu państwa. W sumie dalekie to było w tamtych czasach od przesady. Mogłoby to też częściowo tłumaczyć powody podjętych następnie, w gruncie rzeczy śmiesznych, decyzji. W zasadzie teoria taka zgodna jest z ostatnio wygłoszonymi poglądami Jacquesa Vallée, według których zjawisko latających talerzy mogłoby stanowić ogromne przedsięwzięcie przeprowadzone przez tajny ruch polityczny, dysponujący znacznymi zasobami finansowymi, mający na celu manipulację masami, co doprowa-

206

dzić miałyby do powstania paniki i przejęcia przez ten ruch władzy w większości państw zachodnich.

Wydawało się więc, że mogłoby to wtedy tłumaczyć postawę rządu amerykańskiego. Lecz kiedy pojazdy ukazywały się w sposób coraz efektowniejszy, a nawet zdarzały się coraz częściej, władze amerykańskie podjęły bezsensowną decyzję. Zamiast szczerze przyznać, co niewątpliwie spotkałoby się z ogólną aprobatą, że UFO istnieje, ale jak do tej pory nie znaleziono na nie żadnego wytłumaczenia, zdecydowano w 1966 roku zainwestować wiele milionów dolarów na to, by sobie zjednać grupę mało znanych naukowców z uniwersytetu w Colorado i obarczyć ich zadaniem udowodnienia, że latające talerze nie istnieją.

Grupą tą była słynna komisja Condon, której skandaliczny raport z 1969 roku, negujący istnienie UFO, tylko głęboko oburzył społeczeństwo, które niemal codziennie widziało je przelatujące ponad swoimi głowami. Po opracowaniu raportu, wszystkie akta dotyczące obserwacji UFO zostały złożone do szafy, a następnie przeniesione do domu Condon, gdzie niewiele później, w tajemniczych okolicznościach, wybuchł pożar i doszczętnie strawił wszystkie dokumenty. Należy przypuszczać, że kłamstwa Condon zostały sownie opłacone, jako że on sam, nawet na łożu śmierci, uparcie twierdził, że latające talerze istnieją tylko w wyobrażeniach tych, którzy chcieliby je zobaczyć.

Ale istnieją one naprawdę, co, jak sądzę, wykazałem już w poprzednich rozdziałach tej książki.

207

Spółeczeństwo jest coraz bardziej przekonane o ich istnieniu i zaniepokojone powodem ich obecności na Ziemi oraz dręczy je pytanie, czy i w jaki sposób ta obecność mogłaby zmienić nasze przeznaczenie. Ludzi wcale nie przeraża UFO. Wydaje się nawet, że pociąga ich to tajemnicze zjawisko, a niektórzy nawet życzyliby

sobie, aby kosmici wylądowali na Ziemi i to jak najprędzej.

Świadczy o tym fantastyczny sukces, jaki odnoszą filmy oraz programy telewizyjne poświęcone tematowi latających talerzy i cywilizacji pozaziemskich, w których również i ja wielokrotnie uczestniczyłem, a także książki na ten temat, wydawane na całym świecie w milionowych nakładach. Nawet czasopisma tak ważne, jak na przykład „Omni”, poświęcają tym tajemniczym pojazdom co miesiąc specjalną rubrykę, a nawet publikują wywiady z autorami książek na ten temat, między innymi z Jacquesem Vallée, czy też ze mną.

Jest więc najzupełniej pewne, że wielu Amerykanów wie już o istnieniu latających talerzy i o tym, że pojawiają się one na niebie niemal codziennie, nie wyrządzając nikomu żadnej krzywdy. Wszystko wskazuje więc na to, że nie ma powodów do niepokoju. Działania władz amerykańskich są zatem całkowicie pozbawione racji bytu. Ich służby zrobiłyby o wiele lepiej ujawniając szczerze całą prawdę i przyznając, że nie są jeszcze zdolne wytłumaczyć istnienia tego tajemniczego zjawiska. Najprawdopodobniej uwierzono by w takie wyjaśnienie.

208

## ROZDZIAŁ XIII

### PRZECIWNICY

Książka tego rodzaju co ta nie byłaby kompletna oraz z pewnością straciłaby wiele na znaczeniu, gdyby autor zadowolili się tylko przedstawieniem argumentów potwierdzających istnienie latających talerzy, a nie wspomnieli nawet o argumentacji negującej istnienie tego zjawiska oraz o tych, którzy bronią takiego stanowiska. Dlatego też w tym rozdziale, bez względu na mój osobisty stosunek do tematu, postaram się być niejako „advokatem diabła” i zaprezentować argumenty strony przeciwnej.

Zjawisko UFO, które jeszcze niedawno było ignorowane przez amerykańskie kręgi naukowe, stało się obecnie problemem społecznym, religijnym, politycznym i naukowym, którego nie sposób dalej nie zauważać. Można w nie wierzyć lub nie, lecz trudno jest zdystansować się do tego zjawiska, a już najbardziej - pozostać obojętnym na to wszystko, co dzieje się wokół.

209

Zrozumiała to doskonale redakcja amerykańskiego czasopisma „Omni” udostępniając swe szpalty zarówno obrońcom idei latających talerzy, jak i ich przeciwnikom. Jak na razie, wszyscy czterej czołowi autorzy publikujący artykuły na ten temat, pracowali dla potrzeb NASA i żaden z nich nie jest pochodzenia amerykańskiego.

Po stronie przeciwników latających talerzy znajdziemy takie nazwiska jak James Oberg, z pochodzenia Niemiec, i Carl Sagan, urodzony w Rosji. Pierwszy z nich co miesiąc publikuje w czasopiśmie „Omni” kronikę anty-UFO zatytułowaną „Ufo Update”, gdzie w sposób dowcipny i, należy to przyznać, z dużą lekkością, drwi

sobie z latających talerzy oraz z tych, którzy o nich donoszą. Carl Sagan natomiast opublikował w „Omni” w sierpniu 1979 roku bardzo dobry artykuł na ten temat, o którym będziemy jeszcze dalej mówili.

Po stronie obrońców latających talerzy spotkamy Jacquesa Vallée oraz mnie. Obaj jesteśmy amerykańskimi naukowcami francuskiego pochodzenia, obaj też jesteśmy informatykami, specjalistami w dziedzinie łączności w przestrzeni kosmicznej i obaj też pracowaliśmy nad amerykańskimi programami badań w kosmosie. Lecz pomimo tego pozornego podobieństwa, obaj traktujemy problemy UFO w zupełnie innych perspektywach.

Czasopismo „Omni” opublikowało w styczniu wywiad, jaki Christopher Evans przeprowadził z Jacquesem Vallée, a teraz, w czerwcowym numerze

210

opublikowało wywiad, którego ja udzieliłem Charlesowi Berlitzowi. Zbiegło się to z ukończeniem prac nad niniejszą książką i wysłaniem maszynopisu do mojego paryskiego wydawcy, co skądinąd uważam za dobrą wróżbę. Można uznać, że czasopismo to jest całkowicie bezstronne, jeśli chodzi o problem latających talerzy. Ja również postaram się być obiektywny, przedstawiając teraz argumenty przeciwników moich idei.

James Oberg już w pierwszym numerze „Omni” z października 1978 roku zaatakował zwolenników latających talerzy. Już w swym pierwszym artykule podważył wiarygodność zdjęcia przedstawiającego UFO, zrobionego 30 czerwca 1973 roku z pokładu samolotu Concorde podczas zaćmienia Słońca. W ślad za nim poszły kolejne zdjęcia, najpierw wykonane 4 czerwca 1965 roku przez astronaukę Jamesa Mac Divitt z pokładu Gemini 4 (zaprezentowałem to zdjęcie w pierwszej z moich książek), potem - zrobione ostatnio w Peru wspaniałe zdjęcie przedstawiające latający talerz, nie mówiąc już o zdjęciu wykonanym w Trójkącie Bermudzkim przez Charlesa Berlitzę.

Oberg przypomniał, że czasopismo „National Enquirer” zaofiarowało nagrodę w wysokości miliona dolarów dla osoby, która dostarczyłaby niepodważalnego dowodu na istnienie latających talerzy, a niejaki Cutty Sark, producent whisky przeznaczył nawet dwa miliony na ten cel, ale jak do tej pory nikt jeszcze się nie zgłosił. Ci hojni ofiarodawcy

211

w gruncie rzeczy wiele nie ryzykują, gdyż udowodnienie istnienia latających talerzy jest równie niemożliwe, jak udowodnienie istnienia Boga.

Ale fakt, że nikt się nie zgłosił, sprawił, że Oberg wywnioskował, że latające talerze także są tylko fikcją. Było to zresztą zgodne z oficjalnym stanowiskiem NASA oraz z przekonaniem wydawcy czasopisma „Aviation Week” Philipa Klasa, reprezentującego oczywiście oficjalne stanowisko amerykańskich sił powietrznych. Było jasne, że wybuchła wojna pomiędzy dwiema przeciwnymi siłami, zwolennikami i przeciwnikami latających talerzy.

Na łamach następnych numerów czasopisma Oberg zaatakował Betty Hill oraz podważył wiarygodność narysowanej przez nią mapy nieba, sugerując, że wymyśliła to wszystko sama. Jednocześnie trzeba nadmienić, że Betty Hill, która zupełnie nie

zna się na astronomii, jest prostą urzędniczką, a jej mąż jest urzędnikiem pocztowym. Następnie Oberg zajął się astronautą Gordonem Cooperem i widzianymi przez niego latającymi talerzami, które widywał jako pilot lotnictwa w Europie i Kalifornii, a potem z pokładu statków kosmicznych Mercury i Gemini. Z pewnością, według NASA, Gordon Cooper za dużo mówił i osiągnął zbyt dużą popularność.

Potem przyszła kolej na znaną wróżkę Jeanne Dixon. Twierdziła ona, że kosmici wyjawią nam wszystkie swe tajemnice w sierpniu 1977 roku. Genialna wróżka ten jedyne raz pomyliła się. Na-

212

stępnie Oberg ostro zaatakował prezydenta Jimmy Cartera, który i bez tego nie narzekał na brak problemów. Oskarżył go o kłamstwo. Sugerował, że to co wraz z innymi świadkami prezydent widział 6 stycznia 1969 roku w Leary w stanie Georgia było planetą Wenus, a nie jak utrzymywał UFO. Takie stanowisko zgodne było oczywiście z orientacją CIA i NASA.

Przyszła też kolej na astronauce Michaela Collinsa przekonanego, iż 19 lipca 1966 ujrzał latający talerz ponad Australią. Według Oberga i tym razem chodziło zapewne o planetę Wenus. Proszę sobie wyobrazić naukowca równie kompetentnego w dziedzinie astronomii, jak Michael Collins, który pomyliłby Wenus z latającym talerzem. Dodatkowo trzeba jeszcze powiedzieć, że owego dnia Wenus znajdowała się mniej niż 30 stopni od Słońca, a Collins ujrzał pojazd w środku nocy. Istnieją pewne granice, których nie należy przekraczać, dotyczy to również NASA czy CIA. Trudno byłoby znaleźć lepszy przykład ukazując złą wolę Jamesa Oberga i zatrudniającej go amerykańskiej administracji.

Zresztą, według Oberga, wszyscy nagminnie mylili latające talerze z Wenus i to zarówno w Ohio, jak w Georgii, czy też Pensylwanii. Oczywiście nie zrezygnuję z czytania tego czasopisma, które darzę dużym uznaniem, ale dostaję gęziej skórki za każdym razem, gdy czytam rubrykę „Ufo Update”, na którą James Oberg otrzymał chyba wieczystą koncesję.

213

Jednocześnie przyzwyczaiłem się już do niej tak bardzo, że chyba by mi czegoś brakowało, gdyby James Oberg przestał do niej pisywać. Badania nad UFO z pewnością potrzebują też i ludzi takich jak on, abyśmy nabrali przekonania, że najmniejszy błąd w tej materii jest niewybaczalny. Z tego, co wiem, Oberg nadal pracuje dla NASA i jest przez nią sownie opłacany. A więc proszę postawić się na jego miejscu!

Przypadek dotyczący Carla Sagana jest o wiele bardziej złożony. Carl Sagan jest bowiem wartościowym naukowcem i nawet geniuszem. Obie te cechy bardzo u niego podziwiam. Zna bardzo dobrze język rosyjski i w 1966 roku przetłumaczył i wydał książkę „Intelligent Life In The Universe”, której był współautorem u boku radzieckiego uczonego Sergiusza Szkłowskiego. Książka stała się bestsellerem. Głosiła ona przekonanie co do obecności innych cywilizacji we wszechświecie oraz przekonanie, że niektóre z nich na pewno kontaktowały się w odległej przeszłości z naszymi przodkami.

Carl Sagan niewątpliwie został przywołany do porządku przez swych kolegów i zwierzchników naukowych. Może o tym świadczyć fakt, że wkrótce wydał wiele



innych książek, ale już coraz rzadziej zajmował się problemami cywilizacji pozaziemskich, a poświęcał się problemom klasycznej astronomii oraz fizyki w przestrzeni kosmicznej. Przeszedł całkowicie na stronę przeciwników UFO, a problem pozaziemskich cywilizacji czy też pojaz-

214

dów porusza tylko wówczas, gdy podważa ich wiarygodność. Ostatnio opublikował książkę na temat słynnego francuskiego chirurga Broca. Rozważania na temat ludzkiego mózgu z pewnością tak nie zagrożą jego akademickiej karierze, jak rozprawy na temat latających talerzy.

Poświęcam tu wiele miejsca Carlowi Saganowi, pomimo iż całkowicie nie zgadzam się z jego przekonaniami. Czynię to dlatego, iż uważam, że zdolny jest on zakłócić rozwój ufologii. Przede wszystkim jest bardzo inteligentny i bardzo dobrze zna swą dziedzinę naukową. Poza tym występuje często w telewizji amerykańskiej i zawsze, bez względu na temat audycji potrafi jakby mimochodem zahaczyć żartem o ufologię. Muszę jednak przyznać, że czasami operuje argumentacją, która skłania do przemyśleń. (33)

Uważa mianowicie, że gdyby istotnie przed milionami lat astronauta pochodzący z jakiejś wysoko rozwiniętej cywilizacji przybyli na Ziemię, pozostawiliby nam dowody bardziej przekonujące niż megality z Bimini, Baalbek czy Tiahuanaco. Niektórzy współcześni fizycy jądrowi uważają, że dla bardzo ciężkich jąder atomowych istnieje pewien przedział nierozpadalności. Dotyczy on jąder o budowie zbliżonej do budowy teoretycznego jądra atomowego złożonego ze 114 protonów i 184 neutronów, to znaczy 298 nukleonów.

Wszystkie pierwiastki chemiczne cięższe od uranu, którego jądro zawiera 238 nukleonów, roz-

215

padają się samorzutnie z charakterystycznymi dla siebie prędkościami, określonymi przez ich okresy połowicznego rozpadu, które są na tyle krótkie, że jesteśmy w stanie proces ten zaobserwować. Ale fizycy uważają, że mają podstawy sądzić, że jądro złożone z 114 protonów i 184 neutronów mogłoby tworzyć pierwiastek nierozpadalny.

Jako że stworzenie takiego sztucznego pierwiastka przekracza nasze aktualne możliwości, odkrycie na Ziemi jego próbki oznaczałoby, że stworzyli go astronauta pochodzący z innej planety. Jak do tej pory, nikt nie odnalazł takiego pierwiastka i Sagan wywnioskował stąd, że to doskonale dowodzi, iż na Ziemię nigdy tacy astronauta nie przybyli. Moim zdaniem nie dowodzi to niczego, gdyż złoża takiego pierwiastka mogą znajdować się na głębokości wielu setek metrów pod powierzchnią ziemi lub na dnie oceanów, czy też pod lodami biegunów, które na przestrzeni ostatnich kilku milionów lat setki razy zmieniały swe położenie.

Podobnie mogła przedstawiać się sprawa technetu, którego najtrwalsza postać składa się z 99 protonów i neutronów. Pierwiastek ten traci połowę swej radioaktywności w ciągu 200 000 lat, w ciągu następnych 200 000 traci dalszą połowę tego, co zostało, i tak aż do chwili, gdy jego radioaktywność całkowicie zanika. A więc biorąc pod uwagę fakt, że Stwórca, będący też kosmitą, stworzył technet przed kilkoma miliardami lat, na Ziemi nie powinno już być nawet śladu tego

pierwiastka. Idąc dalej w roz-

216

ważaniach możemy dojść do wniosku, że gdyby ten pierwiastek znaleziono teraz na Ziemi oznaczałoby, iż został on sztucznie stworzony przez przybyszów z kosmosu. Można by też było z łatwością określić czas, kiedy go stworzono. W rzeczywistości nie odnaleziono nigdy technetu w stanie naturalnym, a w razie potrzeby jesteśmy zmuszeni sami wytworzyć go sztucznie.

Istnieją również na Ziemi dobrze znane i pospolite pierwiastki, jak na przykład ołów i aluminium, których nie można ze sobą połączyć. Jeżeli stopimy razem oba te metale, ołów opadnie na spód, a aluminium utrzymywając się będzie na powierzchni. Metale te nie utworzą stopu, jako że działa na nie siła ciężkości. Jeśliby jednak przeprowadzić to samo doświadczenie w przestrzeni kosmicznej, gdzie siła ta nie występuje, wówczas uda się stopić ze sobą oba te metale uzyskując różne stopy, których gęstość będzie się wahała pomiędzy gęstością aluminium a gęstością ołowiu. Jeżeli kiedyś odnajdziemy na Ziemi informację zapisaną przez nieznaną cywilizację na płytce wykonanej z podobnego stopu, świadczyć to będzie, iż płytka ta musiała zostać wykonana w kosmosie przez istotę pozaziemską.

Z drugiej strony, gdybyśmy odnaleźli jakąś bardzo starą płytkę wykonaną nawet ze złota czy z platyny, zawierającą jakąś wskazówkę, że ówczesna wiedza naukowa była co najmniej na poziomie, jaki my obecnie osiągnęliśmy, stanowiłoby to dowód na istnienie w przeszłości cywilizacji równie

217

rozwinętej jak nasza. W takim przypadku Carl Sagan zgodziłby się zaakceptować jakąś postać równań Maxwella, czy też jakąś odmianę przekształcenia Lorentza, które nasi przodkowie przekazywaliby sobie wiernie przez tysiące lat nie rozumiejąc ich i uznając je za przekazane przez bogów święte teksty, podobnie jak tablice prawa mojżeszowego czy szczerozłote tabliczki proroka mormonów Josepha Smitha.

Do tego momentu całkowicie zgadzam się z Carlem Saganem, bowiem już od wielu, wielu lat wertuję stare legendy i wszystkie dawne teksty, włącznie z Biblią, w poszukiwaniu dowodów na istnienie w przeszłości wiedzy naukowej niemożliwej do samodzielnego osiągnięcia przez naszych przodków, a przekazanej zapewne przez gości z kosmosu. Odnalazłem już tego wiele przykładów. Niektóre z nich omówiłem już na kartach moich poprzednich książek, inne natomiast czytelnicy znajdą w mojej nowej książce, która już wkrótce się ukáže.

Moim zdaniem, najbardziej frapujący przykład takich niewytłumaczonych osiągnięć naukowych stanowi przypadek Dogonów. Również i Carl Sagan jest tego samego zdania, uznając go jednocześnie za jedyny istniejący przykład w tej materii. Dogoni to Murzyni mieszkający nad rzeką Niger, w Mali, na obszarze dawnej Afryki Zachodniej. (48) Uważają oni, że ich przodkowie w zamierzchłych czasach przybyli na Ziemię z planety znajdującej się w układzie planetarnym Syriusza. Dlatego też Dogoni od

218

dawna znają wiele szczegółów na temat Syriusza i to takich, jakie my mogliśmy dopiero niedawno poznać za sprawą ostatnich odkryć naszych astronomów. Wiedzą

oni na przykład, że Syriuszowi towarzyszy jeszcze jedna, niewidoczna dla nas gwiazda, o wiele mniejsza i znacznie od niego cięższa oraz, że obie te gwiazdy nawzajem krążą wokół siebie po orbicie eliptycznej z okresem obrotu równym pięćdziesiąt lat. (60)

Według Dogonów istnieje jeszcze trzecia gwiazda krążąca z okresem obrotu równym 32 lata wokół dwóch poprzednich, po orbicie prostopadłej do ich orbity. Tej gwiazdy nasi astronomowie jak dotąd jeszcze nie odkryli. Mógłbym tak długo jeszcze wyliczać szczegóły zagadkowej wiedzy Dogonów, nie wyczerpując do końca tego tematu, ale uczyniłem to już w jednej z moich poprzednich książek. (83)

Tym co najbardziej różni mnie od Carla Sagana w podejściu do tematu zagadkowej wiedzy naszych przodków jest jego stosunek do osiągnięć naukowych Sumerów, Egipcjan i Majów. Potwierdza on mianowicie nadzwyczajną wiedzę naukową Dogonów, ale odmawia jej wymienionym wyżej kulturom insynuując, że przekazać im ją mogli przed stu laty chrześcijańscy misjonarze. Wydaje się to śmieszne, biorąc pod uwagę fakt, iż owi misjonarze znacznie lepiej znali katechizm niż zagadnienia z dziedziny astrologii.

Niedawno pożegnaliśmy dwóch zaciekle przeciwników idei latających talerzy Edwarda Condon

219

i Donalda Menzla, co nie było zresztą poważną stratą dla rozwoju nauki. Niestety, odeszli od nas również świetni sprzymierzeńcy tej idei - Werner von Braun, Jacques Bergier, Jean Sendy i Robert Charrou, którzy święcie wierzyli w istnienie pozaziemskich cywilizacji oraz latających talerzy i z całych swych sił starali się o tym przekonać innych.

Wśród przeciwników ufologu można wyróżnić trzy odrębne kategorie reprezentujące trzy podstawowe grupy, składające się na to, co Amerykanie nazywają „establishmentem”, czyli na tak zwaną „władzę”. Wspominałem już o wyraźnej cenzurze uprawianej przez kręgi naukowe oraz przez tajne służby. Chciałbym teraz poruszyć sprawę bardzo dyskretnej, lecz jakże skutecznej cenzury nałożonej przez kościoły chrześcijańskie, posługując się tu dwoma przykładami dotyczącymi mojej pierwszej książki.

Po ukazaniu się jej w Paryżu w 1975 roku udzieliłem wywiadu bardzo błyskotliwemu dziennikarzowi pracującemu dla dużego paryskiego dziennika katolickiego. Zgodnie z jego prośbą, udałem się w południe na spotkanie z nim do jego redakcji. Zaprosił mnie na obiad do małej, nastrojowej restauracyjki w dzielnicy Ternes, gdzie odbyliśmy blisko pięciogodzinną, porywającą dyskusję.

Nagle dziennikarz przypomniał sobie, że musi jeszcze przed zamknięciem wstąpić do redakcji. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że stanął on dokład-

220

nie o godzinie dwunastej, czyli w momencie, gdy podaliśmy sobie dłonie na powitanie. Popatrzył na mnie dziwnym wzrokiem, po czym wybuchnął śmiechem. Być może pomyślał sobie, że posiadam jakieś nadprzyrodzone właściwości. Udał się do swej redakcji, a ja do dziś nie wiem, czy udało mi się tak skutecznie przekonać go o swych racjach, czy też może opowiedział redakcyjnemu inkwizytorowi historię o

zegarku, dość że wywiad ze mną nigdy się nie ukazał, a owa gazeta nigdy nie wspomniała o mojej książce. (44)

Dwa lata później, gdy książka ta ukazała się po raz pierwszy w języku angielskim w Nowym Jorku, udzieliłem wywiadu pewnemu, już nie tak błyskotliwemu dziennikarzowi pracującemu dla wielkiego, konserwatywnego dziennika z Los Angeles. Twierdził on, że moja książka wydała mu się bardzo interesująca, lecz zaskoczył go fakt, że nie poruszam w niej problemu Boga. Na moje nieszczęście wyjaśniłem mu, że jestem przekonany o pozaziemskim pochodzeniu Boga, a Elohim, hebrajskie słowo występujące w Biblii, które zostało przetłumaczone jako Bóg, w rzeczywistości jest słowem w liczbie mnogiej i powinno zostać przetłumaczone jako Bogowie, to znaczy przybysze z nieba. Nastawienie dziennikarza uległo natychmiastowej zmianie i zrozumiałem, że powiedziałem zbyt wiele. Oczywiście wywiad ten nigdy się nie ukazał, a gazeta nie wspomniała słowem o mojej książce, co zresztą wcale nie zaważyło na powodzeniu jej sprzedaży

221

w Kalifornii. Zdaję sobie sprawę, iż nie można podobać się wszystkim, a bywa, że budzące się wątpliwości dotyczące ustanowionej interpretacji słów Biblii mogą głęboko urażać uczucia religijne niektórych osób.

## **ROZDZIAŁ IV**

### **WYDARZENIA Z LAT 1975-76**

Zapoznamy się teraz z pewną zaskakującą serią wydarzeń dotyczących latających talerzy. Miała ona miejsce na przestrzeni ostatnich pięciu lat. Składają się na nią 63 przypadki. Rozpocznijmy od wydarzeń z lat 1975 i 1976. Zostały one uporządkowane zgodnie z wcześniej już omawianym systemem. Na końcu każdej relacji umieszczona jest w nawiasie liczba, której cztery ostatnie cyfry odnoszą się do daty wydarzenia, przedstawionej według kalendarza juliańskiego, podobnie jak czyni się to w astronomii, w odniesieniu do wydarzeń z zamierzchłej przeszłości.

Pierwsze wydarzenie miało miejsce dnia 13 sierpnia 1975 roku w Alamogordo w stanie Nowy Meksyk. Sierżant Charles Moody odbywający służbę wojskową w bazie lotniczej Holloman, wybrał się samochodem na pobliskie pustkowia. Chciał zobaczyć Perseidy, czyli widzialny w tym miejscu co roku deszcz spadających gwiazd, pochodzących praw-

223

dopodobnie z gwiazdozbioru Perseusza. Po czterdziestominutowym bezowocnym oczekiwaniu zdecydował się powrócić do domu.

I właśnie wtedy zauważył nagle, na tle bardzo jasnego nieba, metaliczny obiekt w kształcie dysku. Obiekt poruszał się szybko, kierując się prosto na niego. Wskoczył więc do samochodu i bezskutecznie próbował uruchomić silnik. Wokół roztaczał się spowijający go dziwny blask przemieniający się w mgłę. Stracił przytomność.

Gdy odzyskał świadomość, natychmiast wrócił do domu. Stwierdził, że zegar

wskazywał czas o godzinę i dwadzieścia minut późniejszy niż sądził. Nie przypominał sobie, co mogło wydarzyć się w tym czasie. W jakiś czas później odzyskał pamięć. Przypomnił sobie, że zanim stracił przytomność, ujrzał dwie dziwaczne istoty wychodzące z dziwnego pojazdu. Zbliżały się one do niego jakby płynąc w powietrzu. Odniósł takie wrażenie, gdyż ich stopy nie dotykały ziemi.

Humanoidzi byli niskiego wzrostu. Mieli szarawą skórę, duże głowy, duże, bardzo ciemne, okrągłe i bardzo głęboko osadzone oczy. Ubrani byli w białe, obcisłe kombinezony okrywające całe ciało z wyjątkiem głowy i dłoni. Bardzo dobrze mówili po angielsku, lecz mówiąc nie poruszali wargami. Te niezwykle istoty rozebrały go, ułożyły na stole i poddały badaniom lekarskim. Następnie uwolniły go i odprowadziły do samochodu. Silnik sam uruchomił się natychmiast i Moody powrócił do domu.

224

Jak można się było spodziewać, nikt nie uwierzył w opowieść sierżanta Moody'ego; ani koledzy, ani tym bardziej zwierzchnicy. Moody zgodził się poddać różnym testom. Wykazały one jego prawdomówność, a więc istotnie musiała mu się taka przygoda przydarzyć. »2638«

Dnia 29 października 1975 roku nieznany pojazd wylądował na pasie startowym, nieopodal składu amunicji, w bazie lotniczej Limestone w stanie Maine. »2715« Dnia 31 października 1975 roku w bazie lotniczej Oscoda w stanie Michigan zaobserwowano nieznany pojazd pozostający w locie stacjonarnym ponad pasem startowym znajdującym się w pobliżu składu amunicji. Na ekranach radarów śledzono, jak odlatywał ponad jeziorem Huron. »2717«

Dnia 5 listopada 1975 roku sześciu strażników leśnych lasu Sitgreaves piło kawę w leśnej wieży obserwacyjnej. Siódmy strażnik Travis Walton udał się na swój codzienny obchód. Nagle strażnicy ujrzeli oślepiające, niebieskie światło i latający talerz unoszący się szybko ponad rozświetlonym lasem. Natychmiast wyruszyli na poszukiwania swego kolegi. Poszukiwania w ogromnym lesie trwały kilka dni i nocy. Do akcji włączono nawet samoloty i śmigłowce, jednak nie odnaleziono go. (83)

Po sześciu dniach Travis pojawił się w miejscu oddalonym o około dwadzieścia kilometrów od miejsca zniknięcia. Miał lukę w pamięci. Gdy poddano go hipnozie, przypomniał sobie, że jakies

225

dziwne istoty zabrały go na przejażdżkę pojazdem przypominającym kształtem talerz. Po kwadransie odstawiły go z powrotem do lasu. Tak więc kwadrans spędzony w latającym talerzu, trwał na Ziemi sześć dni. Stanowi to zatem jeszcze jeden przypadek ściśnięcia czasu w przestrzeni. »2722«

Dnia 8 listopada 1975 roku, obsługujący radar w bazie lotniczej Malstrom w stanie Montana, przez godzinę śledzili na ekranie pojazd lecący na wysokości około 3000 metrów z prędkością mniejszą niż 20 kilometrów na godzinę. Wysłano mu naprzeciw myśliwce. Wówczas pojazd zniżył swój lot do wysokości 60 metrów ponad powierzchnię ziemi i wygasił wszystkie światła, po czym włączył je ponownie i wystartował pionowo z ogromną prędkością »2725«.

Dnia 10 listopada 1975 roku nad bazą lotniczą Max w stanie Północna Dakota

pojawił się błyszczący obiekt o wielkości ciężarówki. Obiekt wielokrotnie przeleciał na wysokości 300 metrów ponad bazą, wydając przy tym dźwięk podobny do szumu pracującego silnika elektrycznego. »2727«

Dnia 11 listopada 1975 roku operatorzy radarów w bazie lotniczej Falconbridge w stanie Ontario, zauważyli ogromny, kulisty pojazd o średnicy co najmniej 30 metrów. Pojazd ten posiadał iluminatory. Leciał na zmieniającej się od 10000 do 20000 metrów wysokości. Był doskonale widoczny przez lornetkę. Myśliwce i śmigłowce na próżno rzuciły się za nim w pościg, gdyż pojazd nagle zniknął. »2728«

226

Następne wydarzenie miało miejsce dnia 6 stycznia 1976 roku około godziny 23.30 w Stanford, w stanie Kentucky. Trzy mieszkanki Liberty wracały z restauracji w Lancaster, gdzie świętowały urodziny jednej z nich. Louise Smith, Elaine Thomas i Mona Stafford wyszły z restauracji około godziny 23. Jechały wąską, krętą drogą. Było dość chłodno, ale niebo było bardzo jasne.

Samochód prowadziła Louise. W środku siedziała Mona, a Elaine z boku, przy oknie. Gdy minęły stary, kamienny mur, spostrzegły nagle na pewnej wysokości przed samochodem dość silne, czerwone światło. Jego jasność szybko rosła, aż stało się ono oślepiające. Nieznany obiekt szybko zniżył się, ustawiając się w locie stacjonarnym z prawej strony nad samochodem. (72)

Kobiety spostrzegły wówczas, że obiekt ten był w kształcie dysku i posiadał rząd okrągłych bulajów otoczonych małymi, pulsującymi, czerwonymi światełkami. Światełka zapalały się kolejno w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Od spodu dysk posiadał rząd umieszczonych poziomo świateł w żółtym kolorze. Zwieńczony był przezroczystą, świecącą na niebiesko kopułą w kształcie półkuli.

Oślepiające światło kopuły odbijało się od metalicznej powierzchni pojazdu. Jego średnica wynosiła przeszło 30 metrów. Nie wydawał on żadnego dźwięku. Ogromny pojazd zniżył się powoli nad samochód, ustawiając się z jego prawej strony. Następnie przechylił się o 45 stopni i wykonując

227

przed przerażonymi kobietami pół okrążenia, przemieścił się przed samochodem na lewo, ukazując swój dyskowaty spód.

Nagle pod pojazdem rozbłysły ostrym, niebieskim światłem cztery reflektory. Trzy z nich skierowane były na jezdnię, czwarty na samochód. Wewnątrz samochodu stało się jasno jak w dzień. Louise zgasiła silnik. Elaine otworzyła drzwiczki z prawej strony i postawiła nogę na ziemi. Mona wciągnęła Elaine do samochodu i zamknęła drzwiczki. Od tej chwili żadna z tych trzech kobiet nie pamięta tego, co się następnie wydarzyło.

Louise przypomina sobie, że ponownie włączyła silnik i wkrótce spostrzegła na prędkościomierzu 140 kilometrów na godzinę. Zdjęła nogę z pedału gazu, lecz prędkość nie uległa zmianie. Wtedy nacisnęła na hamulec, ale to też nie pomogło. Spróbowała lekko poruszyć kierownicą w lewo i w prawo, lecz samochód nadal mknął prosto, jak gdyby leciał ponad krętą drogą pełną wybojów. To co trzy kobiety widziały przed samochodem było bardzo dziwne. Mknęły po długiej, prostej jezdni. Nie było widać białej linii pośrodku ani żadnych świateł, domów, samochodów

jadących z przeciwnika, ani niczego, co przypominałoby krajobraz tej okolicy. Zapewne znalazły się nagle w zupełnie innym świecie i być może też w innym czasie.

Potem wszystko powróciło do normy. Samochód z włączonymi reflektorami znalazł się na właściwej drodze, jechał z prędkością mniejszą niż 100 kilo-

228

metrów na godzinę, pozwalającą na pokonywanie zakrętów i tłumienie wstrząsów na wybojach. Widać było drzewa rosnące na poboczu i samochody jadące z naprzeciwka. Trzy kobiety poznały, że znajdują się wreszcie w dobrze im znanym otoczeniu. Wszystkie trzy odczuwały silny ból głowy i oczu oraz czuły, że są poparzone na całym ciele.

Znajdowały się w miejscu, gdzie powinny się były znajdować, lecz nie o właściwej porze. Po powrocie do domu Louise stwierdziła, że elektryczny zegarek w salonie wskazuje godzinę 1.25. Jej ręczny zegarek pokazywał szóstą. Mona była bez zegarka, a zegarek Elaine stanął. Na budziku w sypialni również była 1.25. Droga z Lancaster do Liberty powinna zająć im około pięćdziesięciu minut. Biorąc pod uwagę czas wskazany przez zegar elektroniczny, zaistniała godzinna luka w czasie. Trzy kobiety nie były w stanie przypomnieć sobie tego, co się wówczas wydarzyło. Według ręcznego zegarka Louise luka ta obejmowała aż 5 i pół godziny.

Myśląc że oba zegary w jej domu stanęły i chcąc dowiedzieć się dokładnej godziny, Louise obudziła sąsiadów. Ale i ich zegary wskazywały tę samą godzinę. Zauważyła wówczas, że coś dziwnego stało się z jej papugą. Zwykle, gdy zbliżała się do klatki, papuga ufnie podchodziła do niej. Teraz, gdy tylko podeszła, papuga uciekła w głąb klatki. Louise zrozumiała wówczas, że musiało jej się przydarzyć coś absolutnie nadzwyczajnego i niezwykłego.

229

Nazajutrz wszystkie trzy obudziły się w nie najlepszej formie. Ból głowy stał się jeszcze bardziej dotkliwy. Dzień później Louise postanowiła pojechać samochodem do pracy. Okazało się, że akumulator był zupełnie rozładowany. Musiała go wymienić. Okazało się też, że zbiornik na paliwo był niemal całkowicie pusty. Musiała zatankować paliwo. Udała się na stację benzynową. Gdy skręcała, na rogu ulicy zatrzymał ją samochód policyjny. Powodem było niewłączenie kierunkowskazu. Ale Louise prawidłowo włączyła kierunkowskaz. Okazało się jednak, że nie działał, podobnie jak i wszystkie inne przednie i tylne światła. Wszystkie żarówki były bowiem przepalone. Louise padła ofiarą nieznanych sił elektromagnetycznych.

Wszystkie trzy kobiety chcąc dowiedzieć się, co im się właściwie przydarzyło pamiętnej nocy, wielokrotnie poddawały się hipnozie. Jej rezultaty nie były jednak zadowalające, gdyż kobiety podświadomie opierały się wszystkim zadawanym pytaniom, jak gdyby jakaś tajemnicza siła nakazywała im milczenie. Jednocześnie wszystkie trzy przypominały sobie, że leżały zupełnie nagie na długim stole. Nieznośny upał palił im skórę i oczy, a one nie mogły nawet poruszyć ani głową, ani ręką, ani nogą.

Przypominały sobie również cztery dziwne istoty o wielkich, fiołkowych oczach. Istoty te poruszały się jakby płynąc wokół stołu, na którym one leżały.

Przeprowadzający wywiad pokazali im wykonane przez inne osoby, mające kontakt z UFO, szkice

230

przedstawiające humanoidów. Na Louise nie zrobiło to żadnego wrażenia, ale Mona i Elaine natychmiast wskazały na rysunek najbardziej przypominający istoty, które tamtej nocy poddały je kompleksowym badaniom lekarskim, ukierunkowanym specjalnie na ich narządy rozrodcze.

Jest wielce prawdopodobne, że wszystkie te kobiety zostały zgwałcone przez humanoidów, wydaje się bowiem, że zachowały bardzo złe wspomnienie tej przygody. Odmawiają również przeprowadzania dalszych seansów hipnotycznych, a nawet nie chcą już więcej mówić na ten temat. Z pewnością boją się, że mogłyby niechcący wyjawić więcej szczegółów, które bardzo głęboko musiały nimi wstrząsnąć i które udało im się ukryć przed wywiadowcami, a także przed przyjaciółmi. »2784«

Wydarzenie z dnia 22 marca 1976 roku w Nemin-ga w Australii miało trzech świadków: parę siedzącą w samochodzie oraz kierowcę ciężarówki. Pojazdy te stały na parkingu przed ratuszem. Trzy znajdujące się w nich osoby spostrzegły nadjeżdżający mały, biały samochód z zapalonymi reflektorami. I wtedy właśnie samochód ten spowiło najpierw jasne, zielone światło, potem gęsta, biała mgła, a reflektory zgasły.

Po chwili mgła opadła. Jakaś kobieta wysiadła z samochodu i zaczęła przecierać żółtą ściereczką przednią szybę pokrytą jakąś substancją. Po kilku minutach kobieta zamierzała już wsiąść do samochodu. Reflektory jej samochodu same zapaliły się.

231

Zaskoczona odrzuciła daleko żółtą ściereczkę, a ta natychmiast sama się zapaliła. Wtedy kobieta wsiadła do samochodu i odjechała w kierunku Nundle, odprowadzana oniemiałymi spojrzeniami świadków, którzy widzieli również, jak jakiś dziwny obiekt znika z ogromną prędkością w chmurach. »2860«

Dnia 22 czerwca 1976 roku w Galdar na Wyspach Kanaryjskich, pięćdziesięciu wiarygodnych świadków, w tym jeden lekarz i trzech astronomów, ujrzano około godziny 22 ogromną, jasnoniebieską, przezroczystą kulę. Widać było przez nią gwiazdy. Kula na niebie pojawiła się nagle, zbliżyła się do nich i utrzymywała się jakby zawieszona w locie stacjonarnym na wysokości około jednego metra ponad ziemią.

Zauważono wewnątrz kuli dwie dziwne osoby ubrane w czerwone kombinezony. Uwagę zwracały ich wielkie, błyszczące oczy. Istoty te krzątały się przy czymś, co przypominało pulpity sterownicze. Sprawiały wrażenie, że starają się usunąć jakąś awarię. Zupełnie nie zwracały uwagi na ciekawie przyglądających się im ludzi. Po kilku minutach tajemniczy pojazd wystartował i równie szybko jak się pojawił - zniknął. »2952«

Dnia 23 czerwca 1976 roku około godziny 23.30 w Aricanduva w Brazylii, osiemnastoletni José Álvés Continho wracał z zajęć liceum wieczorowego. Nagle spostrzegł na niebie bardzo jasne światło. Światło zbliżało się do niego i zatrzymało się kilka



metrów przed nim. José chciał rzucić się do ucieczki, ale nieruchomo tkwił w jednym miejscu.

Światło osłabło i wyłoniła się z niego jakaś istota niskiego wzrostu. Miała ona ogromną głowę, wielkie oczy, nos podobny do świńskiego ryjka, małe usta i ogromne uszy. Była zupełnie łysa. José machinalnie odwrócił się w jej kierunku. Poczul, że unosi się coraz wyżej nad ziemią. Pamięta, jak płynął ponad słupami przewodów elektrycznych, po czym stracił przytomność.

Odzyskał ją dopiero wewnątrz nieznanego, ogromnego pojazdu. Pojazd ten miał przeszło 200 metrów długości. Wnętrze obiektu było w kolorze metaliczno-szarym. José leżał na stole. Wokół stało dziewięcioro humanoidów. Trzy były płci żeńskiej. Dano mu do zrozumienia, że nic mu nie grozi z ich strony. Aby go o tym przekonać, humanoidzi pokazali mu na ekranie to, co w tym momencie robili jego rodzice i narzeczona. Ujrzał, jak szukają go sądząc, że przepadł już na zawsze.

Humanoidzi wyjaśnili mu, że na planecie, z której przybywają, nie utrzymuje się kontaktów seksualnych. Dzieci tworzy się w laboratoriach i to dla spełniania ściśle określonych przez ich społeczeństwo zadań. Oznajmili mu, że zbadali go już w stopniu zadowalającym i wkrótce odprowadzą go z powrotem na Ziemię. Stracił przytomność. Odzyskał ją leżąc na szpitalnym łóżku w Tatu-ape, miejscowości znajdującej się w pobliżu Arican-duva.

Dowiedział się wtedy, że zniknął na blisko dwadzieścia cztery godziny. Szukano go wszędzie. W końcu odnalazł go ojciec. José leżał w ogrodzie za domem. Był w bardzo złym stanie. Jęczał. Był bardzo głodny, a długopisy, które miał w kieszeni stały się radioaktywne. Książki i zeszyty leżały porozrzucane na ulicy, dokładnie w tym miejscu, z którego uprowadził go kosmita.

José nie zdecydował się poddać hipnozie. Z pewnością dlatego, iż stara się być posłuszny instrukcjom przekazanych mu przez porywaczy. Lecz wszyscy, którzy go przesłuchiwali, uznali, że mówi prawdę i że istotnie musiał zostać uprowadzony przez humanoidów. Poza tym istnieje świadek, który przechodził w momencie powrotu José na Ziemię obok jego domu. Ujrzał wówczas unoszącą się ponad nim świetlistą kulę. »2953«

Dnia 30 sierpnia 1976 roku w Danbury w stanie Connecticut policjant Elston Dodge patrolował ulice jeżdżąc radiowozem. Nagle spostrzegł na niebie tajemniczy obiekt. Powiadomił o tym przez radio swych kolegów. Po kilku minutach sześciu policjantów oraz setki innych osób przyglądało się ewolucjom, jakie wykonywał w powietrzu ów tajemniczy, oświetlony różnokolorowymi światłami pojazd. Światła migotały, gasły i rozbłyskiwały ponownie. Wielu osobom udało się go sfotografować. Kształt tego pojazdu przypominał żelazko do prasowania. »3021«

Dnia 18 września 1976 roku około godziny 22 w Iranie, w Teheranie pojawił się nagle nad miastem

ogromny, tajemniczy pojazd. Natychmiast wysłano za nim w pościg myśliwiec Phantom z dwuosobową załogą. Jednak po szaleńczym pościgu samolot zmuszony

był powrócić do bazy. Okazało się, że zbiorniki paliwowe miał niemal puste, a jego system łączności i kontroli strzałów całkowicie nie nadawał się do użytku. (83)

Wysłano więc następny. Po dwugodzinnym pościgu, kiedy to osiągał on prędkość przeszło 2000 kilometrów na godzinę, również i ten samolot musiał powrócić do bazy, gdyż i jego urządzenia łączności i kontroli strzałów nie nadawały się do użytku. Poza tym, prawie nie miał już paliwa. Zablokowanie się systemów elektronicznych obu samolotów na tak niewielkim odcinku lotu jest w dobie osiągnięć dzisiejszej nauki równie niewytłumaczalne, jak nagłe zniknięcie w przestworzach owego tajemniczego pojazdu. »3040«

Dnia 27 października 1976 roku w Cagliari na Sardynii, dwaj włoscy piloci wojskowi prowadzący na wysokości około 300 metrów dwa śmigłowce spostrzegli nagle kulisty obiekt. Był on w kolorze pomarańczowym, z fioletowym pasem pośrodku. Leciał prosto na nich. Piloci połączyli się z wieżą kontrolną. Kontroler potwierdził ich obserwację dodając jednocześnie, że od pewnego czasu śledzi ten obiekt przez lornetkę.

Nagle, gdy tajemniczy obiekt znajdował się już w odległości 300 metrów od ich śmigłowców, zatrzymał się i natychmiast z ogromną prędkością

235

odleciał w przeciwnym kierunku. Na oczach obu pilotów i pracownika wieży kontrolnej wykonał manewr absolutnie niewykonalny dla pojazdu sterowanego przez człowieka. Każdy ziemski pojazd rozsypałby się bowiem w takim przypadku w drobny mak. »3079«

Dnia 23 listopada około godziny 1 w nocy w Plymouth w stanie Nowy Jork, wiele wiarygodnych osób ujrzało, przelatujący z ogromnym hałasem ponad miastem, wielki pojazd w kształcie żelazka do prasowania. Pojazd oświetlony był od przodu na czerwono, od spodu widać było siedem białych świateł, a z tyłu liczne pulsujące zielone i czerwone światełka. Pojazd miał około 30 metrów długości i 20 metrów szerokości. Na całym jego obwodzie widoczny był rząd oświetlonych okienek. Nagle pojazd zniknął z oczu równie niespodziewanie, jak wcześniej pojawił się na niebie. »3106«

Dnia 2 grudnia 1976 roku około godziny 9 rano w Charleston w Południowej Karolinie przerażający hałas obudził pewnego robotnika - Williama Hermanna. Pośpiesznie wyszedł on z domu, by sprawdzić, co się wydarzyło. Ujrzał ogromny, srebrzysty obiekt o kulistym kształcie, unoszący się w powietrzu ponad słupami wysokiego napięcia. Na pewno w ten sposób ładował swoje akumulatory lub kondensatory, podobnie jak czyniło to przed nim już wiele innych latających talerzy. Dziewięć godzin później, już o zmroku, pewna kobieta, jadąc wraz

236

z córką samochodem na przejażdżkę, ujrzała ten sam obiekt nad Elysburg w Pensylwanii. Pojazd od przodu oświetlony był białymi światełkami, a z tyłu wydobywało się bardzo silne, niebieskie światło. Było to ostatnie godne uwagi wydarzenie w roku 1976. » 3115 «

## ROZDZIAŁ XV

## WYDARZENIA ROKU 1977

Rok 1977 również obfitował w przypadki pojawienia się pozaziemskich pojazdów. Uznałem więc, że należałoby tu przytoczyć te najbardziej godne uwagi. Dnia 21 stycznia 1977 roku w Bogocie, stolicy Kolumbii, jeden z pilotów kolumbijskiego towarzystwa lotniczego Avianza - Gustavo Fer-reira, posiadający przeszło dwudziestoletni staż pracy, wykonywał nocny lot z Bogoty na wyspę San Andres na Zatoce Meksykańskiej. Nagle ujrzał ogromny pojazd w kształcie cygara. Tajemniczy pojazd był co najmniej dwukrotnie większy od jego Boeinga 727 i przemieszczał się z ogromną prędkością. Oświetlony był migającymi na przemian żółtymi i zielonymi światłami.

Ferreira, zaskoczony tym widokiem, włączył i wyłączył reflektory swego samolotu. Ze zdumieniem stwierdził, że pojazd odpowiedział na jego sygnały zapalając i gasząc w podobnym rytmie wszystkie swoje światła. Kontroler ruchu powietrznego, śle-

238

dzący ów pojazd na ekranie radaru wieży kontrolnej w Bogocie, oniemiał widząc ogromną różnicę istniejącą pomiędzy prędkością samolotu a prędkością tajemniczego obiektu. Jego prędkość przekraczała znacznie 10000 kilometrów na godzinę, co wskazywało, że nie mógł być to żaden pojazd pochodzenia ziemskiego. W ciągu kilku sekund obiekt przemierzył obszar śledzony na radarze i zniknął również z zasięgu wzroku pilota. »3165«

Dnia 8 lutego 1977 roku w Huron Park w stanie Michigan Karl Hatcher, strażnik miejskiego parku, wychodząc nocą po pracy do domu ujrzał pojazd w kształcie talerza. Obiekt znajdował się w odległości 100 metrów od niego. Miał około 10 metrów średnicy i zwieńczony był półkolistą kopułą, wkoło której umieszczone były oświetlone bulaje. Pojazd tkwił w locie stacjonarnym, jakby zawieszony ponad parkiem. Trwało to kilka minut, po czym nagle, z ogromną prędkością wystartował pionowo do góry i zniknął w przestworzach. »3183«

Dnia 10 lutego 1977 w Detroit w stanie Michigan jeden z reporterów radiowych Marc Avery jadąc samochodem wraz z żoną Connie autostradą na peryferiach miasta spostrzegł ogromny pojazd kierujący się dokładnie na jego samochód. W pierwszej chwili Marc chciał wjechać do rowu po prawej stronie, aby tym samym zwolnić jezdnię. Sądził bowiem, że jest to uszkodzony samolot, który stara się wylądować na autostradzie.

239

Ale w tym momencie tajemniczy pojazd zatrzymał się dokładnie nad ich głowami, trwał tak przez chwilę, utrzymując się w locie stacjonarnym. Był podłużny i o wiele większy od Boeinga 747. Marc zatrzymał się przy pierwszej napotkanej budce telefonicznej. Połączył się z rozgłośnią radiową i na gorąco podzielił się ze słuchaczami wrażeniami ze swej nieprawdopodobnej przygody, która mu się przed chwilą przydarzyła. Jego reputacja nie została zagrożona dzięki innym telefonom od radiosłuchaczy, którzy również spostrzegli ten dziwny pojazd i natychmiast

zadzwonili do rozgłośni dzieląc się swymi spostrzeżeniami. » 3185«

Dnia 2 marca 1977 roku w Romulus w stanie Michigan Chester Bailey, jadąc samochodem wraz z narzeczoną Lynn Holley spostrzegł dziwny pojazd znajdujący się w odległości około 400 metrów przed jego samochodem. Pojazd przemieszczał się szybko, prosto na nich. W chwili gdy wydawało się, że kolizja jest już nieunikniona, zrozpaczony Chester zaczął migać światłami swojego samochodu. Tajemniczy obiekt zatrzymał się w miejscu, a następnie odleciał w przeciwnym kierunku. W ciągu następnych tygodni otrzymano około pięćdziesięciu zgłoszeń podobnych wydarzeń. Kilka z nich miało miejsce na przeciwnym brzegu rzeki, w Kanadzie. »3205«

Dnia 3 marca 1977 roku w Pittsburgu w Pensylwanii zauważono w Highland Park, w pobliżu miasta ogromny latający talerz o średnicy co naj-

240

mniej 10 metrów. Glen Ricci i Claire Gallery zatrzymali się nad jeziorem. Ponad nim ujrzeli tkwiący nieruchomo pojazd. Wcześniej pojawił się on nad miastem. Obiekt skierował silne światło na ich samochód. Po chwili ogromny pojazd powoli oddalił się. Wydawał przy tym dźwięk podobny do hałasu turbiny silnika odrzutowego. Tamtego wieczoru zauważyło go wiele osób. W siedzibie lokalnej gazety rozdzwoniły się telefony. Rozmówcy opisywali ten dziwny pojazd. Relacje dotyczące jego rozmiarów i innych szczegółów były bardzo ze sobą zbieżne. »3206«

Dnia 10 marca 1977 roku w Sugar Creek w stanie Missouri emerytowany pilot wojskowy Glenn Con-field, będąc wraz z żoną i dwoma synami w samochodzie, zauważył ogromny srebrzysty pojazd. Z przodu umieszczony miał reflektor, z tyłu wydobywały się płomienie. Pojazd powoli zniżał lot nad doliną. Potem z dużą prędkością uniósł się pionowo w górę i nagle zniknął. Widziało go również wiele innych osób, które zgłosiły to policji podając niezależnie identyczne opisy pojazdu. »3213«

Dnia 19 kwietnia 1977 roku w Broad Haven w Walii około 2 w nocy właścicielka hotelu Rosa Granville spokojnie słuchała radia. Nagle radioodbiornik zamilkł. Po chwili usłyszała dochodzący z zewnątrz głuchy dźwięk. Spostrzegła duży, błyszczący dysk oświetlający całą okolicę. Dysk zbliżał się z dużą prędkością i wylądował około 100 metrów za hotelem. Był okrągły i przykryty świetlistą kopułą.

241

Z kopuły wyszły dwie wysokie istoty. Musiały mieć przeszło 2 metry wzrostu. Ubrane były w kremowe kombinezony. Miały wielkie nogi i ręce. Ich stopy chyba były płetwiaste, a dłonie pozbawione palców, ale być może byli tylko w rękawicach. Przeszło kwadrans kręcili się wokół swego pojazdu. Rosa próbowała obudzić jednego z gości hotelowych. Trwało to dość długo i gdy wreszcie zszedł do niej, latającego talerza wraz z załogą już nie było. » 3253 «

Również w Broad Haven nocą 21 kwietnia 1977 roku Pauline Coombs siedziała na kanapie w salonie i oglądała telewizję. Jej mąż Billy drzemał obok niej. Za oknem ujrziała pulsujące światło. Pomyślała, że to samochód. Billy obudził się i podszedł do okna. Paulina słysząc jego krzyk podbiegła do niego.

Za oknem spostrzegli ogromną, blisko trzymetrową istotę. Musiała mieć taki

wzrost, gdyż pomimo iż górna krawędź okna była na wysokości 2,5 metra nad ziemią, głowa olbrzyma była dla nich niewidoczna, gdyż znajdowała się ponad górną futryną okna. Nieznajomy pukał w okno. Małżonkowie byli przerażeni. Również ich pies Blackie pełen niepokoju skrył się w kącie. Billy wezwał policję. Wkrótce przybyło do nich dwóch policjantów, ale olbrzym zniknął bez śladu. Policjanci nie sprawiali jednak wrażenia zdziwionych opowieścią o wielkoludzie, gdyż w ciągu kilku ostatnich nocy wydarzyło się w okolicy już kilka podobnych przypadków.

Nazajutrz rano Billy wraz z żoną Pauline oraz dwiema córkami Joannę i Layanne obeszlą teren

242

wokół swej farmy. Znaleźli ślady ogromnych, długich na 60 centymetrów stóp, prowadzące do miejsca, gdzie trawa była wygnieciona i częściowo wypalona. Ślad ten był idealnie okrągły.

Następnej nocy Pauline, leżąc już w łóżku, starała się usnąć. Nagle spostrzegła ponad sobą dziwne światło. Poczula, że coś wsysa ją z ogromną siłą, której nie sposób jest się przeciwstawić. Straciła przytomność. Odzyskała ją po kilku godzinach. Przypomniała sobie wówczas, że została uprowadzona do wnętrza latającego talerza. Znalazła się tam w sali, której sklepienie stanowiła kopuła. Pauline pamięta też, że jakieś dwie dziwne istoty pochylały się nad nią.

Inne jej wspomnienia są bardzo niejasne i nie jest ona w stanie przypomnieć sobie dokładnie, co się wydarzyło. Córki zauważyły na jej lewym ramieniu ślad po zastrzyku. Nie potrafiła jednak tego wyjaśnić, lecz nigdy nie chciała poddać się hipnozie. Być może również i ona ma niejasne odczucie, że w tym latającym talerzu została zgwałcona przez humanoidea i wolałaby nigdy się o tym nie upewnić. »3255«

Dnia 24 kwietnia 1977 roku w Crab Island w Brazylii czterej rybacy spali w kabinie kutra rybackiego. Dwunastometrowej długości kuter stał częścią kadłuba na mieliźnie rzeki przepływającej obok São Luis, stolicy stanu. Bracia José, Firminio i Apolinario Sousa oraz ich kuzyn Aureliano Alves spali tak głęboko, że nie spostrzegli jak przypływ

243

zniósł ich łódź. Zaspali aż pięć godzin. Gdy obudzili się, spostrzegli, że Firminio i Aureliano leżą na dwóch krańcach kabiny, ale tak jakby zamienili się miejscami. José Sousa nie żył. Na jego ciele nie było widać najmniejszego śladu obrażeń. Aureliano był dotkliwie poparzony na ramionach i pośladkach. Lewe ramię Firminia oparzone było do tego stopnia, że nie mógł nim poruszyć. Natomiast Apolinario nie miał na ciele żadnych śladów oparzenia, ale był zupełnie otepiały.

Trzej rybacy, którzy przeżyli to zdarzenie, nie byli w stanie przypomnieć sobie, nawet pod wpływem hipnozy, co się wówczas wydarzyło. Mieli tylko niejasne wspomnienie dotyczące jakiejś ognistej kuli. Istotnie, wiele osób widziało wtedy w okolicy taką kulę. Niektórzy z nich doznali licznych oparzeń, a nawet ulegli utrzymującemu się przez pewien czas paraliżowi. Fakty te podkreślają wiarygodność opowieści rybaków. »3258«

Dnia 25 kwietnia 1977 roku w Pampa Luscoma w Chile kapral Armando Valdés,

wraz z całym plutonem, pełnił nocną wartę w pobliżu posterunku wojskowego znajdującego się u zbiegu granicy chilijskiej, peruwiańskiej i boliwijskiej. Około godziny 4 nad ranem żołnierze spostrzegli owalny obiekt wysyłający fioletowe światło. Obiekt kierował się prosto na nich. Zdumieni patrzyli, jak Valdés idzie w jego stronę i znika im z oczu jednocześnie z tajemniczym pojazdem. (83)

244

Zgodnie z tym, co twierdzili, kształt obiektu przypominał talerz. Oddalony był od nich o około 500 metrów. Jego średnica przekraczała chyba 20 metrów. Talerz otoczony był czerwonymi światłami, które wydawały się krążyć wokół niego, emitując przy tym oślepiające, fioletowe światło. Gdy Valdés zniknął, koledzy wszędzie go szukali, ale nie odnaleźli nawet najmniejszego śladu jego istnienia.

Valdés pojawił się po kwadransie. Nie był jednak w stanie opowiedzieć, co mu się przydarzyło. Pomimo iż ogolił się przed kwadransem, miał teraz pięciodniowy zarost, a datownik jego ręcznego zegarka ustawiony był pięć dni do przodu. Wniosek nasuwał się tylko jeden. Valdés przebywał przez pięć dni w kosmosie, chociaż dla jego kolegów, którzy widzieli jego zniknięcie upłynęło na Ziemi zaledwie piętnaście minut, czyli sto razy krótszy czas. Zdarzenie to ukazuje bardzo rzadko spotykany przypadek rozciągnięcia czasu w przestrzeni. »3259«

Dnia 17 maja 1977 roku w Memphis w stanie Tennessee pięciu doborowych policjantów, członków brygady do walki z gangami, zauważyło ogromny, trójkątny pojazd spokojnie krążący, około godziny 3 w nocy, ponad miastem. Wiarygodność takich właśnie świadków jest absolutnie niepodważalna. Pojazd najpierw krążył nad linią wysokiego napięcia, potem nad polem golfowym. Posiadał białe, czerwone i zielone światła. Na każdym z boków trójkąta znajdowały się oświetlone okienka. Ten gigantycznych rozmiarów pojazd zauważyli

245

również i inni policjanci w innych częściach miasta. Nie został jednak wykryty przez znajdujący się na lotnisku radar. » 3281 «

24 sierpnia 1977 roku w Hyeres w departamencie Var we Francji Marcel Cortès spędzał noc w swoim laboratorium fotograficznym. Było około godziny 3 w nocy. Skończył właśnie wykonywanie odbitek, które miały być gotowe na rano następnego dnia. Stał w otwartym oknie i palił papierosa. Nagle ponad wzgórzem Castebelle dojrzał wielką, świetlistą kulę. Kula toczyła się poziomo z prawej na lewą stronę. Pospiesznie sięgnął po aparat i udało mu się zrobić dwa zdjęcia. Wywołał je natychmiast i zaraz zrobił odbitki. Zauważył wówczas szczegóły, których nie widział gołym okiem. Kształt obiektu był typowy dla latających talerzy i przypominał planetę Saturn. Zdjęcia te opublikował 26 sierpnia dziennik „Nice-Matin”. »3380«

Dnia 29 sierpnia, niedługo po północy, w Sturno we Włoszech siedmiu mężczyzn spacerowało po wzgórzach nieopodal swej wioski. Nagle spostrzegli humanoida olbrzyma. Ubrany był w srebrzysty kombinezon i hełm. Olbrzym usiłował porozumieć się z nimi wykonując różne gesty i mrugając szybko swymi pomarańczowymi oczyma. Wyglądało to tak, jakby przysyłał im alfabetem Morse'a jakąś wiadomość. Oczywiście, nie zrozumieli jej.

Humanoid starał się więc porozumieć z nimi wydając dziwne dźwięki o różnych

wysokościach. Uniósł rękę w kierunku nieba, na pewno by wskazać

246

kierunek, z którego przybył. Wydawało się, że nie działa na niego siła ciężkości, gdyż szedł w kierunku mężczyzn po zboczu, nie pochylając się tak jak my. Jego ciało ustawione było zawsze prostopadle do ziemi.

Spotkanie trwało przeszło trzy godziny, lecz ludzie nie zdołali zrozumieć tego, co humanoid rozpaczliwie usiłował im przekazać. Wskazał im wówczas latający talerz ze świetlistą kopułą i rzędem oświetlonych bulajów. W końcu tajemniczy olbrzym zrezygnował z prób porozumienia się z nimi. Nagle skierował na nich silny strumień białego światła, które rozświetliło całe wzgórze. Mężczyznom wydało się, że światło wychodziło z czoła olbrzyma. Przerażeni uciekli w stronę wsi.

Następnego dnia rano powrócili na miejsce tajemniczego spotkania. Olbrzyma ani pojazdu już tam nie było, lecz odkryli nadzwyczajny ślad pozostawiony na ziemi - trzy okręgi tworzące trójkąt równoramienny o podstawie równej 6 metrów i 5-metrowych bokach. Średnica każdego z okręgów wynosiła 21 centymetrów. W środku każdego z nich widoczne były trzy zagłębienia tworzące mały trójkąt. Podobnie jak ślad z Marliens we Francji czy z Santa Monica w Hiszpanii, również i ten trójkątny ślad ze Sturno mógł zawierać ukryty komunikat matematyczny z kosmosu. Jest to bowiem trójkąt równoramienny, utworzony przez dwa trójkąty prostokątne o bokach równych trzy, cztery i pięć, podobne do tych, które odnajdujemy w konstruk-

247

cjach wszystkich starożytnych budowli na całym świecie. »3385«

Dnia 13 września 1977 roku w Mayaguez na wyspie Puerto Rico dwaj policjanci Cestar Garcia i Ramon Ramirez około godziny 21 patrolowali plażę. Ujrzeni wówczas, znajdujące się w odległości kilku kilometrów, na pełnym morzu, tuż ponad wodą duże, pomarańczowe, świetliste kule. Kule toczyły się wznosząc się i opadając, czasami zanurzały się w wodzie i zaraz znowu się ukazywały.

Do policjantów dołączył wkrótce zatrudniony na plaży sprzedawca hamburgerów Juan Perez. Przez wiele godzin przyglądali się temu dziwnemu zjawisku. Wkrótce dołączyły do nich setki osób. Jedna ze świetlistych kul zniknęła około godziny 3 w nocy. Nikt nigdy nie był w stanie wyjaśnić tego zjawiska. »3400«

Dnia 20 września 1977 roku około godziny 4 rano idący do pracy robotnicy portowi w Pietrozawodsku w północnej części ZSRR spostrzegli na niebie ogromny pojazd w kształcie meduzy. Świetliste promienie, które pojazd kierował na ziemię, budziły skojarzenie z czułkami jamochłona. Ludzie w popłochu rozbiegli się po mieście sądząc, że grozi im atak jądrowy ze strony Amerykanów. Wkrótce jednak całe miasto wyległo na ulice i patrzyło na odbywający się na ich oczach nieprawdopodobny pokaz.

Wyrządził on, niestety, wiele szkód. Laserowe wiązki światła uszkodziły wiele szyb i spowodowały

248

nawet powstanie dziur w ścianach domów. Badaniem tego zjawiska zajęli się dwaj słynni radzieccy uczeni Aleksander Kazanczew i Władimir Azaza, którzy określili

przybliżoną wielkość tajemniczego pojazdu. Obiekt ten widziany był również około godziny 3 w nocy nad Helsinkami. Najprawdopodobniej jego średnica wynosiła co najmniej 100 metrów, co sugeruje fakt, iż jego wielkość niewiele się różniła od wielkości stojącego przy kei statku o długości 150 metrów, ponad którym pojazd przemieścił się na niewielkiej wysokości. Ich długości wydawały się prawie identyczne.

Olbrzymi pojazd zawisnął nad miastem. Trwało to około piętnastu minut. Potem odleciał na południowy wschód, w kierunku jeziora Onega, gdzie wysunął się z jego wnętrza inny, już o wiele mniejszy pojazd. Następnie tajemniczy obiekt zniknął w chmurach. W ciągu następnych sześciu miesięcy powrócił jeszcze ze dwadzieścia razy, ale nie wyrządził już żadnych szkód, a mieszkańcy Pietrozawodska w końcu przyzwyczaili się nawet do jego obecności. Dwaj znani radzieccy uczeni Aleksiej Zołotow i Feliks Ziegel oświadczyli z głębokim przekonaniem, że był to na pewno pozaziemskiego pochodzenia latający talerz. »3407«

Dnia 22 września 1977 roku około północy w El Paso w Teksasie George Didlake - pilot pracujący w Continental Airlines siedział za sterami samolotu DC-10 lecącego pomiędzy El Paso i San Antonio. Nieoczekiwanie, po swej prawej stronie ujrzał rząd

249

oświetlonych okienek. Początkowo sądził, że to był jakiś inny samolot, chociaż w zasadzie żaden samolot nie mógłby znajdować się w tak niewielkiej odległości. Nagle tajemniczy pojazd gwałtownie przyspieszył osiągając niewyobrażalną prędkość, wyprzedził go i zniknął w chmurach jakieś 20 kilometrów przed nim. George Didlake zdążył zauważyć, że pojazd był dwukrotnie dłuższy od jego DC-10 i musiał mieć przeszło 100 metrów długości.

Po kilku sekundach pilot ponownie ujrzał ten sam pojazd, ale oddalony już o przeszło 100 kilometrów i będący na pewno na wiele większej wysokości, gdyż oświetlały go od dołu pierwsze promienie wschodzącego słońca, podczas gdy samolot Didlake'a nadal jeszcze pogrążony był w mroku nocy. Według George'a Didlake'a prędkość tajemniczego pojazdu była tak wielka, że rakieta Apollo zdawałaby się przy nim stać w miejscu, a przecież wiemy, że jej prędkość przelotowa wynosiła 40 000 kilometrów na godzinę. Pojazd ten nie pojawił się na ekranie żadnego radaru na ziemi, co wskazuje, iż musiał być on wyposażony w system ochrony elektromagnetycznej równie doskonały jak nasze. »3409«

Dnia 26 października 1977 roku około godziny 6 rano w Salisbury w Anglii, dwoje policjantów Chris Bazire i Vivienne White patrolowali radiowozem ulice miasta. Spostrzegli wówczas dziwny pojazd, jakby zawieszony w powietrzu na wysokości 200 metrów nad ziemią. Był on oddalony o około 3 kilometry od miejsca, w którym znajdowali się

250

policjanci. Kształt pojazdu przypominał kapelusz grzyba. Obiekt miał płaski spód i zaokrąglony wierzch. Był w kolorze pomarańczowym i posiadał dwa rzędy prostokątnych, nieoświetlonych okienek.

Niebo było bezchmurne i było już na tyle jasno, że nie trzeba było używać świateł. Policjanci przez kilka minut obserwowali oddalający się powoli pojazd, aż do chwili,



gdy zniknął zupełnie, pozostawiając za sobą białą smugę na niebie. W ciągu poprzednich kilku miesięcy wielokrotnie widywano już ten sam pojazd zawieszony w locie stacjonarnym ponad ruinami Stonehenge. Czyżby goście z innej planety przybywali na pielgrzymkę do grobu swych przodków? Byłoby to czymś wielce zaskakującym. »3443«

Dnia 15 grudnia 1977 roku około godziny 22 w Berryville, w stanie Arkansas, pełniący służbę patrolową policjant Jim Dwyer spostrzegł wielki, oświetlony pojazd w kształcie trójkąta. Przez godzinę pojazd przemieszczał się ponad jedną z dwóch najwyższych gór w okolicy - Saunders Heights. Pojazd ten obserwowano wraz z Dwyerem przez lornetkę około dwudziestu osób. Nie mieli oni pojęcia, co to było. Obiekt powoli przemieszczał się z lekkim szumem ze wschodu na zachód. Kierunek wiatru był wówczas przeciwny do ruchu pojazdu, co wskazywało, że z pewnością nie mógł to być balon meteorologiczny.

Według świadków tego zdarzenia, ten trójkątny pojazd miał co najmniej 50 metrów długości i 30 me-

251

trów szerokości. Jego spód oświetlony był czerwonymi światłami, a kraniec każdego z rogów oświetlony był bardzo silnym białym światłem. Takie trójkątne pojazdy pojawiają się o wiele rzadziej niż klasyczne latające talerze, posiadające świetliste kopuły oraz opasujące je rzędy oświetlonych okienek. Podobne pojazdy możemy czasem ujrzeć w telewizyjnych filmach z gatunku science-fiction. Z pewnością ten typ pojazdów jest przeznaczony do spełniania specjalnych misji, ale jak do tej pory nie udało się jeszcze jasno określić ich przeznaczenia. Była to ostatnia z istotnych obserwacji dokonanych w roku 1977. »3493«

## **ROZDZIAŁ XVI**

### **WYDARZENIA ROKU 1978**

Rok 1978 również obfitował w obserwacje latających talerzy. Dnia 27 stycznia około godziny 10 rano pilotowi Boeinga 727 z National Airlines lecącego pomiędzy Fort Lauderdale i Jacksonville przydarzyła się rzecz absolutnie niebywała. Nagle przestały pracować aż trzy silniki boeinga, co jeszcze nigdy przedtem nie zdarzyło się w tym typie samolotu. W ciągu niespełna pięciu minut samolot obniżył wysokość lotu z 10 000 na 2000 metrów i wydawało się, że katastrofa jest nieunikniona, ale nagle wszystkie trzy silniki kolejno same się włączyły, samolot nabrał wysokości i szczęśliwie wylądował w Jacksonville.

Według Charlesa Berlitz, który przez wiele lat starał się rozwikłać zagadkę słynnego Trójkąta Bermudzkiego, zdarzenie to mogło być spowodowane działaniem tajemniczych sił, które w tym regionie unicestwiły już wiele statków i samolotów. (43) Ale mogło również zostać spowodowane przez nikogo

253

niezauważony, znajdujący się za samolotem latający talerz. Takie przypadki już się

zdarzały, kiedy to tajemnicze pojazdy powodowały całkowite wyłączenie się wszystkich urządzeń elektromagnetycznych samochodów, samolotów, a nawet statków. W takich przypadkach silniki włączały się samorzutnie, gdy tylko samolot oddalił się już na tyle od latającego talerza, że znajdował się poza zasięgiem działania jego pola. W ten sposób wymykał się spod jego zgubnego wpływu. »3536«

Dnia 17 marca 1978 roku w New Delhi w Indiach, kulisty pojazd w kolorze czerwonym z metalicznym odcieniem przeleciał z ogromną prędkością, lecz na bardzo niewielkiej wysokości ponad przedmieściami miasta. Pozostawił za sobą pasmo zniszczenia i śmierci. Na trasie jego przelotu naliczono dwadzieścia osiem ofiar śmiertelnych i blisko stu rannych. Drzewa i słupy zostały obcięte dokładnie na wysokości trzech metrów ponad ziemią. Dachy domów pozrywał huragan, a stopień radioaktywności zmierzony licznikiem Geigera był dwukrotnie wyższy niż zwykle. Nikomu nie wydano zezwolenia na robienie zdjęć ani też nie pozwolono na zobaczenie zmarłych, których zwłoki spalono natychmiast. Mogłoby to wskazywać, że nieznanemu pojazdowi posiadał napęd nuklearny. Stanowiłoby to zatem pierwszy znany przypadek tego typu. »3585«

Dnia 28 lipca 1978 w Green Bay w Wisconsin spozreżono ponad miastem wielki, metaliczny cylinder z pulsującymi czerwonymi i białymi świat-

254

łami. Wcześniej przeleciał on nad miastami Saint-Joseph i Two Rivers, po obu stronach jeziora Michigan. Pojazd był większy od wielkiego bombowca B52 i leciał z dużą prędkością na wysokości około 400 metrów. Od czasu do czasu gwałtownie zmieniał kierunek lotu. Widziały go w okolicy setki osób. » 3718 «

Dnia 8 sierpnia 1978 roku w Johannesburgu w Afryce Południowej pojawił się nocą wielki, klasycznych kształtów latający talerz. Pieter Roos, robotnik, który tamtego wieczoru pracował na górującej ponad miastem wieży telewizyjnej, sfotografował go. Autentyczność tego zdjęcia, ukazującego obiekt unoszący się ponad miastem, badało wielu ekspertów. Wszyscy oni zgodnie stwierdzili, że jest ono autentyczne. Nikt inny nie zauważył tajemniczego talerza, który pojawił się w środku nocy, o godzinie trzeciej. »3729«

Dnia 17 sierpnia 1978 roku w Buenos Aires w Argentynie Carlos Acevedo i Hugo Prambs wyruszyli citroenem na pierwszy etap Rajdu Samochodowego Ameryki Południowej organizowanego przez Argentyński Automobil-Club. Impreza ta, wyjątkowo uciążliwa tak dla samochodów, jak i dla załóg, jest prawdziwym maratonem i trwa ponad miesiąc. Kierowcy muszą dojechać aż do Caracas w Wenezueli i powrócić do Buenos Aires jadąc najpierw wzdłuż wybrzeża Oceanu Spokojnego, a następnie wzdłuż Atlantyku.

255

Dnia 16 września, gdy znajdowali się w Bariloche, Hugo Prambs nagle, bez żadnych wyjaśnień zrezygnował z dalszego udziału w rajdzie. Zastąpił go Miguel Moya. Świtem 23 września zostało im do przejechania zaledwie 1000 kilometrów. O godzinie

2 w nocy zatrzymali się na stacji benzynowej w Vied-  
ma i zatankowali 50 litrów paliwa do zbiornika

głównego oraz 40 litrów do pomocniczego. Wypili kawę, przez chwilę rozmawiali z innymi uczestnikami rajdu i o godzinie 2.30 odjechali w kierunku Bahia Blanca.

Minęli Rio Negro, miasto Carmen de Patagonès i po przejechaniu setki kilometrów około godziny

3 w nocy znaleźli się na wysokości saliny w Pedra. Carlos jechał z prędkością przeszło 100 kilometrów na godzinę. Nagle spostrzegł w lusterku bardzo silne światło. Światło zbliżało się do nich. Pomyślał, że jest to z pewnością jeden z biorących udział w rajdzie wielkich samochodów i zjechał na prawą stronę, by go przepuścić. Wówczas światło stało się oślepiające i oświetliło wnętrze jego samochodu. Było żółte z fioletowymi pobłyskami i tak silne, że Carlos nie mógł dostrzec niczego wokół samochodu. Nic go jednak nie wyprzedziło.

Nagle poczuł, że nie ma już kontroli nad swym samochodem. Wyjrzał przez okno i stwierdził, że samochód znajduje się dwa metry nad ziemią i wciąż unosi się do góry. Światło było tak oślepiające, że nie mógł nawet dostrzec tablicy przyrządów swego samochodu ani Miguela, który powinien był siedzieć

256

po jego prawej stronie. Później Miguel opowiedział, że ledwie widział Carlosa, jak siedział z wyciągniętymi rękami, kurczowo trzymał kierownicę i patrzył nieprzytomnym wzrokiem. Miguel chciał wysiąść, próbował otworzyć drzwiczki, ale sprawiały wrażenie jakby zostały zaspawane. Robiło się coraz goręcej i w końcu obaj kierowcy stracili przytomność.

Carlos odzyskał ją, czując jak samochód uderza o ziemię. Intensywność światła zmalała i Carlos zaczął dostrzegać najpierw tablicę przyrządów, następnie maskę swego samochodu, potem drogę przed sobą, a w końcu siedzącego po jego prawej ręce Miguela. Światło oddalało się już od samochodu. Zauważył, że jego kształt przypominał ścięty stożek o średnicy równej 3 metry na szczycie i 6 metrów u podstawy oraz o wysokości około 7 metrów. To właśnie ta okrągła podstawa emitowała żółte światło oświetlające okoliczne pola.

Carlos wysiadł, by sprawdzić, czy samochód nadal jest sprawny i czy na przykład nie brakuje mu któregoś koła. Potem usiadł za kierownicą i odjechał. Po kwadransie dotarli do Pedro Luro, miejscowości oddalonej o 120 kilometrów na północ od Carmen de Patagonés. Było to już w prowincji Buenos Aires. Zatrzymali się na jakiejś stacji obsługi, by zrobić dokładny przegląd samochodu. Odkryli wówczas trzy zaskakujące rzeczy.

Przede wszystkim z odczytu licznika wynikało, że odległość pomiędzy Viedma a Pedro Luro wynosi

257

52 kilometry, a w rzeczywistości jest ona równa 127 kilometrów. Potem okazało się, że do Pedro Luro przybyli o godzinie 5.10, co zajęło im dwie i pół godziny od chwili

wyjazdu z Carmen de Patagonés o godzinie 2.40. Powinno im to być zająć zaledwie godzinę i kwadrans, biorąc pod uwagę odległość 120 kilometrów pomiędzy tymi miastami. Zaistniała więc przeszło godzinna luka w czasie. Nie rozumieli, co mogło im się przydarzyć.

W końcu, gdy chcieli napęłnić główny zbiornik, zauważyli, że pomocniczy jest zupełnie pusty, chociaż powinien być pełny. Postanowili zgłosić to policji. Inspektor z posterunku w Pedro Luro wysłuchał uważnie ich opowieści. Nie zrobiła ona na nim dużego wrażenia, ale widząc przerażenie obu kierowców, polecił jednemu ze swych podwładnych udać się wraz z nimi ich samochodem aż do Bahia Blanca. Bez przeszkód dotarli tam około godziny 8.30 rano.

Dziwne wydaje się również i to, że żaden z kierowców rajdu nie widział na drodze pomiędzy Carmen de Patagonés i Pedro Luro samochodu Carlosa i Miguela, choć przecież w ciągu dwóch i pół godziny, logicznie rzecz biorąc, powinien być się tam znajdować. Jedynym możliwym do przyjęcia wytłumaczeniem jest to, że samochód wraz z kierowcami został przemieszczony jednocześnie w czasie i przestrzeni. Z tego co wiem, Carlos i Miguel nie poddali się, jak do tej pory, hipnozie, ażeby spróbować wyjaśnić, gdzie przebywali w czasie, gdy nie

258

było ich na Ziemi. Jeżeli zdecydują się to uczynić, z pewnością dowiemy się wielu interesujących faktów na temat tego tajemniczego UFO i jego załogi. »3775«

Dnia 2 października 1978 roku w Despatch w Afryce Południowej czterej chłopcy w wieku od trzynastu do szesnastu lat odpoczywali pod drzewem po męczącej wycieczce. Spostrzegli na stepie, w odległości około 500 metrów błyszczący, metaliczny spodek. Po chwili ujrzeli dwie dziwne istoty ubrane w srebrzyste kombinezony. Poruszały się one w dziwny sposób. Nie chodziły normalnie jak ludzie, a prześlizgiwały się bezszelestnie ponad krzewami i płotami. Przemieszczały się przy tym szybciej, niż gdyby chodziły po ziemi.

Potem pojawił się jeszcze trzeci osobnik. Do pasa miał przymocowaną jakąś szarą, metalową puszkę. Z odległości, w jakiej znajdowali się chłopcy, nie można było dokładnie zobaczyć ani twarzy, ani rąk czy też nóg humanoidów. Jeden z chłopców miał ze sobą w torbie aparat fotograficzny, ale nie był w stanie posłużyć się nim. To tak, jakby unieruchomiło go jakieś tajemnicze promieniowanie. Humanoidzi oddalili się w kierunku swego pojazdu, a czterej przerażeni chłopcy uciekli w popłochu z miejsca zdarzenia i zgłosili to wydarzenie miejscowej policji. Nazajutrz policja przeprowadziła dochodzenie.

Odnaleziono wówczas ślady owalnych stóp o wymiarach 20 na 8 centymetrów oraz owalny ślad

259

pozostawiony przez pojazd. Miał on 13 metrów długości i 7 szerokości. Pojazd wydrążył w ziemi osiem głębokich, trójkątnych otworów. Z pewnością przybył on z powietrza i również tą drogą opuścił to miejsce. Na pewno nie mógł to być śmigłowiec, gdyż w tej odludnej okolicy nie ma żadnych baz, z których mógłby on przylecieć. »3784«

Dnia 3 października 1978 roku w Surrey w Anglii dwaj siedzący w radiowozie

policjanci Gavin Hamilton i Richard Green około godziny 2 w nocy zauważyli w lusterku czerwone, pulsujące światło, które zbliżało się do nich z dużą prędkością. Światło zatrzymało się w pewnej odległości i zaczęło przemieszczać się z prawej na lewą stronę drogi oraz zmieniać barwę kolejno na różne kolory.

Policjanci poprosili przez krótkofalówkę o posiłki. Wkrótce dołączył do nich Christopher Loveridge i stwierdził, że zagadkowy pojazd był czymś w kształcie kuli otoczonej białym światłem tworzącym rodzaj halo. Od spodu umieszczone miał zielone światło, a od góry czerwone. Światła te migotały podobnie jak światelka samolotu. Sześciu innych policjantów odbywających służbę w tym samym sektorze miasta potwierdziło tę obserwację. »3785«

Dnia 5 października 1978 roku w Ludington w stanie Michigan zauważono trzy tajemnicze pojazdy przemieszczające się w kierunku zachodu. Obserwacji tej dokonali strażnicy patrolujący brzegi jeziora Michigan. Pojazdy te, klasyczne w kształcie

260

latające talerze, u góry zaopatrzone były w czerwone światelko, od spodu posiadały wiele zielonych, a na całym ich obwodzie rozmieszczone były liczne białe światła. Joseph Amato, dowódca miejscowej jednostki straży przybrzeżnej, natychmiast zaalarmował wszystkie wojskowe radarowe punkty obserwacyjne. Jednak na żadnym z radarów nie zaobserwowano tych pojazdów, z czego wywnioskowano, że nigdy takowe nie istniały. Upewniono się jednocześnie, że nie pojawiły się w obrębie naszej atmosfery żadne szczątki sztucznych satelitów. Na szczęście też i inne osoby zauważyły te trzy latające talerze, ale nie uznały za stosowne oficjalnie tego zgłosić. »3787« Dnia 18 października 1978 roku około godziny 2 w nocy w Belo Horizonte w Brazylii czterej policjanci patrolowali radiowozem ulice miasta. Jakaś dziwna siła wytwarzana przez ogromny latający talerz, unoszący się jakieś sto metrów ponad ich głowami, gwałtownie nimi wstrząsnęła. Nagle przestał pracować silnik, radio również zamilkło. Chcieli wysiąść z samochodu, lecz nie mogli się poruszyć. Gdy obiekt oddalił się trochę od radiowozu, zarówno silnik, jak i radio włączyły się ponownie i to bez ich udziału. Otrzymali rozkaz, by udać się w pościg za tajemniczym obiektem. Udało im się go dogonić i znowu powtórzyła się ta sama sytuacja: samochód sam się zatrzymał, radio wyłączyło, a oni byli niezdolni wykonać najmniejszy ruch. I właśnie wtedy pogasły nagle wszystkie światła w mieście. Zapaliły się ponownie po kilku sekundach, kiedy to

261

tajemniczy pojazd ostatecznie już opuścił miasto. »3800«

Dnia 25 listopada 1978 roku około godziny 22 w Trier w Zachodnich Niemczech amerykański wojskowy o nazwisku Chris Owens oraz jego żona Pat wracali samochodem do domu spędziwszy wieczór u znajomych. Pat była w piątym miesiącu ciąży. Nagle spostrzegli, że ponad ich samochodem unosi się długi na około 30 metrów, bardzo jasno świecący, owalny, metaliczny obiekt. Widać było czerwone światelko umieszczone na spodzie obiektu. Ich samochód zatrzymał się, a oni stracili przytomność. Odzyskali ją po dwóch godzinach. Minęła już północ. Logicznie rzecz biorąc, już od godziny powinni byli być domu. Mieli przeszło godziną lukę w

pamięci. Nie przypominali sobie niczego, co się wówczas wydarzyło.

Dopiero dwa lata później, po powrocie do Kalifornii, kiedy Pat z jakiegoś powodu została poddana terapii hipnotycznej, przypomniała sobie nagle, że tamtego dnia została uprowadzona przez dwóch humanoidów na pokład latającego talerza. Humanoidzi poddali ją kompleksowym badaniom lekarskim. Przypomniała sobie, że leżała nago na długim stole znajdującym się w jakiejś zaokrąglonej salce. Oświetlono ją żółtym światłem. Była przerażona i dręczyło ją jedno pytanie: co też te odrażające monstra zamierzają z nią zrobić?

Humanoidzi mieli łyse, spiczaste głowy, ledwie zarysowane usta i nosy, zamiast uszu- tylko otwory,

262

głęboko osadzone oczy, dłonie o czterech palcach, których długość była dwukrotnie większa od naszych. Jeden z tych humanoidów wbił jej w brzuch długą, srebrzystą igłę i Pat zemdlą. Nie przypomina sobie niczego, co wydarzyło się potem. Jak można się tego domyślać, po tych spóźnionych objawieniach Pat została poddana przeróżnym testom medycznym i psychiatrycznym. W ich efekcie prowadzący badania byli pewni jej prawdomówności, a w konsekwencji zaistnienia faktu uprowadzenia jej przez humanoidów pochodzenia pozaziemskiego. »3838«

Dnia 6 grudnia 1978 roku w Torriglia we Włoszech prywatny strażnik Fortunato Zanfretta robił swój zwykły nocny obchód. Niewiele przed północą silnik samochodu, którym jeździł, nagle przestał pracować. Wtedy też strażnik spostrzegł cztery podejrzane światła. Wsiadł z samochodem i z bronią w ręku chciał udać się w ich kierunku. I właśnie wtedy ktoś zaatakował go od tyłu i powalił na ziemię. Zauważył, że była to jakaś ogromna istota o zielonkawym kolorze skóry.

Zemdlał. Po dwóch godzinach przebudziło go uczucie ogromnego gorąca i oślepiające światło emitowane przez wielki latający talerz, który właśnie w tym momencie startował pionowo z zawrotną prędkością. Gdy na miejsce zdarzenia przybyła policja, odkryła długi na 50 centymetrów ślad owalnej stopy. Tak wielką stopę mógł mieć tylko olbrzym. W miejscu, gdzie wylądował pojazd, znaj-

263

dował się wypalony ślad w kształcie, jaki mogłoby zostawić żelazko do prasowania. Potwierdzało to wiarygodność opowieści Fortunato.

Dwa tygodnie później poddano go hipnozie. Wyjawiał wówczas, że został uprowadzony do latającego talerza. Nie było wątpliwości, że mówi prawdę. Ale potem, w trzy tygodnie po pamiętnym wydarzeniu, zdarzyła się rzecz nieprawdopodobna. Gdy jechał samochodem o tej samej godzinie i w tym samym miejscu, ujrzał znowu te same podejrzane światła. Tak jak poprzednio, zgasł mu silnik. Stracił przytomność i nic więcej już nie pamiętał.

Poddany ponownie hipnozie opowiedział tę samą historię, to znaczy że został uprowadzony do latającego talerza, ale tym razem poddano go w jego wnętrzu badaniom lekarskim przeprowadzonym przez grupę dziesięciu humanoidów. Istoty te miały około trzech metrów wzrostu, zielonkawą, owłosioną skórę, bardzo skośne, żółte oczy i bardzo wąskie usta. Ich czoła przecinały grube, czerwone żyły, ale ręce nie różniły się od naszych.

Na głowę nałożono mu jakiś uciskający go hełm i dzięki niemu Fortunato rozumiał, co do niego mówiono. Wnętrze pojazdu było jasno oświetlone. Było tam bardzo gorąco. Przypomina sobie, że przytomność odzyskał dokładnie w miejscu, z którego go uprowadzono. Również i tym razem był obecny przy starcie pojazdu. Pamięta, że był on bardzo duży, trójkątny i biały. Wydarzyło się to po godzinie pierwszej w nocy, a więc Fortunato spędził

264

całą godzinę, w skali ziemskiego czasu, na pokładzie tego tajemniczego pojazdu, który przybył do nas z innej planety. »3849«

Dnia 7 grudnia 1978 roku w Neapolu we Włoszech dwaj meteorologowie Antonio Palombo i Ciro Fassano prowadzili obserwacje meteorologiczne na dachu jednego z domów. Na niebie zauważyli ogromne, srebrzyste cygaro, które wykonywało przedziwne ewolucje. Ocenili, że znajduje się ono na wysokości 15 000 metrów i że ma długość zbliżoną do długości Boeinga 747, który właśnie przelatywał na wysokości 10000 metrów.

Obaj doświadczeni meteorologowie doskonale znali wszystkie obiekty pojawiające się zwykle na niebie. Oszacowali, iż dziwny obiekt musiał mieć co najmniej 100 metrów długości i przelatywał z prędkością większą niż 2000 kilometrów na godzinę. Zbyteczna wydaje się informacja, że nigdy przedtem nie widzieli obiektu latającego, o takiej długości lub lecącego z podobną prędkością. Mocno błyszczący obiekt oddalił się dość szybko i zniknął na horyzoncie. »3850«

Dnia 10 grudnia 1978 roku w Lyonie we Francji stróż nocny Marc Mabillon jechał motocyklem, gdy zauważył lecący prosto na niego wielki pojazd. Przeraził się tak bardzo, że gwałtownie skręcił do rowu, aby mu uciec. Pojazd był większy od ciężarówki, emitował pulsujące światło i miał umieszczone na przodzie dwie, przypominające rogi, anteny. Po powrocie do domu Mabillon zawiadomił o tym

265

policjanta Paula Lepretra, który wraz z pewnym dziennikarzem pośpieszył na miejsce zdarzenia. Po przybyciu, przez blisko dwie godziny obserwowali oni ten pojazd. Był to klasyczny kształt latający talerz. »3853«

Dnia 12 grudnia 1978 roku w Cheyenne Mountain w stanie Colorado, gdy około godziny 5 rano Robert Smith odsłaniał swe okna, ujrzał wielki pojazd. Pojazd był tak duży, jak B47. Jego kształt przypominał spodek z umieszczonymi na nim rzędami oświetlonych okienek. Przesuwał się on powoli przed jego oknem wydając głucho, miarowo dudniące buczenie, niczym bombowce typu Heinkel, używane w ostatniej wojnie. Robert Smith był kiedyś pilotem i miał dziesięcioletnie doświadczenie. Natychmiast zorientował się, że tajemniczy pojazd przemieszczający się powoli przed jego oknem musiał przybyć z jakiejś innej planety. Dziwnym zbiegiem okoliczności pojazd ten przeleciał dokładnie ponad amerykańską tajną bazą kontroli przestrzeni powietrznej NORAD. »3855«

Dnia 13 grudnia 1978 roku w Palermo na Sycylii patrol policyjny zauważył wielki, lśniący, cylindryczny pojazd w złocistometalicznym kolorze. Policjanci zdołali zrobić mu zdjęcie. Zamieściła je następnie prasa amerykańska. Pozaziemski pojazd mógł zawdzięczać swój szczególny kształt roli, jaką miałby spełniać. Mógłby być na

przykład statkiem-matką przeznaczonym do przewożenia dużej ilości małych latających talerzy, które byłyby pou-

266

kładane wewnątrz, podobnie jak stos talerzy w szafce. Kształt takiego dokładnie cylindrycznego i zaokrąglonego na końcach pojazdu można porównać do kształtu cygara. »3856«

Dnia 31 grudnia 1978 roku australijska ekipa telewizyjna krążyła ponad Cieśniną Cooka w Nowej Zelandii w nadziei, że uda jej się zarejestrować na taśmie filmowej latające talerze pojawiające się tam regularnie od dziesięciu dni, codziennie o tej samej porze. Nie zawiedli się, bo sfilmowali wspaniałą pojazd lecący przed nimi, nie zauważając jednak, że drugi podobny leci za nimi. Powiadomił ich o tym pracownik naziemnej stacji radarowej.

Jakość filmu była tak doskonała, że przedstawiciele oficjalnej nauki, którzy sprawdzali jego autentyczność, uznali, że z pewnością jest on wynikiem fotomontażu. Twierdzili tak, pomimo iż wszystkie badania prowadzone przy użyciu metod wizualnych, fotograficznych, elektronicznych oraz wielu innych, jak również opinie wydane przez fachowców w dziedzinie kinematografii wykazały, że film ten nie został sfalszowany. Nauce oficjalnej, która uparcie utrzymuje, że latające talerze nie istnieją, jeszcze raz udało się dotrzeć do końca roku, nie przyznając się do popełnionego błędu. »3874«

## **ROZDZIAŁ XVII**

### **WYDARZENIA ROKU 1979**

W tym rozdziale zamierzam zakończyć prezentację zadziwiającej serii zaobserwowanych na przestrzeni ostatnich pięciu lat przypadków pojawienia się latających talerzy. Również w 1980 roku miało miejsce już wiele interesujących zdarzeń, lecz ich szczegóły nie są jeszcze dokładnie znane i dlatego zatrzymam się na wydarzeniach z 31 grudnia 1979 roku. Ułatwi mi to pracę nad następną książką, w której zamierzam zająć się przypadkami, które wydarzą się w ciągu najbliższych lat.

Dnia 3 stycznia 1979 roku w Miami na Florydzie niejaki Filiberto Cardenas został uprowadzony przez latający talerz i to na oczach swych trzech przerażonych przyjaciół. Ogromny, fioletowy pojazd zawisł nad jego uszkodzonym samochodem i wessał Cardenasa, nie bacząc na jego krzyki, do swego wnętrza. Cardenas powrócił dopiero po dwóch godzinach, ale pojawił się w miejscu oddalonym o 15 kilometrów od miejsca uprowadzenia.

268

Słaniał się na czworaka pośrodku autostrady. Był dotkliwie poparzony na całym ciele i nie pamiętał niczego, co wydarzyło się przez ostatnie dwie godziny. »3877«

Dnia 24 stycznia 1979 roku w Tyler w Teksasie student o imieniu Bob Jones wracał, nie spiesząc się, do domu. Zatrzymał samochód na jakiejś pustej ulicy. Nagle



został oślepiony bardzo silnym, zielonym światłem. Zdołał zauważyć dwa dziwne, fioletowe pojazdy. Stracił przytomność. Po pięciu godzinach odzyskał świadomość i stwierdził, że jego samochód przysypany jest liśćmi, które opadły ze wszystkich pobliskich drzew, tak jak gdyby przeszła tamtędy gwałtowna wichura.

Po powrocie do domu zauważył, że na piersi ma ślad oparzenia w kształcie rombu, a na łydkach ślady po ukluciach. Poza tym taśma magnetofonowa, znajdująca się w samochodowym odtwarzaczu, na obu ścieżkach, w tym samym miejscu została skasowana. Na pewno nastąpiło to w wyniku działania na nią pola magnetycznego, wytwarzanego przez latający talerz. Można to wytłumaczyć tylko w ten sposób, gdyż typ odtwarzacza zainstalowanego w samochodzie Boba Jonesa nie posiadał możliwości nagrywania, ani kasowania. Oczywiście, jak zwykle w podobnych przypadkach, również i Bob Jones nie pamiętał, co wydarzyło się w ciągu tych pięciu godzin. »3898«

Dnia 5 marca 1979 roku na Teneryfie w archipelagu Wysp Kanaryjskich około godziny 20

269

tysiące osób przez wiele minut obserwowały wielki, bardzo błyszczący, metaliczny obiekt podobny do dysku lub cylindra, w zależności od miejsca, z którego dokonano obserwacji. Pojazd widoczny był również z wysp Gomera i Gran Canaria. W ciągu kilku minut mieszkańcy tych trzech wysp padli w modlitwie na kolana, sądząc że nadszedł zapowiadany od dawna koniec świata.

Pojazd widziały również załogi ośmiu różnych samolotów, ale nie pojawił się on na ekranie żadnego cywilnego ani też wojskowego radaru. Średnica pojazdu była optycznie porównywalna ze średnicą Słońca. W czasie gdy pojazd pojawił się nad archipelagiem, było już krótko po zachodzie Słońca, nie mogło więc mieć ono żadnego związku z zaistnieniem tego zjawiska. Według relacji pilotów pojazd przemieszczał się z prędkością przeszło 20 000 kilometrów na godzinę. Przewodniczący lokalnego stowarzyszenia ufologicznego Francisco Padron sądzi, że pojazd ten przybył z tajnej, podmorskiej bazy, założonej przez kosmitów w pobliżu Wysp Kanaryjskich. Świadczyłyby o tym częste przypadki zaobserwowania podobnych pojazdów, jakby wypryskujących nagle spod powierzchni morza. »3938«

Dnia 18 kwietnia 1979 roku w Memphis w stanie Tennessee Robert Ingram, kierownik wieży kontrolnej lotniska, zauważył około godziny 20 cztery bardzo jasne, czerwone światła obracające się powoli na wysokości około 1000 metrów, w odległości 15 kilometrów od płyty lotniska. Ingram od razu

270

zorientował się, że nie mogły one należeć ani do samolotu, ani do śmigłowca, a jako że obce były mu wszelkie przesady na temat zjawiska latających talerzy, natychmiast dopuścił możliwość pojawienia się takich pojazdów. Na ekranie radaru wieży kontrolnej odszukał cztery nieruchome punkty i stwierdził, że zagadkowe obiekty, tak jak sądził, pozostają w locie stacjonarnym.

Ingram polecił, aby udał się tam helikopter policyjny. Według pilota śmigłowca, te cztery punkty tworzyły prostokąt. Oddalał się on od śmigłowca w miarę, jak ten leciał w jego kierunku, jak gdyby chciał zachować stały, dzielący ich dystans. Pilot

włączył bardzo silny reflektor, a wtedy czerwone światelka pogasły jedno po drugim i pojazdy były niewidoczne. Setkom osób dane było obejrzeć ten powietrzny spektakl. »3982«

Dnia 28 czerwca 1979 roku w Brazylii strażnik na budowie w Mirassol - Antonio Ferreira pełnił nocną służbę. Około godziny trzeciej w odległości 50 metrów od niego wylądował dziwny pojazd. Ferreira stanął nagle twarzą w twarz z trzema humanoidami. Byli oni karłami. Ich wzrost nie sięgał nawet jednego metra. Jeden z nich skierował na Antonia strumień czerwonego światła, które sprawiło, że znieruchomiał. Humanoidzi ubrani byli w białe, okrywające nawet głowy, kombinezony. Na piersiach widniał emblemat w postaci koła z umieszczonym wewnątrz krzyżem.

271

Antonio stracił przytomność. Przebudził się wewnątrz małej, czerwonej, owalnej kapsuły. Wokół ścian znajdowały się szare ławki. Znajdowała się tam również tablica przyrządów, pełna rozmaitych urządzeń. Usłyszał jakiś szum i spostrzegł, że kapsuła wsuwa się do wnętrza innego, o wiele większego spodka. Zaprowadzono go do dużej sali, gdzie przebywało około dwudziestu humanoidów. Niektórzy z nich mieli brązową skórę, inni zieloną. Ich głowy, w stosunku do wielkości całego ciała, wydawały się ogromne. Mieli spiczaste uszy, duże oczy i usta. Mówili niezrozumiałym językiem.

Humanoidzi polecili Antoniowi, by usiadł. Wtedy znowu stracił przytomność. Kiedy ją odzyskał, stwierdził, że ponownie znajduje się na placu budowy. Dochodziła godzina 6 rano. Wrócił więc do domu, ale nie wiedział, co się działo z nim przez blisko trzy godziny. Jego pies, który starał się go bronić przed humanoidami, również został sparaliżowany pod wpływem dziwnego światła. Teraz odmawia wejścia na teren budowy. Natomiast policja odkryła tam ślad w kształcie dokładnego koła, wewnątrz którego trawa została wypalona, a jej szczątki zmiecione podmuchem wytworzonym przez pojazd.

Wszyscy, którzy przesłuchiwali Antonia, przekonali się, że mówił prawdę. Przede wszystkim dlatego, że nie posiada on żadnego wykształcenia i na pewno nie byłby w stanie sam wymyślić podobnej historii. Poza tym około godziny 3 w nocy nagle znikł w całej

272

okolicy odbiór telewizji, a także wiele osób widziało, jak świetlista kula opuszczała się powoli na teren budowy. Dodatkowo, na plecach i ramionach Antonia widoczne były ślady ukłuc igłą nieznanego pochodzenia, co zdaje się potwierdzać prawdziwość jego nieprawdopodobnej historii. »4053«

Dnia 24 sierpnia 1979 roku w Bahrajnie w Zatoce Perskiej szef wieży kontrolnej miejscowego lotniska około godziny 21 został dosłownie zasypany zgłoszeniami od wszystkich znajdujących się w powietrzu samolotów. Piloci informowali, że jakiś tajemniczy pojazd przeleciał z ogromną, na pewno przewyższającą 10000 kilometrów na godzinę prędkością pomiędzy samolotem należącym do British Airways a samolotem linii Japan Airlines. Cudem nie doszło do kolizji. Następne zgłoszenia pochodziły od pilotów linii szwajcarskich, australijskich i skan-

dynawskich, którzy również ledwo uniknęli katastrofy. Nieznany obiekt nie pojawił się jednak na żadnym z radarów.

Tymczasem z ziemi można było obserwować coś absolutnie niebywałego. Szary, o srebrzystym odcieniu latający talerz zmienił nagle swą barwę i stał się krwistoczerwony, po czym nastąpił bardzo głośny wybuch. Nie pozostał najmniejszy ślad na niebie, a jedynie widać było, jak świecące kawałki odpryskują we wszystkich kierunkach i spadają do morza, skąd niemożliwe było ich wydostanie. Z tego właśnie powodu nie umieściłem tego zdarzenia w rozdziale poświęconym katastrofom, gdyż nikt nie jest w po-

273

siadaniu żadnej pozostałości po tej eksplozji. Mam jednak nadzieję, że pewnego dnia uda się wydobyć z dna morza szczątki tego zagadkowego pojazdu. »4110«

Dnia 27 sierpnia 1979 roku w Stephen w stanie Minnesota policjant Val Johnson był na nocnym patrolu. Jeździł radiowozem. Około godziny 2 w nocy zauważył jasne, zbliżające się do niego światło. Nagle przednia szyba w radiowozie rozpadła się na kawałki. Samochód został oświetlony silnym światłem, a Johnson stracił przytomność. Wkrótce ją odzyskał i połączył się przez radio z przełożonym, by zameldować o tym zdarzeniu. Spytał również o godzinę. Dowiedział się, że była godzina 2.19. Spostrzegł, że zarówno zegar w samochodzie, jak i jego ręczny zegarek wskazywały godzinę o czternaście minut wcześniejszą. Prawdopodobnie stanęły pod wpływem tego samego wstrząsu, który zniszczył również szybę.

Jednocześnie Val przypomniał sobie, że ostatni raz sprawdzał godzinę 1.40. Wskazywałoby to, że był nieprzytomny przez trzydzieści dziewięć minut. Zdarzyło się więc coś, co koniecznie trzeba było wyjaśnić. Natychmiast wysłano więc na pomoc jeszcze jednego policjanta, który stwierdził, że po uderzeniu radiowóz przejechał jeszcze 200 metrów, po czym na odcinku 30 metrów wpadł w poślizg. Stwierdził on również, że przednia szyba została potłuczona na drobne kawałki, że został rozbity jeden z reflektorów i uszkodzone dwie anteny radio-

274

we, nie było jednak żadnych zadrapań lakieru. Jedyne możliwe wytłumaczenie tego zdarzenia to przypuszczenie, że samochód Johnsona przypadkowo uległ wstrząsowi spowodowanemu przez falę uderzeniową wytworzoną przez latający talerz, który leciał zbyt nisko i o wiele za szybko, aby Johnson zdołał go zauważyć. W każdym bądź razie powinien się on cieszyć, że wyszedł cało z tej przygody. »4113«

Dnia 11 listopada 1979 roku nad Ibizą na Balearach hiszpański pilot Lerdo Tejada siedział za sterami samolotu caravelle lecącego z Majorki na Wyspy Kanaryjskie ze 119 pasażerami, Niemcami i Austriakami, na pokładzie oraz z sześciuosobową załogą. Zaraz po starcie Tejada zauważył przed sobą dwa bardzo silne, czerwone światła. Światła te szybko zbliżały się do samolotu. Znajdował się on wówczas na wysokości 7000 metrów i w odległości około 25 kilometrów od owych świateł. Gdy osiągnął pułap 9000 metrów, czerwone światła zbliżyły się na odległość około 1000 metrów. Tejada uznał wówczas, że jego samolot znajduje się w niebezpieczeństwie. Poleciał pasażerom zapiąć pasy i połączył się z wieżą kontrolną w Barcelonie, by uzyskać informację, czy na jego drodze znajdują się jeszcze inne samoloty.

Kontroler ruchu powietrznego odpowiedział mu, że nic nie widzi na swym radarze. Tėjada zdecydował się więc połączyć z wojskową jednostką lotniczą oraz ze stacją radarową w Madrycie. Posiadali oni

275

o wiele dokładniejsze dane i powiadomili go, że na ich radarach widać jakieś dwa nieznane obiekty znajdujące się w pobliżu jego samolotu. Wówczas Tėjada gwałtownie skreślił, chcąc oddalić się od nich i szybko, w ciągu trzech minut, obniżył pułap lotu z 9000 na 5000 metrów. Wykonał to lotem nurkującym, który stosuje się tylko w przypadkach zupełnej desperacji.

Ale oba obiekty podążyły za nim i zanurkowały z jeszcze większą, oszalamiającą wprost prędkością. Stacja radarowa w Madrycie poinformowała go, że oba pojazdy podążają wciąż za nim, ale wysłano im naprzeciw samolot wojskowy mirage i że zaraz spotkają go nad linią brzegową, na wysokości Walencji. Gdy mirage wreszcie przybył, czerwone światła znikły zarówno z pola widzenia, jak i z ekranów radaru w Madrycie.

Przybycie samolotu mirage niewątpliwie zapobiegło katastrofie. Relacje z tego zdarzenia pojawiły się nazajutrz na pierwszych stronach wszystkich gazet w całej Europie, a także w telewizji amerykańskiej. Po wylądowaniu samolotu w Walencji minister transportu Hiszpanii przeprowadził rozmowę z pilotem, po czym oznajmił dziennikarzom, że dotąd nigdy nie wierzył w opowieści o latających talerzach, ale obecnie święcie wierzy w istnienie tych pojazdów. Miejmy nadzieję, że to wydarzenie, które obiegło cały świat, przyczyni się znacznie do przekonania tych wszystkich, którzy jeszcze nie wierzą w ich istnienie. »4189«

276

A oto jeszcze jeden przypadek uprowadzenia, określony przez władze francuskie jako mocno podejrzany, ale to wcale nie znaczy, aby nie mógł być on całkowicie autentyczny. Moi francuscy czytelnicy na pewno dowiedzieli się już o nim ze wszystkich gazet, ale czytelnicy z Anglii czy Stanów Zjednoczonych z pewnością nie znają tej historii. Poza tym ostatnio zostały ujawnione dalsze interesujące szczegóły tego wydarzenia. W domu Jim-my'ego Guieu został przeprowadzony seans hipnotyczny z Franckiem Fontaine, ofiarą tego uprowadzenia oraz dwójką jego przyjaciół - Pierrem Prévost i Salomonem Ndiaye. Jimmy Guieu napisał na ten temat pasjonującą książkę. (92)

Dnia 26 listopada 1979 roku, w Cergy-Pontoise na północny zachód od Paryża, trzech młodzi mężczyźni, Franek Fontaine, Pierre Prévost i Salomon Ndiaye, załadowali około godziny 4.30 rano swoją ciężarówkę džinsami, z którymi wybierali się na targ w Gisors. Spostrzegli na niebie silne światło zniżające się szybko w ich kierunku. Franek postanowił pojechać, by zobaczyć, co to takiego. Wsiadł do samochodu. Jego koledzy ujrzeli, jak samochód znika pogrążony w dziwnej mgle, poza którą można jednak było dojrzeć cztery lśniąca kule. Wkrótce mgła rozproszyła się i samochód znowu był widoczny, ale Franek zniknął. Przyjaciele szukali go przez wiele dni, najpierw sami, potem z pomocą żandarmów. Nie potrafili wyjaśnić powodu jego zniknięcia.

277

Franck pojawił się dokładnie po tygodniu, dnia 3 grudnia o godzinie 4.30, w miejscu oddalonym o jakieś sto metrów od miejsca swego zniknięcia, pośrodku pola kapusty. Jako że nie widział swego samochodu, uznał że mu go skradziono i postanowił zawiadomić o tym Salomona, by go uprzedzić, że wyjazd na jarmark do Gisors jest już nieaktualny. Salomon oznajmił mu, że chyba oszalał - rynek w Gisors odbył się już przecież w ubiegłym tygodniu, a Franek zniknął na cały ten tydzień i nikt nie wiedział, gdzie przebywał.

Franek uznał wówczas, że musiało mu się przydarzyć coś dziwnego. Zjadł solidne śniadanie w towarzystwie obu przyjaciół, matki i swojej dziewczyny, po czym około godziny 8 rano udał się na posterunek żandarmerii, by zameldować o swym dziwnym wypadku. Wszyscy, którzy go potem przesłuchiwali, żandarmi, dziennikarze i sędzia śledczy, byli raczej przekonani, że zarówno on, jak i jego dwaj przyjaciele działali w dobrej wierze.

A jednocześnie jego opowieść zawierała dwa zastanawiające elementy: po pierwsze, zarówno jego zniknięcie jak i ponowne pojawienie się zostało zgłoszone żandarmom po upływie trzech godzin, co może wydawać się dość podejrzane. Po drugie, Franek, który utrzymywał, że niczego sobie nie przypomina, odmawiał poddania się hipnozie w celu dokonania próby wyjaśnienia tego, co się zdarzyło. A to było jeszcze bardziej podejrzane. Wydaje mi się bowiem, że gdybym to ja został uprowadzony na

278

pokład latającego talerza i nie przypominałbym sobie, co tam robiłem i widziałem, byłbym pierwszym, który próbowałby to wyjaśnić.

W końcu Franek pojął, że dalsze opieranie się jest niecelowe, a także zrozumiał, że w przypadku, gdy będzie w stanie opowiedzieć swą przygodę, może mu to przynieść jakieś korzyści. Zgodził się więc na propozycję znanego pisarza i ufologa Jimmy'ego Guieu. Seans hipnotyczny przeprowadzić miał posiadający bogate doświadczenie w tej dziedzinie przyjaciel pisarza Daniel Huguet. Jimmy Guieu natomiast, w przypadku gdyby historia, która przydarzyła się Franckowi, istotnie okazała się interesująca, miał uzyskać wyłączność na publikację informacji na jej temat.

Jako że trzej bohaterowie tej przygody nie mieli pieniędzy, a Jimmy Guieu i Daniel Huguet mieszkali w Aix-en-Provence, poprosili jednego ze swych przyjaciół o imieniu Jean-François, aby zawiózł ich tam swoim samochodem. Uzgodniono, że wszyscy czterej pozostaną na utrzymaniu Jimmy'ego Guieu, natomiast zakwaterowanie zapewni im jeden z jego przyjaciół Jean Magnan, członek zarządu Stowarzyszenia Przyjaciół Natury.

Dnia 4 stycznia 1980 roku około godziny 15 czterej koledzy przyjechali do Aix-en-Provence. Nazajutrz miały rozpocząć się seanse hipnotyczne. Miała być przy tym obecna również zaprzyjaźniona z Jimmym plastyczka Sabine Mangin. Miała ona w trakcie seansu spróbować przenieść na papier

279

przygody trzech przyjaciół. Seans miał również zostać zarejestrowany na taśmie magnetofonowej.

Franek opowiedział, że w samochodzie stracił przytomność. Odzyskał ją w jakimś zupełnie obcym sobie miejscu. Nie odczuwał jednak żadnego niepokoju,

jak gdyby już wiedział przedtem, co mu się wkrótce przydarzy. Leżał na czymś w rodzaju stołu. Było mu dość wygodnie. Po przeciwnej stronie sali stał jeszcze jeden taki stół. Na ścianach znajdowały się jakieś dziwne narzędzia i różne tarcze ze znakami przypominającymi trochę cyfry.

Franek nie widział humanoidów. Mówiły do niego dwie świetliste kule, jedna głosem męskim, druga - kobiecym. Głosy poinformowały go, że nie znalazł się tu przypadkowo. Już dawno został wybrany. Powiedziano mu również, że gdy powróci na Ziemię, nie będzie pamiętał niczego, co widział i robił w latającym talerzu. Franek dowiedział się wówczas wielu zaskakujących rzeczy na temat człowieka, Ziemi, kosmosu i kosmitów. Czytelnik odnajdzie te informacje w książce Jimmy'ego Guieu.

Uważam, że książka ta jest pasjonująca, ale nie mogę się pogodzić z myślą, że mogłyby istnieć istoty pozaziemskie nie posiadające co najmniej humanoidalnego wyglądu, a występujące jedynie pod postacią małych, świetlistych kul, posiadających zdolność mówienia. Znacznie lepiej przemawia do mnie wizja humanoidów z krwi i kości, takich jak ci, których ciała są przechowywane w chłodzonych pomieszczeniach bazy Wright Patterson, takich któ-

280

rych można zobaczyć i dotknąć i którzy są nawet zdolni zgwałcić mężczyznę lub kobietę, ażeby doprowadzić do powstania hybrydy na wpół ziemskiej, na wpół pozaziemskiej.

Z pewnością łatwiej by mi było uwierzyć w historię Francka Fontaine'a, gdyby była podobna do przygody Antonia Villas Boas, którego zgwałciła piękna pozaziemska humanoidka, co było nawet bardzo przyjemne. No cóż, nie każdy może zaznać takiej rozkoszy, a to, że coś takiego nie przydarza się każdemu, nie świadczy jeszcze o tym, że jego opowieść nie może być prawdziwa. Byliśmy już świadkami o wiele dziwniejszych zdarzeń. Mam tylko nadzieję, że Franek dostarczy nam bardziej realnych i przekonujących dowodów. »4204«

Dnia 28 listopada 1979 roku w Madrycie w Hiszpanii około godziny 3 w nocy ogromny latający talerz o średnicy co najmniej 100 metrów powoli przeleciał ponad miastem na wysokości około 1000 metrów. Widziały go setki osób. Wszystkie bazy wojskowe zostały postawione w stan gotowości, ale nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego i władzom udało się zatuszować całą sprawę, która skądinąd mogła spowodować wielką panikę wśród ludności. Dowiedziałem się o tym wydarzeniu zupełnie przypadkowo. Otóż jeden z moich przyjaciół, mieszkający w Marsylii, telefonował właśnie wtedy do Madrytu. Zaraz potem zadzwonił do mnie do San Diego, aby mnie o tym poinformować. »4206«

281

Dnia 2 grudnia 1979 roku w Genui we Włoszech prywatny strażnik Fortunato Zanfretta już po raz czwarty został uprowadzony przez latający talerz. Zdarzyło się to dwukrotnie w 1978 roku i dwa razy w 1979. 2 grudnia 1979 roku wieczorem, około godziny 22, przed obchodem Fortunato zatrzymał się na stacji benzynowej w centrum miasta. Usłyszał, że ktoś stojący w cieniu woła go, udał się więc w tamtym

kierunku i zniknął w ciemnościach nocy. Odnaleziono go dopiero po pięciu godzinach, i to w górach. Znajdował się w samochodzie balansującym na skraju przepaści, jak gdyby ktoś przypadkowo go tam upuścił.

Ażeby rozwiązać tę zagadkę, trzeba było poddać Fortunato hipnozie. Dowiedziano się wówczas, że jego samochód wraz z nim został wessany z ogromną prędkością do wnętrza wielkiego statku powietrznego. Został tam przyjęty przez humanoidów. Oprawdali go oni po ogromnym pojeździe, wewnątrz którego znajdowało się całe miasto. Przedstawiono go naczelnemu dowódcy, który wyjaśnił mu, że bardzo interesuje się jego osobą i w najbliższej przyszłości ponownie każe go odszukać.

Po dokładnym oprowadzeniu go po statku, jego gospodarze postanowili odstawić Fortunata razem z samochodem na Ziemię. Ale miejsce, z którego go porwali, roło się od zmotoryzowanych policjantów, którzy wszędzie go szukali. Jego przyjaciele z kosmosu musieli więc odstawić go trochę dalej, w górach, gdzie operacja ta mogła przebiec w spokoju.

282

Wszyscy, którzy badali Fortunata po tym ostatnim wydarzeniu, są pewni, że jest on zdrowy na umyśle i z pewnością mówił prawdę. »4210«

Dnia 5 grudnia 1979 roku w małym miasteczku Ansted w stanie West Virginia właścicielka miejscowej restauracji Norma White zauważyła nagle około godziny 18 wielki, kulisty pojazd, który ukazał się ponad górami. Pojazd był biały i jasno świecił. Gdy pojawił się nad miasteczkiem, wypuścił ze swego wnętrza wiele małych, czerwonych spodków, które szybko rozproszyły się w różnych kierunkach i znikły w chmurach. Policja została wprost zasypana zgłoszeniami od osób, które były świadkami tego zdarzenia.

Wysłani na miejsce zdarzenia policjanci naliczyli co najmniej z tuzin takich spodków i oszacowali ich średnicę na około dziesięć metrów. Daje nam to wyobrażenie, jak ogromne wymiary musiał mieć przewożący je pojazd-matka. Powrócił on zresztą po dwóch godzinach, około dwudziestej, zebrał wszystkie czerwone spodki i odleciał w dal. I jeszcze raz wszystkie te pojazdy pozostawały niewidoczne dla wszystkich cywilnych i wojskowych radarów znajdujących się na tym obszarze, pomimo iż były doskonale widoczne z ziemi i obserwowane przez setki osób. » 4213 «

Dnia 16 grudnia 1979 wielki trójkątny pojazd ścigał o zachodzie Słońca dwa chilijskie myśliwce F5. W pościg za tajemniczym pojazdem wyruszyły inne myśliwce, a wtedy wielki pojazd zniknął

283

w chmurach. Wszyscy piloci bazy powietrznej Cerro Moreno są obecnie przekonani o istnieniu w kosmosie innych cywilizacji. Jednemu ze świadków tego wydarzenia udało się nawet zrobić wspaniałe zdjęcie przedstawiające trójkątny pojazd z białymi, oślepiającymi światłami umieszczonymi na każdym z jego wierzchołków.

W pewnej chwili jeden z pilotów znalazł się dokładnie ponad tym wielkim pojazdem, który wydawał się tkwić nieruchomo w powietrzu i oszacował jego gigantyczne wymiary w każdym kierunku na przeszło 100 metrów. Nagle kolos uniósł się pionowo w górę i po chwili zniknął w przestworzach. Było to ostatnie

znaczące wydarzenie tamtego pamiętnego roku, który podobnie jak poprzedni, bogaty był w tajemnicze i niewytłumaczalne zjawiska. »4224«

## PODSUMOWANIE

Moja opowieść dobiega już końca, ale czy skończy się kiedykolwiek? Moje posłannictwo, polegające na tłumaczeniu zjawiska latających talerzy, nigdy nie zostanie do końca spełnione. W dniu, kiedy miałem wysłać do mojego wydawcy do Paryża maszynopis tej książki, obudził mnie o godzinie 6 rano telefon od mojego korespondenta z Marsylii. Korespondent ten przekazał mi dwie ważne wiadomości, które otrzymał od mojego serdecznego przyjaciela Guillaume'a Tédénat z Saint-Raphaël.

Dnia 27 października 1979 roku w osadzie Veys-sieres, oddalonej o siedem kilometrów od Saint-Raphaël, przez półtorej godziny, pomiędzy 23 a 0.30, dwie świetliste kule trwały jakby zawieszane ponad jednym ze wzgórz. Trzecia lśniąca kula krążyła nieustannie tam i z powrotem ponad dwoma innymi wzgórzami, zmieniając miejsce swego położenia za każdym razem, gdy przejeżdżał jakiś samochód. Wszystkie latające obiekty bezustannie zmieniały kolor, przyjmując barwę od żółtej do czerwonej.

285

Nazajutrz rano sprawdzono ten teren. Odkryto ślady prowadzenia prac ziemnych i pobierania próbek młodych sadzonek dębu korkowego. Zauważono również bardzo wyraźne ślady stóp o wielkości zbliżonej do obuwia numer 36. Na podeszwie widniał duży znak V z wierzchołkiem ustawionym w kierunku chodzenia. Ślady te zostały sfotografowane. Było to już trzecie wydarzenie tego typu, jakie zaobserwowano w tym samym miejscu w przeciągu kilku miesięcy. Podczas pierwszego z nich, znajdujący się w pobliżu ludzie doznali chwilowego paraliżu, a samochody zostały unieruchomione. Podczas następnych dwóch wydarzeń nic podobnego już nie miało miejsca.

Z drugiej strony, kilka dni wcześniej, pierwszy raz w historii badań ufologicznych udało się nagrać na taśmie magnetofonowej dźwięk wydawany przez lecący niezidentyfikowany obiekt. Dokonał tego pewien inżynier z Barcelony - Javier Bosque. Był to sygnał o niskiej częstotliwości, złożony z dwóch głównych sygnałów o nakładających się wzajemnie częstotliwościach 1050 i 4150 cykli na sekundę. Pierwszy z nich prawdopodobnie odpowiada systemowi napędowemu pojazdu, drugi natomiast mógłby być czymś w rodzaju sonaru używanego do nawigacji lub do obserwacji. Obie te częstotliwości były modulowane amplitudowo i zdawały się przedstawiać coś w rodzaju zaszyfrowanego komunikatu przesyłanego z kosmosu, z innej planety. Po przeprowadzeniu szczegółowej analizy taśmy magneto-

286

fonowej i po upewnieniu się, że zostały wydobyte wszystkie zawarte w niej informacje, można spodziewać się, że przy użyciu komputera uda się ten komunikat odczytać. Sądzę, że trudno by było znaleźć lepsze zakończenie tej książki



poświęconej wysłannikom z kosmosu, niż opisane wyżej niedawne zdarzenie.

Zdaję sobie sprawę, że omówione w tej książce nieprawdopodobne wydarzenia nie zostaną przez wszystkich wzięte poważnie, podobnie jak i nowatorskie teorie, które, jak sądzę, mogą się z nich zrodzić. Ale proponuję wszystkim niedowiarkom, aby, zanim uznają to za opowieść z gatunku science-fiction, postarali się wyobrazić sobie, co musieliby czuć przed tylko stu laty nasi przodkowie, gdyby ktoś mówił im o telewizji, komputerach, raketach międzyplanetarnych czy badaniach prowadzonych na Księżycu. A wszystko to przecież wkrótce stało się rzeczywistością i teraz wcale już nikogo nie dziwi. Dlaczego więc nie mielibyśmy już teraz uznać istnienia pozaziemskich cywilizacji, a więc i w konsekwencji latających talerzy.

Oczywiście, jest już obecnie niemożliwe dokonanie weryfikacji wszystkich przypadków dotyczących obserwacji UFO, mających miejsce na przestrzeni wielu lat. Można jednak jeszcze teraz odszukać zamieszczone w pismach ufologicznych dokładne współrzędne miejsc lądowania pozaziemskich pojazdów przybywających do nas w ciągu ostatnich lat. Nie jest specjalnie trudno, opierając się na trygono-

287

metrii sferycznej, wyliczyć odległości kątowe pomiędzy różnymi punktami, porównać je i stwierdzić, że wiele z nich przedstawia boki trójkątów równoramiennych lub promienie koncentrycznych okręgów, których wzajemne zależności wyrażają stałe matematyczne, znane naszym przodkom już przed tysiącami lat.

Niedowierzający temu czytelnik musiałby postarać się wykazać, że te zadziwiające zależności są jedynie dziełem przypadku. Jeżeli chodzi o mnie, to po wielu latach badań w tej dziedzinie nabrałem przekonania, że zależności te stanowią komunikaty matematyczne, wyliczone starannie przez tych, których nazwaliśmy wysłannikami z kosmosu. Niewątpliwie usiłują się oni z nami porozumieć, aby nas ostrzec przed nieuchronnym kosmicznym kataklizmem, który zagraża naszej cywilizacji, a być może i całej naszej planecie.

Ramatuelle, czerwiec 1980.

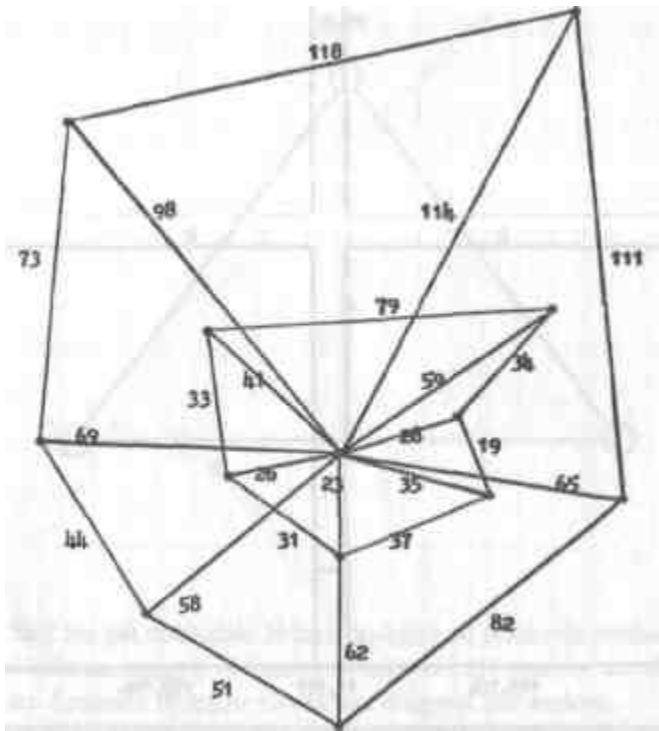
ANEKS

Stacja orbitalna o powierzchni 227 hektarów **WYMIARY PODANE W METRACH**



POWIERZCHNIA MIESZKALNA 2268000 M<sup>2</sup>  
 OBWÓD ZAMIESZKIWANEGO OBSZARU 3 780 M  
 DŁUGOŚĆ ZAMIESZKIWANEGO OBSZARU 600 M  
 ILOŚĆ OBROTÓW W CIĄGU DNIA 1760 OBROTÓW  
 PRĘDKOŚĆ OBROTOWA 77 M/S  
 SIŁA CIĄŻENIA  $77^2/600$  9,881 M/S<sup>2</sup>

Ślad z Marliens **Wymiary podane w 25 mm calach egipskich**

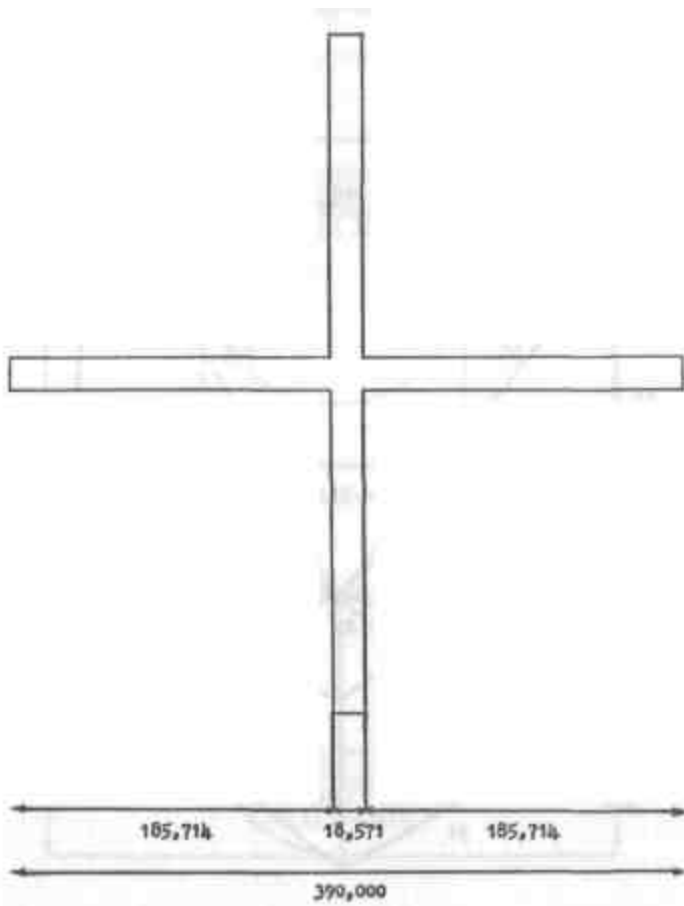


Powierzchnia dużego sześciokąta - 15 792 cali kwadratowe  
czyli 9,870 metrów kwadratowych

Powierzchnia małego sześciokąta - 2 836 cali kwadratowych  
czyli 1,7725 metrów kwadratowych

Ślad z Valensole

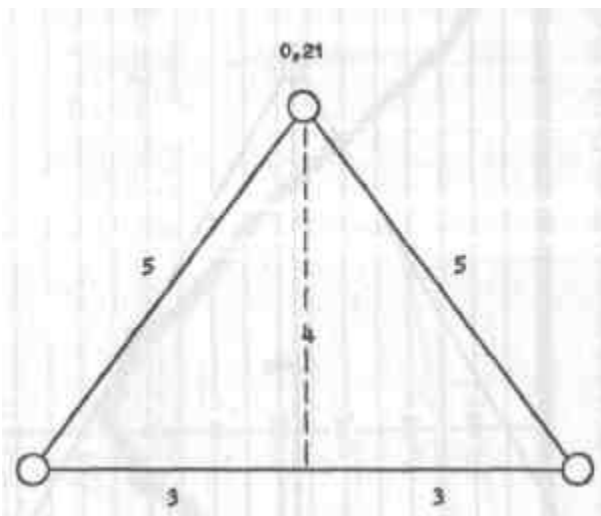
WYMIARY PODANE W CENTYMETRACH



CAŁKOWITA POWIERZCHNIA = 14 140 CM<sup>2</sup>  
czyli 2 268 CALI KWADRATOWYCH

Ślad ze Sturno

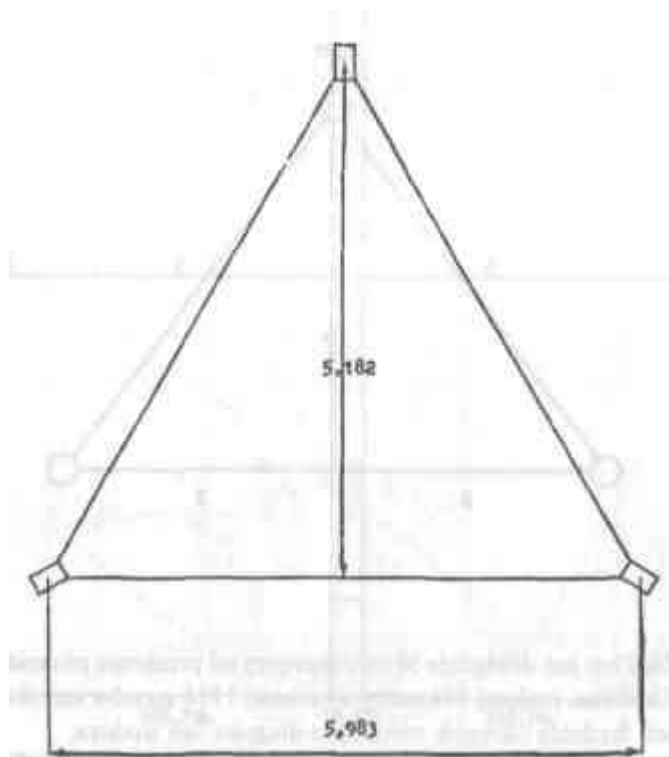
WYMIARY PODANE W METRACH



Ślad ten jest dokładnie 36 razy mniejszy od przekroju piramidy Chefrena, mającej 144 metry wysokości i 216 metrów szerokości. Średnica okręgów równa jest długości fali wodoru.

Siad z Santa Monica

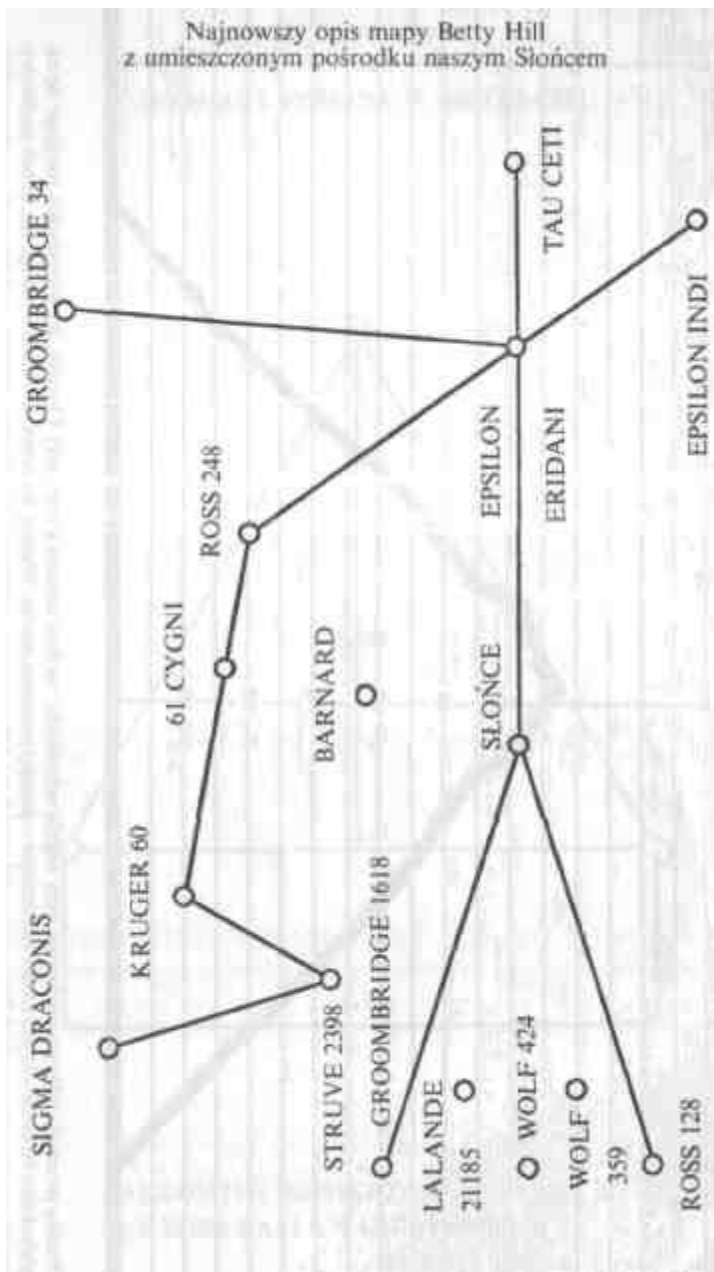
WYMIARY PODANE W METRACH



CAŁKOWITA POWIERZCHNIA =  $15,503 \text{ M}^2$  czyli 24800 CALI KWADRATOWYCH

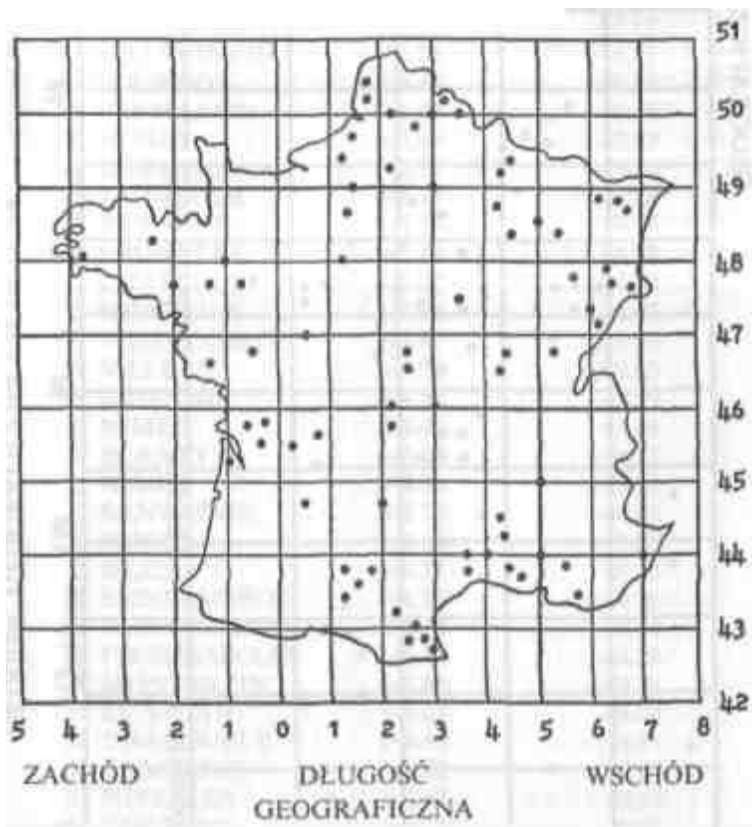


Wielka piramida odkryta niedawno, przy użyciu echosondy, na dnie oceanu u wybrzeży Florydy. Jej wierzchołek znajduje się na głębokości 60 jardów – to jest około 108 metrów – poniżej poziomu morza. Według najnowszych badań szacuje się, że bok podstawy tej piramidy może wynosić 300 metrów, jej wysokość 240 metrów, a objętość 7,2 miliona metrów sześciennych, co stanowiłoby trzykrotność objętości Wielkiej Piramidy Cheopsa. Ta podwodna piramida została na pewno wzniesiona przeszło 12 000 lat temu, przed ostatnim spiętrzeniem wód. Prawdopodobnie jej wierzchołek jest otoczony czymś w rodzaju koralowej korony, jaka wytworzyła się, gdy piramida jeszcze nie została całkowicie zanurzona w wodach oceanu. (Don Henry – Charles Berlitz)



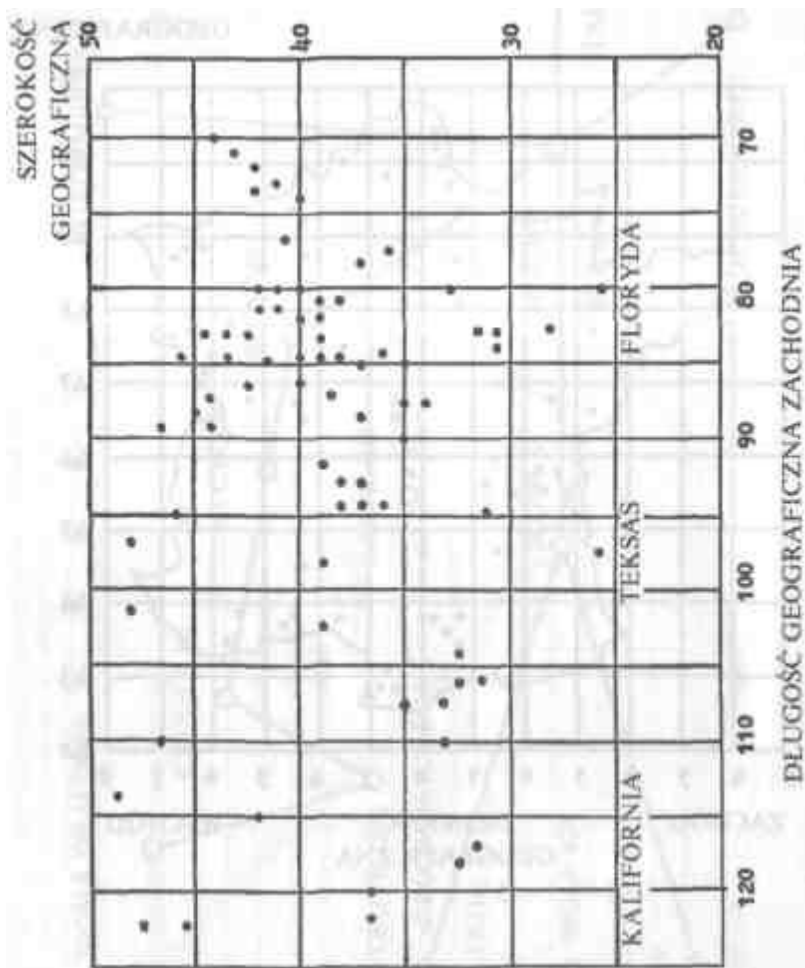
Rozmieszczenie punktów lądowań pozaziemskich pojazdów na terytorium Francji

SZEROKOŚĆ GEOGRAFICZNA



Rozmieszczenie punktów lądowań pozaziemskich pojazdów na terytorium USA.





Współrzędne geograficzne punktów lądowań we Francji

	DŁUGOŚĆ GEOGRAFICZNA	SZEROKOŚĆ GEOGRAFICZNA
01 RIOT	-7 10	43 63
02	-6 79	48 85
03 GUERLING	-6 76	48 86
04 VILLIERS	-6 69	47 06
05	-6 61	48 70
06	-6 56	47 12
07	-6 29	46 77
08 POIRNOY	-6 15	49 02
09	-6 04	46 46
10 HUSSEY	-5 89	47 83
11	-5 77	43 76
12 SAINT CYR	-5 71	43 18
13 BRANGES	-5 18	46 65
14 FRONCI ES	-5 14	48 29
15 CHARBIL L	-5 02	44 90
16 MONTEUX	-4 98	44 02
17	-4 87	48 50
18 VILLIERS	-4 72	49 63
19 BRIENNE	-4 53	48 39
20 NIMES	-4 41	43 86
21 BLANZY	-4 41	46 71
22 NIMES	-4 36	43 82
23	-4 32	46 67
24 NIMES	-4 31	43 88
25 ISLES	-4 21	49 36
26 SAINT	-4 20	44 26
27 SAINT	-4 13	48 52

28	-4 12	44 29
29	-3 69	43 51
30 I E VIGAN	-3 67	44 04
31	-3 63	50 31
32	-3 52	47 46
33 NIVEI I ES	-3 46	50 47
34 CHERENC	-3 25	50 61
35 CHI RAT	-3 07	45 94
36	-2 99	48 86
37 ROM PAS	-2 93	48 86
38	-2 92	42 70
	DE IIGOS	SZEROKO
	GEOGRAFI	GEOGRAFI
39	-2 88	42 69
40 RESSON	-2 74	49 54
41	-2 62	43 09
42	-2 59	46 34
43 SAINT	-2 51	46 72
44	-2 23	43 26
45 MOUITIER	-2 19	45 92
46 FENTERS	-2 13	45 92
47 SAINT	-2 09	49 26
48 DOMART	-2 06	50 04
49 FIGEAC	-2 03	44 61
50	-1 91	43 76
51 CRECY	-1 88	50 28
52	-1 74	43 64
53	-1 46	49 17
54	-1 44	49 79
55 SAINT	-1 42	43 68
56	-1 40	43 59
57	-1 39	48 68
58	-1 27	49 56
59 CLOYES	-1 24	48 01
60 RIJE	-1 17	50 27
61 PIERRES	-0 81	45 61
62 NOUATRE	-0 54	47 05
63	-0 48	44 86
64	-0 26	45 48
65 COZES	+ 0 33	45 58
66	+ 0 51	46 83
67 I A	+ 0 57	45 80
68 ANDIGNE	+ 0 78	47 67
69 SAINTES	+ 0 79	45 70
70 MERAC	+ 0 98	47 96
71	+ 1 06	45 68
72 FERRAY	+ 1 32	47 66
73 EL OTTE	+ 1 33	46 18
74 REDON	+ 2 06	47 65
75 MEGRIT	+ 2 25	48 38
76 LOCTUDY	+ 4 22	47 88

Współrzędne geograficzne punktów lądowań w USA

	DE IIGOS	SZEROKO
	GEOGRAFI	GEOGRAFIC
01	69 43	44 12
02 SALEM	70 89	42 54
03	71 84	42 58
04 ENFIELD	72 64	41 92
05 DANBURY	73 45	41 40
06 UNION	74 12	40 43
07 ELYSBURG	76 52	40 84
08	76 78	35 81
09	77 53	37 62
10	79 54	40 28
11	79 76	40 83

12	79 92	37 72
13	80 12	40 48
14 MIAMI	80 26	25 74
15 ERIE	80 74	42 14
16	80 76	38 76
17 ANSTED	81 24	38 14
18 PITTS	81 26	40 67
19	81 98	39 96
20 AIRANY	82 68	28 14
21	82 51	43 98
22 EFFERS	82 68	28 14
23	82 77	30 73
24 MOUNT CLERMENS	82 92	42 58
25 WAVERLY	82 98	39 14
26 ROMULUIS	83 42	42 32
27 TIFTON	83 49	31 46
28 BRIGHTON	83 78	42 53
29	83 82	39 23
30 CLINTON	84 26	36 14
31	84 28	39 24
32	84 31	39 18
33 OSCODA	84 34	45 38
34 FEARY	84 49	31 48
35 LIBERTY	84 96	37 43
36	85 13	39 63
37	85 43	35 04
38 SAINT	86 18	42 08

	DE IIGOS	SZEROKOS
	GEOGRAFI	GEOGRAFI

39	86 83	34 42
40	87 04	34 46
41 TWO	87 52	44 16
42	87 59	36 83
43 GREEN	88 02	36 83
44 BARAGA	88 53	46 91
45	88 61	30 42
46 GAULTIER	88 69	30 44
47 OMRON	88 73	44 08
48 MEMPHIS	90 12	35 06
49	92 32	38 93
50	93 58	36 38
51 EUREKA	93 76	36 46
52 SUGAR	94 14	37 06
53 SIMS	94 26	37 12
54 MAC N	94 32	37 16
55 LONG	94 92	45 98
56 TYLER	95 12	32 14
57 STEPHEN	96 94	48 46
58	97 53	25 92
59 DELPHOS	97 86	39 37
60 MAX	101 12	47 84
61	102 28	38 85
62 ROSWELL	104 58	33 42
63 EL PASO	106 12	31 92
64	106 18	32 83
65 SANDIA	106 64	35 04
66 SOCORRO	106 91	34 06
67	109 89	46 96
68	109 98	33 78
69 GLACIER	113 58	48 64
70 TWIN	114 52	42 51
71 LEMON	116 58	32 59
72 EL SINORE	117 43	33 61
73 KERMAN	120 08	36 67
74 SALINAS	121 72	36 63
75 KENT	122 18	47 42
76	122 74	45 52

Średnie ilości trójkątów równoramiennych otrzymane przy użyciu dwóch różnych komputerów

RODZAJ PUNKTÓW	RODZAJ PUNKTÓW	KALIFORNIA	NEW JERSESY	ŚREDNIO
76	FRANCUSKIE	419	417	418
76	AMERYKAŃSKIE	133	133	133
76	PRZYPADKOWE	96	98	97
66	FRANCUSKIE	282	290	286
66	AMERYKAŃSKIE	109	115	112
66	PRZYPADKOWE	87	91	89
56	FRANCUSKIE	197	199	198
56	AMERYKAŃSKIE	99	97	98
56	PRZYPADKOWE	56	58	57
46	FRANCUSKIE	140	124	132
46	AMERYKAŃSKIE	47	51	49
46	PRZYPADKOWE	37	41	39
36	FRANCUSKIE	64	68	66
36	AMERYKAŃSKIE	26	30	28
36	PRZYPADKOWE	22	24	23

Przykłady trójkątów równoramiennych utworzonych przez 76 punktów na terytorium Francji

NUMERY PUNKTÓW STANOWIĄCYCH WIERZCHOŁKI TRÓJKĄTÓW			DŁUGOŚĆ W STOPNIACH BOKI POZOSTAŁE JEDNAKOWE BOKI		DŁUGOŚĆ W KILOMETRACH BOKI POZOSTAŁE JEDNAKOWE BOKI	
1	5	19	5,08	1,41	564	157
1	5	30	5,09	2,51	555	279
1	7	20	3,20	1,96	356	218
1	13	41	3,31	3,99	368	443
1	15	20	1,96	1,13	218	126
1	26	45	2,18	4,17	242	463
1	33	54	7,27	1,46	808	162
2	12	16	5,72	5,10	636	589
2	18	19	1,56	1,25	173	139
2	18	49	5,35	1,56	594	173
2	18	55	6,36	1,56	707	173
2	20	68	5,25	5,17	583	574
2	21	49	2,68	5,35	298	594
2	25	37	6,69	1,76	743	196
2	25	38	6,72	1,76	747	196
2	25	51	1,76	3,49	196	388
2	41	56	6,45	1,02	717	113
2	44	75	5,99	6,42	666	713
3	6	25	1,75	2,73	194	303
3	7	75	5,98	2,11	664	234
3	18	49	5,34	1,54	593	171
3	20	57	5,26	3,54	584	393
3	21	62	2,67	4,54	297	504
3	25	37	6,69	1,74	743	193

Długość jednego stopnia łuku koła wielkiego wynosi około 111.111 kilometra.

Przykłady trójkątów równoramiennych utworzonych przez 76 punktów na terytorium USA

NUMERY PUNKTÓW STANOWIĄCYCH WIERZCHOŁKI TRÓJKĄTÓW  
DŁUGOŚĆ  
W STOPNIACH  
BOKI POZOSTAŁE  
JEDNAKOWE  
BOKI  
DŁUGOŚĆ W KILOMETRACH  
BOKI POZOSTAŁE  
JEDNAKOWE  
BOKI

3	20	26
4	6	7
5	21	24
6	16	21
8	24	25
8	26	39
9	13	37
11	17	19
11	25	28
11	25	44
11	29	38
1	21	36
1	26	29
1	28	31
1	29	30
1	17	32
1	25	28
1	28	48
1	29	44
2	39	45
2	29	30
2	30	42
3	32	53
3	W	53

8.55	3.2
1.87	3.1
7.14	1.4
5.38	7.1
6.93	3.4
8.33	8.3
6.87	3.5
1.91	2.9
3.1)	2.9
8.76	2.9
3^9	5.1
3.93	4.7
3.10	3.0
3.43	3.3
3.11	5.4
4.02	2.6
3.4	2.2
8.96	2.6
8.41	1.5
5.0i*	4.2
3.11	6.2
6.41	2.
8.09	3.0
8.12	5.8

950	36
208	34
793	15
598	79

770	38
926	92
763	38
212	32
383	33
973	33
388	57
437	53
344	34
381	36
31*6	60
447	29
382	25
996	29
934	1
560	47
346	6
712	3
899	3
902	6

Długość jednego stopnia łuku koła wielkiego wynosi około 111,111 kilometra.  
 Starożytne cykle astronomiczne wyrażone w dniach

Nazwa cyklu	dług	podzi	dokładna
MERKURY-	11	29	115,87
MERKURY-	11	12	115 87
ROK	31	217	316 62
ROK	35	50	354 36
MERKURY	26	12	250 16
ROK	36	12	362 58
ROK	36	72	365 21
IRAN-	37	37	360 65
SATI IRN-	37	7	378 00
IONISZ-	30	10	308 8
IONISZ-	10	31	308 88
KSIEZYC-			
1 ZACMIENIOWY	50	7	504 80
TRZY CYKLE	52	12	510 02
WENISZ-	58	72	582 02
WENISZ-	58	12	582 02
MARS-	68	7	686 08
MARS-IRAN	70	12	702 71
MARS-SATI IRN	72	7	722 82
MARS-	72	12	770 02
MARS-IONISZ	81	17	816 12
MARS-IONISZ	81	12	816 12
CZYTERY DATA	11	127	1161 0
IONISZ-	122	10	1222 5
WENISZ-ZIEMIA-	168	12	1670 6
IONISZ-IRAN	504	20	5044 8
SAROS - 222	6	37	6585 2
PRECESJA	680	10	6708 2
CYKLE METONA -			
CY	604	217	6020 6
IONISZ-SATI IRN	725	31	7252 11
IONISZ-SATI IRN	728	12	7252 11
SATI IRN -	107	20	10750 2
SATI IRN-IRAN	165	12	16568 7
SATI IRN-IRAN	165	17	16568 7
56 I AT -118	201	127	20152 5
ZIEMIA-IONISZ-	217	17	21760 2
76 I AT - 940			

NYCZNYCH	277	427	27
IRANL	206	17	20625 1
Q3 I ΔTA-106	220	12	22062 7
IRANL-NIPTI IN	626	27	62

Starożytne budowle, których powierzchnie stanowią dokładne ułamki powierzchni Ziemi

NAZW	METRY KWADRATO	IARDY EGIPSK	IARDY MAJÓ	STOS
AKGK	1 905	2 352	1 693	8/3
HOHE	1 088	1 312	967	111/3
AHGK	1 079	1 332	959	8/17
AHGK	825	1 019	733	8/13
HAHD	508	627	451	1/1
JERUS	254	313	225	2/1
CHOL	190	235	169 34	8/3
TEOTI	158	196	1M	16/5
HOUA	129	160	115	392/
HARA	90	112	80	56/1
CHE0	86	106	76	588/
OHEP	77	96	69	196/
AHGK	63	78	56	8/1
HOUA	V-	57	41	98/9
DASB	165	56	40	112/
SNEF	35	44	31	128/9
ABGK	31	39	28	16/1
MEID	20	25	18	49/2
AHGK	15	19	14	32/1
DJOSE	12	16	11	392/
DASH	11	14	10	48/1
ABGK	9 072	11	8	56/1
LOTH	7	9 800	7 056	6U/1
DJOSE	5 184	6 400	4 608	98/1
UR	2	3 200	2	196/1
COPA	2	2 800	2	224/1

POWIERZCHNIA ZIEMI = 508,032 BILIONÓW METRÓW  
KWADRATOWYCH

EGIPSKI JARD KWADRATOWY = 0,810 M<sup>2</sup>

JARD KWADRATOWY MAJÓW = 1,125 M<sup>2</sup>

#### BIBLIOGRAPHIE

69. SENDY, *Les Cahiers de cours de Moïse*, Julliard, 1962.
70. SULLIVAN, *Nous ne sommes pas seuls dans l'univers*, Laffont, Paris, 1966.
71. DRAKE, *Gods or Spacemen*, Signet, New York, 1965.
72. MAZIERE, *Fantastique île de Pâques*, Laffont, Paris, 1965.
73. VALLEE, *Anatomy of a phenomenon*, Regnery, Chicago, 1965.
74. BERLITZ, *The mystery of Atlantis*, Nordon, New York, 1966.



75. FULLER, *Incident at Exeter*, Putnam, New York, 1966.
76. MICHEL, *Mystérieux objets célestes*, Planète, Paris, 1966.
9. SENDY, *Les dieux nous sont nés*, Grasset, Paris, 1966.
10. EDWARDS, *Les Soucoupes volantes*, Laffont, Paris, 1967.
- U. FULLER, *The interrupted journey*, Dell, New York, 1967.
77. SANDERSON, *Uninvited visitors*, Cowles, New York, 1967.
78. SENDY, *La Lune, clé de la Bible*, Julliard, Paris, 1968.
79. VON DANIKEN, *Chariots of the gods*, Putnam, New York, 1968.
80. BOWEN, *The humanoids*, Regnery, Chicago, 1969.
81. COHEN, *Lost worlds*, Belmont, New York, 1969.
82. FULLER, *Aliens in the sky*, Putnam, New York, 1969.
83. VALLEE, *Passport to Magonia*, Regnery, Chicago, 1969.
84. SANDERSON, *Invisibles résidents*, Crowell, New York, 1970.
85. SENDY, *L'Ere du Verseau*, Laffont, Paris, 1970.
86. CHARROUX, *Le Livre des mondes oubliés*, Laffont, Paris, 1971.
87. KOLOSIMO, *Archéologie spatiale*, Michel, Paris, 1971.
88. TOMAS, *Nous ne sommes pas les premiers*, Michel, 1971.
89. BERLITZ, *Mysteries from forgotten worlds*, Doubleday, 1972.
90. HYNEK, *The UFO expérience*, Regnery, Chicago, 1972.
91. KOLOSIMO, *Astronautes de la préhistoire*, Michel, Paris, 1972.
92. TOMAS, *Les Secrets de l'Atlantide*, Laffont, Paris, 1972.
12. *Les messagers du cosmos*
93. CHARROUX, *Le Livre du passé mystérieux*, Laffont, Paris, 1973.
94. DURRANT, *Les Dossiers des OVNI*, Laffont, Paris, 1973.
95. GRANGER, *Terriens ou extraterrestres*, Michel, Paris, 1973.
96. GUIEU, *Le Livre du paranormal*, Omnium, Paris, 1973.
97. MOREAU, *Les Civilisations des étoiles*, Laffont, Paris, 1973.
98. SAGAN, *The cosmic connection*, Doubleday, New York, 1973.
99. STEINHAUSER, *Les Chrononautes*, Michel, Paris, 1973.
100. BLUM, *Beyond Earth*, Bantam, New York, 1974.
101. CHARROUX, *L'Enigme des Andes*, Laffont, Paris, 1974.
102. DEM, *Les Juifs de l'espace*, Michel, Paris, 1974.
103. FLINDT, *Mankind, child of the stars*, Fawcett, New York, 1974.
104. GRANGER, *Extraterrestres en exil*, Michel, Paris, 1974.
105. MOONEY, *Colony Earth*, Stein & Day, New York, 1974.
106. SPENCER, *No earthly explanatton*, Phillips, New York, 1974.
107. UMLAND, *Mystery of the ancients*, Walker, New York, 1974.
108. BERLITZ, *Le Triangle des Bermudes*, Flammarion, Paris, 1975.
109. CHATELAIN, *Nos ancêtres venus du cosmos*, Laffont, Paris, 1975.
110. CLARK, *The unidentified*, Warner, New York, 1975.
111. DRAKE, *Astronautes de l'ancien Orient*, Michel, Paris, 1975.
112. GRANGER, *Extraterrestres en exil*, Michel, Paris, 1975.
113. GUERRIER, *La Cosmogonie des Dogons*, Laffont, Paris, 1975.
114. LANDSBURG, *The outer space connection*, Bantam, N. Y., 1975.

115. MOONEY, *Les Dieux de l'espace*, Pion, Paris, 1975.
116. SENDY, *Les Temps messianiques*, Laffont, Paris, 1975.
117. VALLEE, *Le Collège invisible*, Michel, Paris, 1975.
118. CHABOCHE, *Vie et mystère des nombres*, Michel, Paris, 1976.
119. HOBANA, *Les OVNI en URSS*, Laffont, Paris, 1976.
120. HOLZER, *Les Ufonautes*, Michel, Paris, 1976.
121. KOLOSIMO, *Odyssée stellaire*, Michel, Paris, 1976.
122. LUNAN, *A l'écoute des galaxies*, Laffont, Paris, 1976.
123. SITCHIN, *The twelfth planet*, Stein & Day, New York, 1976.
124. STEIGER, *Gods of Aquarius*, Harcourt, New York, 1976.
125. TEMPLE, *The Sirius mystery*, Saint Martin, New York, 1976.
126. WILLIAMS, *Hands*, Galaxy Press, Warner Springs, 1976.
127. BERGIER, *Visa pour une autre terre*, Michel, Paris, 1977.
128. BOURRET, *Nouveau défi des OVNI*, France-Empire, Paris, 1977.
129. CHARROUX, *Archives des autres mondes*, Laffont, Paris, 1977.
  
130. DEQUERLOR, *Ces dieux venus d'ailleurs*, Michel, Paris, 1977.
131. DURRANT, *Humanoïdes extraterrestres*, Laffont, Paris, 1977.
132. GALLET, *Le Livre des anciens astronautes*, Michel, 1977.
133. GARDES, *Chasseurs d'OVNI*, Michel, Paris, 1977.

65. *Bibliographie*

134. GRANGER, *Héritage des extraterrestres*, Michel, Paris, 1977.
135. HYNEK, *The UFO report*, Dell, New York, 1977.
136. KOLOSIMO, *Frères de l'infini*, Michel, Paris, 1977.
137. STRINGFIELD, *Situation Red*, Doubleday, New York, 1977.
138. BARRY, *Ultimate encounter*, Pocket Books, New York, 1978.
139. BERLITZ, *Sans traces*, Flammarion, Paris, 1978.
140. BOURRET, *La Science face aux extraterrestres*, Paris, 1978.
141. CONSTABLE, *Sky créatures*, Pocket Books, New York, 1978.
142. LEONARD, *Ils n'étaient pas seuls sur la Lune*, Paris, 1978.
143. MISRAKI, *Des signes dans le ciel*, Laffont, Paris, 1978.
144. STEIGER, *Alien meetings*, Grosset & Dunlap, New York, 1978.
145. VALLEE, *Aux limites de la réalité*, Michel, Paris, 1978.
146. VON DANIKEN, *Mes preuves*, Michel, Paris, 1978.
147. BOURRET, *OVNI — L'armée parle*, France-Empire, Paris, 1979.
148. CHATELAIN, *Le Temps et l'espace*, Laffont, Paris, 1979.
149. FITZGERALD, *Extraterrestrial encounters*, Mac Milian, N. Y., 1979.
150. FOWLER, *The Andreasson affair*, Prentice Hall, New York, 1979.
151. GRANGER, *La Face cachée du ciel*, Michel, Paris, 1979.
152. MOORE, *The Philadelphia experiment*, Grosset, New York, 1979.
153. SANDERSON, *Invisibles sous les mers*, Michel, Paris, 1979.
154. VALLEE, *Messagers de déception*, Tchou, Paris, 1979.
155. WILSON, *Un vaisseau spatial nommé Lune*, Michel, 1979.
156. GANSBERG, *Direct encounters*, Walker, New York, 1980.

**157. GUIEU, *Contact OVNI à Cergy-Pontoise*, Rocher, 1980.**